Krzysztof Wołodźko
LONDYN I MOSKWA.
ZBRODNIE W TEATRZE CIENI

Piotr Lisiewicz
NAPASTNIK ZE LWOWA
SKUTECZNIEJSZY OD LEWANDOWSKIEGO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

SMOLEŃSK

TRAGEDIA, KTÓRA OBUDZIŁA W NAS POLSKOŚĆ

www.panstwo.net nakład 11 866 indeks 211060 #177 02/2021

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #179 04/2021

ISSN 1895-4960

eprasa.pl c414db9aa6

TEMAT NUMERU 4–17

Smoleńsk – tragedia, która obudziła w nas polskość / 4

IDEE 18–35

Rasizm antypolski / 18

HISTORIA 36–62

Napastnik ze Lwowa skuteczniejszy od Lewandowskiego / 36

ŚWIAT 68–96

Wina bez ceny. Jak Bundestag debatował o reparacjach dla Greków / 68

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Smoleńsk – tragedia, która obudziła w nas polskość 4

Ryszard Czarnecki
Smoleńsk – moja uparta pamięć... 9

Dawid Wildstein
Platforma to Smoleńsk 10

Grzegorz Wierzchołowski
Smoleńsk – 11 lat po zamachu 14

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Rasizm antypolski 18

Hubert Kowalski
O wolność słowa w cyberprzestrzeni 24

Grzegorz Wszołek
O cenzurze w mediach społecznościowych 27

Małgorzata Matuszak
Pamiętaj, aby dzień święty święcić 30

Grzegorz Wszołek
Czynownicy opozycji w akcji 33

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Napastnik ze Lwowa skuteczniejszy od Lewandowskiego 36

Dariusz Jarosiński
Samotny żywot klerka 42

Agnieszka Kowalczyk
Polska podbija Paryż! 48

Ewa Polak-Pałkiewicz
Wersal i bania 54

Aleksander Bregman
Prawo rządzące polityką polską 60

ŚWIAT

Olga Doleśniak-Harczuk, Antoni Opaliński
Wina bez ceny. Jak Bundestag debatował o reparacjach dla Greków 68

Hanna Shen
By Pekin 2022 nie stał się Berlinem 1936 74

Antoni Rybczyński
Gruzińskie marzenie Putina 78

Stefan Czerniecki
Stany bez nadziei 82

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Rosja w przeddzień klęski w Libii 94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Kolejna rocznica. Kto przeżył, nie zapomni
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... radość
KATECHIZM INTELIGENTA 23

Marek Kalinowski
Kreator
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 63

Krzysztof Wołodźko
Londyn i Moskwa. Zbrodnie w teatrze cieni
DZIENNIK LEKTUR 64

Olga Doleśniak-Harczuk
Teoria Untergangu, praktyka chaosu
Z GLOBALNEGO TYGLA 90

Ryszard Czarnecki
Moja prywatna polskość. Korzenie...
CZARNECKO TO WIDZĘ 97

Marcin Wolski
Wojna polsko-polska
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Od ziemi do bitcoina
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl c414db9aa6

Katarzyna Gójska

Kolejna rocznica. Kto przeżył, nie zapomni

Każdy, kto przeżył 10 dzień kwietnia 2010 roku jako człowiek świadomy, zapewne zapamięta go do końca życia. Rozpacz, niedowierzanie, przerażenie i głębokie poczucie niepewności. Każdy z nas dostrzegał niebezpieczeństwo płynące ze Wschodu, lecz śmierć delegacji RP zaskoczyła jego bliskością i namacalnością.

W najnowszym numerze naszego miesięcznika piszemy o tym, jakie zmiany zaszły w Polsce po 10 kwietnia – zmiany, które możemy obserwować już z perspektywy dekady. Ponad połowę tego okresu minęło pod rządami opcji politycznej w najlepszym wariancie zainteresowanej niewyjaśnianiem przyczyn śmierci delegacji RP, a w najgorszym – i niestety niezwykle prawdopodobnym – kompletnym ich zakłamaniem wedle podyktowanej z Kremla wersji. Ekipy politycznej zorientowanej na wyciszenie zainteresowania tragedią spod Smoleńska i zniszczenie wszystkich, którzy nie chcieliby się poddać procesowi. Działania Tuska i jego ludzi były kompletnie sprzeczne w polską racją stanu, lecz całkowicie opłacalne dla Kremla. Ujawnione kilka tygodni temu przez Anitę Gargas, autorkę świetnych dokumentów o Smoleńsku, nagranie z narady premiera Tuska, ministrów i tzw. polskiego akredytowanego przy MAK pokazuje jednoznacznie, że ówczesne władze RP nie podejmują żadnych działań służących w tej tragicznej chwili ochronie interesu państwa. Działają dyletancko lub dyletanctwo udają. I właśnie tę spuściznę po Tusku należy uwzględnić, oceniając dzisiejszy stan prac odtwarzających prawdziwy przebieg zdarzeń z 10 kwietnia. Czy można powiedzieć, że nic nie wyjaśniono? Że podkomisja dedykowana tej sprawie zawiodła? Każde z tych twierdzeń będzie nieprawdą. Bo po pierwsze – mimo nieupublicznienia jeszcze raportu końcowego – znamy raport techniczny i raporty odnoszące się do konkretnych elementów dochodzenia. Po drugie – podkomisja nie pracowała w warunkach normalnych. Zadaniem jej członków było najpierw przebicie się przez morze kłamstw i manipulacji, potem opisanie miejsca katastrofy na podstawie strzępów informacji rozsianych w tysiącach rozmaitych źródeł, a następnie przeprowadzenie własnych badań i analiz choćby bez dostępu do wraku i przy nieustającym ataku polityczno-medialnym, nie wspominając już o działaniach rosyjskich służb. Ktoś może powiedzieć: od przejęcia władzy przez PiS mieli cały aparat państwa. To prawda. Ale wszystkie wymienione wyżej okoliczności bez wątpienia potężnie utrudniały działanie. Dlatego porównywanie pracy podkomisji do pracy zespołu wyjaśniającego tragedię samolotu zestrzelonego nad Ukrainą jest nieuprawnione. Ten drugi miał poparcie całego społeczeństwa, wsparcie mediów, działał od razu, otrzymał wrak, a mimo wojny Kijów był żywo zainteresowany wyjaśnieniem. Na świecie nie przebiła się w tej sprawie rosyjska propaganda. Można powiedzieć, iż w tych trudnych okolicznościach Holendrom sprzyjały wszystkie okoliczności. Polsce dokładnie odwrotnie. Mimo tych przeciwności członkowie podkomisji odtworzyli przebieg zdarzeń z 10 kwietnia 2010 roku. Pokazali, w jaki sposób Rosjanie, a za nimi polscy urzędnicy manipulowali danymi lub je po prostu wymyślali. Wykonano tysiące obliczeń, wykorzystano niezwykle zaawansowane technologie i skorzystano z najnowszych osiągnięć naukowych. Pomniejszanie czy wręcz bagatelizowanie tego gigantycznego dorobku jest nie tylko niesprawiedliwe, lecz wręcz uderza w nasze państwo. Czy można było więcej lub szybciej? O tym można pewnie dyskutować. Ale opisywanie sprawy wyjaśnienia dramatu smoleńskiego jako porażki jest de facto stawaniem po stronie Rosjan. Bo każde kłamstwo dotyczące śmierci delegacji RP jedenaście lat temu, również takie, jest na rękę Kremlowi.

Należy jednak postawić jeszcze jedno niezwykle ważne pytanie: jak przedstawić światu polskie ustalenia w sprawie tragedii smoleńskiej? Jak przełamać utrwalone już przez lata kłamstwa na ten temat? Obawiam się, iż to zadanie jeszcze trudniejsze niż dojście do prawdy i odtworzenie biegu zdarzeń. Bo bierność państwa polskiego kierowanego przez Donalda Tuska, pozwolenie na wypuszczenie w świat wyłącznie narracji Kremla w tej sprawie miało i ma dramatyczne konsekwencje. Dało Rosji szansę skutecznego przekonania świata, że nie warto lub nie opłaca się zajmować śmiercią delegacji RP, bo sami Polacy nie są nią zainteresowani. Tusk wraz z Platformą dali Putinowi czas, by mógł pozamiatać po Smoleńsku. Ułożyć wszystko tak, jak mu było najwygodniej. Nie chcę być posłańcem przynoszącym złe wieści, lecz najpewniej w ogromnej mierze to się Rosji udało. I przebicie się z prawdziwą wersją przebiegu dramatu ze Smoleńska będzie niezwykle trudne. ■

eprasa.pl c414db9aa6

SMOLEŃSK

TRAGEDIA, KTÓRA OBUDZIŁA W NAS POLSKOŚĆ

eprasa.pl c414db9aa6

Piotr Lisiewicz

„W sercach szlachetnych nieszczęście i poniżenie kraju jest zawsze źródłem patriotyzmu" – pisał o Polakach Józef Piłsudski. 10 kwietnia 2010 roku i odsłonięcie stanu państwa, ale może jeszcze bardziej stanu umysłów jego „elit", rozpoczęło proces demontażu postkolonialnej III RP. On jest już zaawansowany, ale opór materii jest wciąż silny. A wraz z cywilizacyjnym rozwojem napotykamy nowe pułapki, których musimy uniknąć, by szczęśliwie doprowadzić ten demontaż do końca. Czyli eliminacji Targowicy z polskiego życia.

Ilustracja: Mariusz Troliński

eprasa.pl c414db9aa6

Smoleńsk zmienił Polskę, ale o tym, jak ją zmienił, piszą częściej nasi przeciwnicy, którzy lubią mówić o „podziałach", które się wówczas narodziły. Stan tego podziału w 2021 roku nie jest wbrew pozorom oczywisty. Mamy oto podział na liczny obóz niepodległościowy, nieliczną Targowicę i licznych tych, których oszukano, by myśleli, że im z Targowicą po drodze. Mamy też stare i nowe próby zafałszowywania podziału. Te nowe związane są z rozwojem mediów społecznościowych, które zarabiają na generowaniu konfliktów. Musimy przebrnąć przez ten gąszcz, by zbudować Polskę na trwałe niepodległą.

▶ Degradacja wynarodowionej elity postsowieckiej

Powtórzmy to jeszcze raz. Polskę po 10 kwietnia 2010 roku podzielił nie tyle Smoleńsk, ile to, co stało się zaraz potem. Skala zdrady, zaprzaństwa elit III RP, w tym dziennikarzy, którzy nie tylko nie chcieli dochodzić prawdy, lecz także poniżali tych, którzy jej szukali, była ogromna.

„To co nas podzieliło – to się już nie sklei" – napisał Jarosław Marek Rymkiewicz w wierszu „Do Jarosława Kaczyńskiego". Zrozumieliśmy, że najgorszą cechą III RP było właśnie powszechne przyzwolenie na zdradę, uznawanie działania przeciwko Polsce za jedną z równouprawnionych politycznych opcji.

Potem zaczęliśmy wyciągać kolejne wnioski. Wskazywać miejsca, które są źródłem zła i przyczyną słabości państwa. Rozumieliśmy coraz więcej: że istnieją zło, które trzeba wytrzebić, i oszukiwani zwykli ludzie, których trzeba kształtować. Że trzeba odróżnić jedno od drugiego. I to nie będzie tak, że gdy odsuniemy od władzy ludzi biorących pieniądze z rosyjskiej ambasady i od niemieckich fundacji oraz Sorosa, to problem będziemy mieć z głowy. On będzie istniał w głowach tych, których wychowano na niewolników. W 2012 roku pisałem w „Nowym Państwie: „To, co nazywano polskimi elitami intelektualnymi, jest wynarodowioną elitą posowiecką. To osoby, których nic nie obchodzą losy Polski i Polaków, a tylko własne kariery. Dopóki nie zdegradujemy ich, brutalnie nie upokorzymy ich tak, by poczuli, że są tu elementem obcym, produktem kolaboracji mniejszości narodu, Polska nie będzie niepodległa".

Proces rugowania tego zła, które odsłonił Smoleńsk, rozpoczął się już w latach 2010–2015, gdy nie mieliśmy wpływu na państwo polskie, lecz mogliśmy tworzyć własne media czy organizować manifestacje. W latach 2015–2021 odbywa się naprawa państwa przez obóz patriotyczny.

▶ „Robotnik" Piłsudskiego i 500 plus Kaczyńskiego

Stan „elit" III RP uświadomił po Smoleńsku nam wszystkim, że jedyna droga do naprawy Polski, to zwrócenie się do zwykłych ludzi. Tak jak Piłsudski wydawał „Robotnika", tworzył Organizację Bojową PPS, by wreszcie stworzyć Legiony i odzyskać niepodległość, tak Kaczyński połączyć musiał postulat uniezależnienia od Rosji i Niemiec z 500 plus.

Było jasne, że tamta strona będzie się bronić. Skoro prawda, o której mówiliśmy, pokazując zdradę i niewolniczą mentalność elit III RP, miała wydźwięk radykalny, również obóz kłamstwa postanowił zradykalizować język. Ponieważ z prawdą nie dało się sensownie polemizować, trzeba było ją zakrzyczeć. Zaczęło się pod Krzyżem na Krakowskim Przedmieściu, gdzie modlącym się urządzono pokazywany w trzech telewizjach Big Brother, z podstawionymi po stronie modlących się i atakujących krzyż aktorami.

Język obrońców zła, który wówczas się narodził, twórczo rozwinął się po wygranej PiS w 2015 roku. Ponieważ siły, które nasza strona zaczęła eliminować z różnych dziedzin życia publicznego wywodziły się z komunistycznego totalitaryzmu, PiS musiał być oskarżany o łamanie demokracji i zapędy dyktatorskie. Ponieważ służyły one obcym, musiały stworzyć jakąś formułę, w myśl której dałoby się to samo zarzucić PiS – wymyślono niezbyt udaną wersję, że izolując nas od jądra UE, działa na korzyść Rosji itd., itp.

Fakt, że za naszym radykalnym językiem stała prawda, a za ich radykalnym językiem kłamstwo, znalazł odzwierciedlenie w sondażach z ostatnich lat, pokazujących, że to po tamtej stronie dominuje zamknięcie się na argumenty przeciwnika. Po sondażu IBRIS z września 2019 roku okazało się, że wśród widzów „Wiadomości" TVP aż 80 proc. badanych to wyborcy PiS. Tylko 6,2 proc. ich widzów to wyborcy KO. Zupełnie inaczej było w przypadku „Faktów" TVN – okazało się, że 34,7 proc. przypada na Koalicję Obywatelską, a 33,7 proc. na Prawo i Sprawiedliwość.

Z kolei z badań Social Changes z lipca 2020 roku wynikało, że 76 proc. głosowało przede wszystkim na Andrzeja Dudę, a nie przeciwko Rafałowi Trzaskowskiemu. Jedynie 24 proc. głosowało na urzędującego prezydenta, widząc w nim mniejsze zło. Zupełnie inaczej było wśród wyborców Rafała Trzaskowskiego. Tylko 52 proc. ankietowanych głosowało przede wszystkim na kandydata PO. Aż 48 proc. poparło go, aby nie wygrał Andrzej Duda.

eprasa.pl c414db9aa6

Rosyjska agentura – odsłonięcie i uśpienie

Nie sposób pisać o 10 kwietnia, nie wspominając o rosyjskiej agenturze w Polsce. Była ona przez lata jednym z decydujących czynników w polskiej polityce, czego najmocniejszym dowodem był fakt, że przez ćwierć wieku nie podjęliśmy oczywistych inwestycji uniezależniających Polskę od rosyjskiego gazu.

10 kwietnia 2010 roku to był moment, kiedy dowiedzieliśmy się, że agentura rosyjska jest silniejsza niż polskie państwo. Zobaczyliśmy geografię jej oddziaływania – od polityki i biznesu przez media, uczelnie, kulturę, a nawet Kościół. Każda z tych obserwacji to skarb dla niepodległego państwa polskiego. Każde nazwisko wpływowej osoby powtarzającej wówczas propagandę Putina powinno być zanotowane przez jego służby.

Oczywiście obraz może zaciemniać udział w tuszowaniu zbrodni lobby niemieckiego, jak również istnienie wspomnianej niewolniczej mentalności w elitach III RP, w wyniku której niektórzy mogli się zachowywać jak rosyjscy agenci, nimi nie będąc. Ale jednak twierdzę, że w większości przypadków da się to odróżnić.

Wielkie odsłonięcie rosyjskiej agentury miało miejsce w latach 2010–2014. Rosji dzięki swojej agenturze udało się zapewnić sobie bezkarność po zamordowaniu polskiej delegacji. Ale koszty tego odsłonięcia się były niemałe. Rosja musiała pokazać nam swoje aktywa, zamiast po cichu, przez lata z nich korzystać.

Dlatego lata 2014–2021 to czas zniknięcia sprzed naszych oczu większości rosyjskiej agentury w Polsce. Po ataku na Krym w 2014 roku (wojnie z Ukrainą), tłumaczenie przez nią, że Rosja jest państwem, które się europeizuje i może być naszym przyjacielem, straciło sens. Gdzie zniknęła rosyjska agentura? Jej lewicowa część płynnie włączyła się w manifestacje obrońców demokracji, zarzucających Polsce odchodzenie od europejskich standardów oraz spychanie jej w objęcia... Putina. Kto zna przewrotność metod stosowanych przez Rosję od wieków, nie będzie ani odrobinę zdziwiony.

Podczas gdy lewicową agenturę Rosja uśpiła, uruchomiła agenturę na prawicy, w dużej części uśpioną przez 20 lat w III RP. Ze zdziwieniem obserwowaliśmy powrót zapomnianych ludzi moczarowskiego skrzydła PZPR, koncesjonowanych w PRL stowarzyszeń katolickich czy wojskowych służb, którzy nagle chcieli na YouTube być wychowawcami Młodzieży Wszechpolskiej czy ONR.

Niepodległościowy rachunek sumienia

Na ile wyciągnęliśmy wnioski z tego, co ukazało się naszym oczom po 10 kwietnia? Ten nasz niepodległościowy rachunek sumienia jest złożony. Całkowicie zmieniła się sprawa bezpieczeństwa i międzynarodowej pozycji Polski. Przestaliśmy być kondominium rosyjsko-niemieckim. Powstała inicjatywa Międzymorza, a do Polski trafiły amerykańskie wojska. To są sprawy nie do przecenienia.

Dzięki Antoniemu Macierewiczowi w ogromnym stopniu odbiliśmy z rąk postkomuny wojsko. Do policji przyszło wielu młodych, inaczej myślących funkcjonariuszy, ale na poziomie zarządzających policją zmieniło się niewiele. Gdy chodzi o sądy, udało się odebrać postkomunie Trybunał Konstytucyjny i w części Sąd Najwyższy, zmiany są w toku. Na uniwersytetach nie zrobiliśmy nic – postkomuna rządzi niepodzielnie. Gdy spojrzymy na historię, legendą Żołnierzy Wyklętych udało się zarazić polskie osiedla i dzielnice, ale raczej kanałami innymi niż szkolna edukacja.

Porównanie potencjału intelektualnego obozu niepodległościowego oraz Targowicy pomiędzy 2010 a 2021 rokiem wypada zdecydowanie na naszą korzyść. Gdy chodzi o media, to przed 2010 rokiem Monika Olejnik i Tomasz Lis robili w telewizjach za apolityczne autorytety, a potem przyszedł czas, gdy każdy news o ich manipulacjach stawał się hitem Internetu. Po patriotycznej stronie wyrosło nowe pokolenie dziennikarzy i publicystów, bardziej przekonujących dla opinii publicznej niż ci ze strony przeciwnej.

Nie rezygnować z ambitnego celu

Strona przeciwna lubi nazywać tę wojnę polsko-polską, choć określenie polsko-bolszewicka znacznie trafniej oddaje stan faktyczny. Taki podział nie jest dobry dla Polski, lecz jest stokroć lepszy niż sytuacja sprzed 10 kwietnia 2010 roku, gdy zamiast podziału był monopol Targowicy i rozmyty obóz niepodległościowy. Tak jak sytuacja, w której „Wiadomości" TVP i „Fakty" TVN pokazują zupełnie inny obraz Polski, jest stokroć lepsza od tej, gdy trzy stacje telewizyjnie zgodnie pokazywały obraz kłamliwy.

Ostateczne zwycięstwo powinno dokonać się poprzez wyparcie Targowicy z polskiego życia publicznego. W 2015 roku w „Liście z sekty smoleńskiej do partii Razem" pisałem o tym: „Cel obozu niepodległościowego powinien być bardziej ambitny niż objęcie władzy przez PiS. Musi być nim wyeliminowanie postkomunistycznej oligarchii

eprasa.pl c414db9aa6

z całej sceny – od prawa do lewa. Tak, by miejsce skorumpowanych marionetek zajęli uczciwi kontynuatorzy najważniejszych polskich tradycji politycznych". Do realizacji tego celu jest nam jeszcze daleko.

Emocje, których nie chcemy

Od 2010 roku zmienił się świat i zmieniły się media. Na nasz podział nieuchronnie nakładają się różne cywilizacyjne zmiany i konflikty. Piotr Grochmalski pisał niedawno w „Gazecie Polskiej" o tym, jak portale społecznościowe żyją z generowania konfliktów. Wskazał na istnienie mechanizmów, które od lat, za pomocą rozbudowanych algorytmów, rozbudzają nasze emocje, radykalizują je i rozbijają tradycyjne więzi społeczne: „Wyolbrzymia się różnice między grupami, nawet pozorne, a jednocześnie uwypukla podobieństwa między członkami danej społeczności. Stopniowo buduje się do tych innych wrogość, dehumanizuje się ich, wymyśla się pojęcia, które mają ich poniżać, a wśród swoich tworzy się »język miłości«. Inni stają się obcy – przestają mieć już twarze, wywołują frustrację, agresję. Są określani zwykle jednym obraźliwym określeniem". Jak stwierdzał, dziś w Ameryce „sfrustrowani Demokraci i Republikanie nie odczytują, że wiele ze wzajemnej agresji jest dziełem nie ich samych, ale że padają ofiarą manipulacji algorytmów Facebooka, Googla".

Ten nowoczesny aspekt musimy brać po uwagę, żebyśmy brali udział w tych konfliktach, które posuwają polskie sprawy do przodu, i łagodzili te, które są dla nich szkodliwe. Priorytetem powinna być niepodległość Polski – anomalia na tle ostatnich 250 lat polskiej historii. Jej utrwalanie, umacnianie z roku na rok poprzez budowę własnej siły i zawieranie sprzyjających jej sojuszów.

Tym bardziej, gdy na naszej scenie politycznej instalowane są twory perfidne, posługujące się patriotyczną retoryką, jak Konfederacja, która jednocześnie zawsze jest ugodowa tam, gdzie trzeba być twardym, i twarda tam, gdzie trzeba być ugodowym. Czyli działa antypatriotycznie, hałaśliwie o patriotyzmie mówiąc.

Od dawna przyglądam się też na przykład Fundacji Pro – Prawo do Życia, znanej z drastycznych plakatów antyaborcyjnych. Na jej czele stoi Mariusz Dzierżawski, były zastępca Janusza Korwin-Mikkego w prorosyjskiej Unii Polityki Realnej. Gdy PiS lansował „piątkę dla zwierząt", fundacja ta upowszechniała przekaz, że PiS broni zwierząt, a nie życia nienarodzonych. Ostatnio, gdy doszło do wyeliminowania przesłanki eugenicznej, gdy chodzi o dopuszczalność aborcji, przez Polskę przetoczyły się olbrzymie protesty, a obóz niepodległościowy nie bez kłopotów musiał się z nimi zmierzyć, Fundacji Pro – Prawo do Życia zaczęła zbierać podpisy, by prawo aborcyjne zostało... zaostrzone jeszcze bardziej. Uważam, że generowane przez fundację emocje nie mają służyć Polsce ani nawet walce z zabijaniem nienarodzonych. Mamy inne próby: uliczne pląsy przedsiębiorców-przebierańców, rolników-przebierańców, nonkonformistów-przebierańców. Dumnie prężą się na nich opętańcy od szczepionek, 5G, 447, walki z Ameryką, niewiary w pandemię.

Moim zdaniem nasz radykalizm powinien dotyczyć trzech punktów kluczowych dla naszej niepodległości: dekomunizacji, odbudowy historycznej tożsamości Polski, budowy Międzymorza oraz jego zbliżenia z Ameryką. I to była zamknięta lista tematów, w których warto było być radykałem. Kto mnoży radykalizmy ponad potrzebę, szkodzi realizacji tych trzech celów. Nie da się być radykałem w każdej sprawie, bo te radykalizmy wzajemnie się znoszą. A ich rozmnożenie sprzyja uniemożliwianiu – poprzez emocje wokół spraw niepierwszorzędnych – realizacji tych trzech najważniejszych.

Nie jesteśmy „bańką medialną"

I jeszcze jedna pułapka. W ostatnim roku modne stało się słowo „bańka medialna", które rozmywa to, co udało nam się w naszym języku naprawić po Smoleńsku. Według wielu używających tego sformułowania, my siedzimy w jednej bańce, a oni w drugiej. To moim zdaniem bardzo niebezpieczne określenie, bo skupia się na formach komunikowania, a nie na treści. Zamiast „obóz niepodległościowy" i „Targowica", mamy mówić ich i nasza bańka medialna. W efekcie to, co mówi się w jednym i drugim obozie, jest niejako zrównywane – jedni mówią rzeczy, które nie docierają do drugich, i odwrotnie.

To, że jeden obóz służy dobru, a drugi złu; jeden prawdzie, a drugi kłamstwu; jeden niepodległości, a drugi obcym potęgom – traci na znaczeniu. Bo skoro również źli zarzucają dobrym, że są źli; kłamcy zarzucają głosicielom prawdy, że kłamią; zdrajcy zarzucają patriotom, że są Targowicą (osławione zarzucanie PiS, że służy Putinowi) – to wszyscy mają swoje racje.

Tak nie jest. Lekcji 10 kwietnia 2010 roku w tej sprawie nie wolno nam zapomnieć do końca życia. ■

eprasa.pl c414db9aa6

Ryszard Czarnecki

Smoleńsk – moja uparta pamięć...

Jesteśmy dłużnikami jakże wielu z tych, którzy przed 11 laty zginęli na rosyjskiej ziemi. Pamiętajmy o tym nie tylko podczas smoleńskich rocznic...

To było 11 lat temu, a boli dalej. Bardzo. Ból może i przytłumiony, lecz wciąż wielki. Co miesiąc, każdego 10., idę na ósmą rano do kościoła ss. Wizytek na Krakowskim Przedmieściu, na mszę „smoleńską". Od lat jestem jednym z tych, którzy czytają na niej Modlitwę Wiernych. Od lat ksiądz – główny celebrans – odczytuje nazwiska naszych rodaków, za których się modlimy.

Nasza pamięć jest uparta. Nie wykasowałem z mojej komórki żadnego numeru telefonu należącego do tych, których znałem, często blisko, czasem bardzo blisko i którzy na służbie dla Polski polegli 10 kwietnia 2010 roku. Zmieniam telefony, normalna sprawa, ale ten spis, ta lista, zostają.

Pan Prezydent. Zapamiętam dyskusje o historii z nim – bądź co bądź prawnikiem, lecz przecież historykiem z powołania – w których przebijał swoją wiedzą o historii ojczystej całe zastępy historyków z wykształcenia, tych pełniących ważne funkcje państwowe – prezydenta Komorowskiego (historyk po Uniwersytecie Warszawskim), Donalda Tuska (historyk po Uniwersytecie Gdańskim), marszałka Sejmu Schetynę (historyk po Uniwersytecie Wrocławskim), marszałka Senatu Borusewicza (historyk po KUL).

Pamiętam do dziś rozmowę ze śp. Prezydentem o naszych rodakach służących Ojczyźnie, której nie było na mapie – a czynili to na najwyższych stanowiskach: premiera, ministrów spraw zagranicznych czy finansów CK Austrii. Pamiętam kolację w Pałacu Prezydenckim, z której wyszedłem, zanim się skończyła, tłumacząc się jakimś występem w programie w Polsacie. Nie pamiętam, o czym był ten program, kto prowadził, kto w nim występował, ale do dziś myślę, jak byłem głupi, że wtedy poświęciłem choćby kilkanaście minut rozmowy, a może dłużej, z głową państwa dla jakiegoś – nieważnego z perspektywy lat – wystąpienia w TV.

Pierwsza Dama. Pani Prezydentowa swoim czarem i urokiem potrafiła nie tyle „ocieplać" wizerunek męża, co czynić jego misję nieraz bardziej skuteczną w obszarze soft-diplomacy. Była sobą, a to ważne w życiu publicznym.

Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent RP na Uchodźstwie, w którego domu w północno-zachodnim Londynie nieraz gościłem. Do dziś pamiętam adres (dziś już nie należy do rodziny prezydenta) i nawet jego londyński numer telefonu, ale przede wszystkim jego serdeczność, otwartość dla gości z Polski traktujących „Polski Londyn" jako może symboliczną, lecz ważną placówkę w walce o Niepodległą. Mój imiennik, harcerz z Białegostoku skazany przez Sowietów na karę śmierci, ostatecznie wyszedł z Armią Andersa z „nieludzkiej ziemi", bił się pod Monte Cassino, tam częściowo stracił słuch. Był patriotą starej daty, człowiekiem bardzo wierzącym. Pozostał do końca życia harcerzem, który w najbliższym otoczeniu „tępił" palaczy... Jego żona, Karolina, mówiła do mnie „druhu", tak jak zwracają się do siebie ludzie w harcerstwie – Pan Prezydent wcześniej przez wiele lat był szefem ZHP na Obczyźnie.

Krzysztof Putra, wicemarszałek Senatu, z kresową duszą i sercem na dłoni, ojciec wielodzietnej rodziny, facet z zasadami.

Jerzy Szmajdziński, wicemarszałek Sejmu z SLD. Miał być kandydatem tej formacji na prezydenta w wyborach 2010 roku. Byliśmy na dwóch biegunach politycznych, lecz o sporcie mogliśmy rozmawiać zawsze i długo.

Krystyna Bochenek – poznałem ją kilkanaście lat wcześniej, zanim została wicemarszałkiem Senatu. Jako dziennikarka Polskiego Radia w Katowicach organizowała ogólnopolskie Dyktanda Ortograficzne, w tym jedno dla... polityków. I wtedy mieliśmy okazję pierwszy raz porozmawiać.

Janusz Kochanowski, Rzecznik Praw Obywatelskich. Pamiętam rozmowę z nim w jego gabinecie. Cenił swój urząd i gdy Michał Kamiński, europoseł PiS (!), zrezygnował z mandatu, przechodząc do pracy w Kancelarii Prezydenta, i RPO mógł objąć po nim europarlamentarny mandat, pan Janusz nie skorzystał z tej możliwości. Pewnie gdyby wtedy podjął inną decyzję, możliwe, że żyłby do tej pory, lecz wolał służyć Polsce jako „ombudsman".

Janusz Kurtyka przypomniał współczesnym bohaterstwo ludzi WiN. Jego uśmiech i zapał będę zawsze pamiętał.

I jeszcze wielu innych...

Jesteśmy dłużnikami jakże wielu z tych, którzy przed 11 laty zginęli na rosyjskiej ziemi. Pamiętajmy o tym nie tylko podczas smoleńskich rocznic... ■

eprasa.pl c414db9aa6

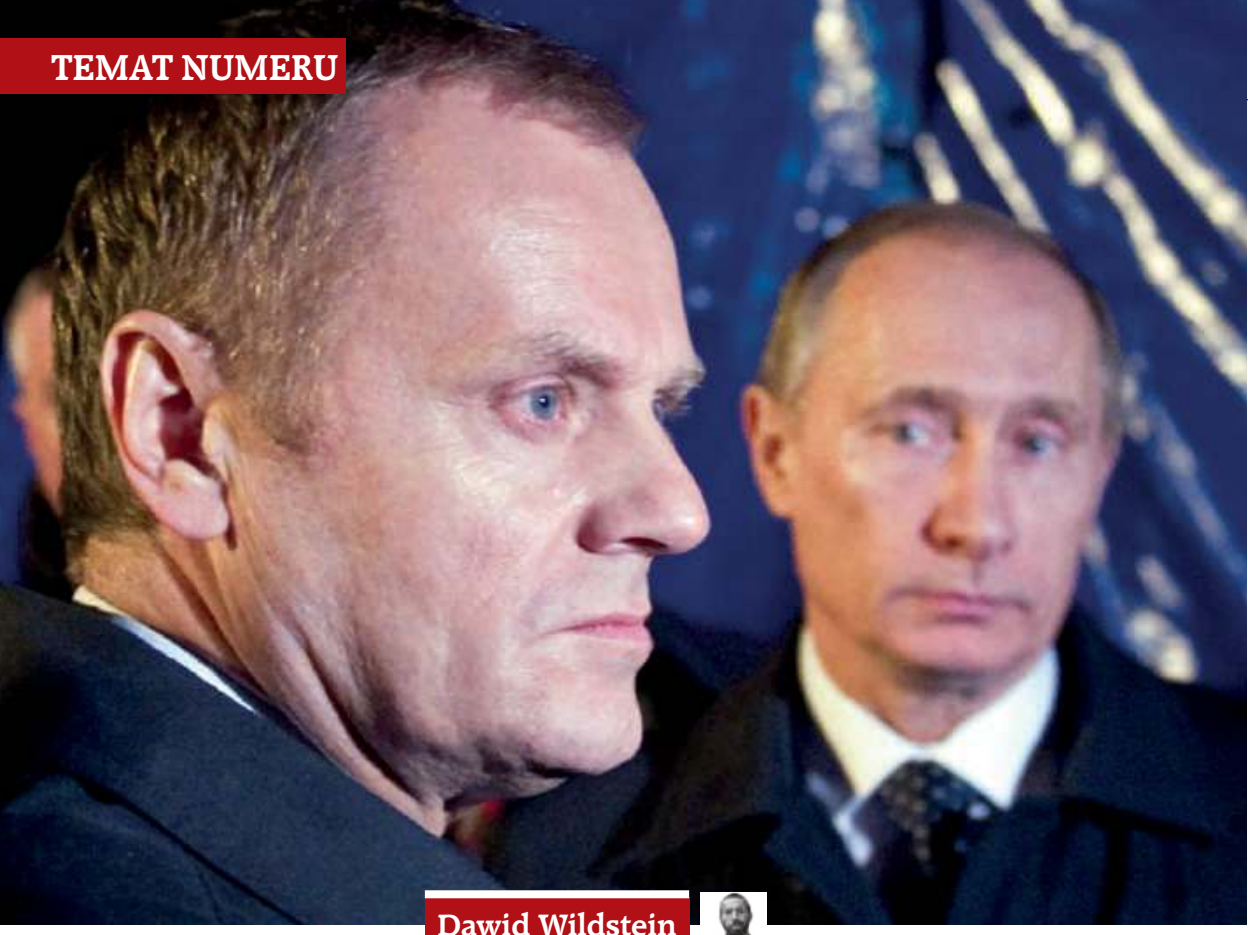

Dawid Wildstein

Platforma to Smoleńsk

Mija 11. rocznica tragedii smoleńskiej. Powinna być momentem zadumy całej zbiorowości, upamiętnieniem wszystkich, którzy zginęli tamtego dnia, niezależnie od ich przynależności politycznej. Niestety, do niczego takiego nie dojdzie. Oczywiście w porównaniu ze zbydlęceniem, z jakim mieliśmy do czynienia tuż po 10 kwietnia, sytuacja znacząco się znormalizowała. Dojdzie jednak na pewno do wielu prowokacji i profanacji ze strony pseudobojówek PO, takich jak KOD. Po raz kolejny 10 kwietnia nie będzie doświadczeniem jednoczącym wspólnotę. Warto zastanowić się na przyczynami tego stanu rzeczy.

eprasa.pl c414db9aa6

Trzy tygodnie przed 11. rocznicą tragedii smoleńskiej redaktor Anita Gargas ujawniła wstrząsające nagranie rozmowy, którą przeprowadził Edmund Klich z Donaldem Tuskiem kilka tygodni po katastrofie. Niezależnie od tego, co sądzimy na temat przyczyn tego, co wydarzyło się w Smoleńsku, nagranie to nie pozostawia żadnych wątpliwości co do roli Tuska po 10 kwietnia 2010 roku. Stopień nieodpowiedzialności, bagatelizowania tej tragedii, zwykłego ludzkiego chamstwa, politycznego kunktatorstwa ze strony tego człowieka był po prostu niesłychany.

Fajnie, że zginęli...

Jedno wynika jasno z tej rozmowy. Tusk po 10 kwietnia 2010 roku nie zrobił kompletnie nic i, kolokwialnie rzecz ujmując, olał temat, zajmując się głównie (co wyraża wprost w nagraniu) pilnowaniem, żeby nikt nie próbował oskarżać Rosji o tę tragedię. Z tej rozmowy mogą płynąć tylko dwa wnioski. Albo Tusk okazał się nieudacznikiem z zerowym pojęciem o zarządzaniu państwem. Dyzmą, który nigdy nie powinien objąć tak wysokiego stanowiska. Albo jego indolencja była tak naprawdę celowym działaniem, mającym możliwie pogłębić chaos w Polsce związany z katastrofą, umożliwiając Rosji pełną kontrolę nad śledztwem i narracją. Niezależnie od przyczyny, w normalnym państwie byłby to koniec tego człowieka. Niestety, w polskich realiach ta wstrząsająca informacja zapewne dość szybko zniknie. Zwolenników prawicy utwierdzi ona w tym, co już wiedzą od dawna, większości społeczeństwa najprawdopodobniej w ogóle nie obejdzie.

Co gorsza, jeśli chodzi o elektorat Platformy, dojdzie do bardzo typowej dla tej grupy wyborców patologii. Wiadomość, która powinna ich otrzeźwić i zmusić do ponownego zastanowienia się nad postacią Tuska, stanie się dla nich... argumentem za jego „wielkością". Niestety zarówno Donald Tusk, jak i Platforma Obywatelska nadal potrafią swoje „smoleńskie grzechy", cały ten zestaw błędów, patologii i zaniechań, które wtedy popełnili, używać jako rodzaj paliwa wyborczego. Owszem, działającego na ich najbardziej wierny elektorat, niemniej wiążącego go z nimi, umożliwiającego im sterowanie jego emocjami. Wystarczy wejść na losową, hejterską stronę wspierającą PO, by zrozumieć ten mechanizm. Otóż jest to ze strony Platformy rodzaj „mrugania okiem" do swojego betonowego elektoratu, do KOD-ów i innych tego typu przybudówek. Wysyłanie im komunikatu: „Owszem, dokładnie tak zrobiliśmy, ale dobrze się stało. Bo tamci to byli PiS-owcy", „bo kto tego Kaczyńskiego traktował poważnie", „bo po co się tam pchał", „bo kto za nimi tęskni" etc. Jak to możliwe, że w Polsce 2021 równie prymitywna i agresywna narracja nadal trwa i przekonuje tak wiele ludzi?

Wypaczony mit założycielski

Żeby to zrozumieć, trzeba cofnąć się o 11 lat. W obliczu kryzysu, jakim był 10 kwietnia 2010 roku, i takiej nieudolności PO, zwyczajne mechanizmy propagandowe mogły nie wystarczyć, żeby wytłumaczyć społeczeństwu tak głęboką porażkę państwa. Zrobiono więc ze Smoleńska rodzaj wypaczonego mitu założycielskiego. Rozpoczęto wielomiesięczną operację, mającą na celu wytłumaczenie Polakom, że *de facto* 10 kwietnia 2010 roku był... wydarzeniem pozytywnym. Rodzajem może bolesnego, lecz koniecznego etapu do przejścia, dzięki któremu Polska stanie się lepsza. Ci, którzy tam zginęli, zasłużyli na swój los. Byli reprezentantami tego, co stare, reakcyjne, populistyczne. Teraz oczyszczona Polska miała w końcu szansę na normalność.

Platforma, walcząc z tymi, którzy chcieli upamiętnić ofiary Smoleńska, przedstawiała samą siebie jako nową jakość, wręcz „nowy lud", zrzeszający tę część Polski, która dorosła do Europy, która jest gotowa w niej istnieć, w przeciwieństwie do reszty polskiego motłochu (proszę przypomnieć sobie, jak „Wyborcza" czy TVN opisywały bandy profanujące Krzyż na Krakowskim Przedmieściu – właśnie jako „nowych, lepszych Polaków"). Operacja ta wymagała nie tylko zdehumanizowania całej opcji politycznej, którą reprezentował Lech Kaczyński, lecz także tych, którzy ich wybrali. Po raz pierwszy w dziejach III RP uderzenie propagandowe poszło nie tylko w polityków, lecz także zwyczajnych obywateli. Powstał nawet spot o wiele mówiącym tytule „Zło", który przedstawiał wyborców PiS jako niebezpiecznych wariatów, agresywnych meneli, ludzi zdegenerowanych i zdeprawowanych. W tej nowej narracji nie można już było mówić o jakiejkolwiek wspólnocie. Platforma jasno wskazała – póki taka partia jak PiS będzie istniała w Polsce, póty nasze państwo nie będzie normalne. Póki ta formacja będzie mogła wpłynąć na Polskę, więcej, póki będą istnieć ludzie, którzy są gotowi ją popierać – nasz kraj będzie ułomny. Nie będzie godny szacunku. Obowiązkiem odpowiednio „europejskiego" i „postępowego" Polaka staje się kontestowanie własnego państwa. Bowiem osłabianie go, osłabia także demony, które PiS wzbudza. Okazało się, że koegzystowanie z ciemnogrodem popierającym Prawo i Sprawiedliwość nie jest możliwe, ponieważ jest on oszalały, niebezpieczny, niedojrzały i prymitywny. Jest wręcz niebezpieczny dla całej Europy.

fot. Sheremetov Maxim/PAP/ITAR-TASS

eprasa.pl c414db9aa6

Umoczyć społeczeństwo

Niestety operacja PO okazała się skuteczna. W te ponure bachanalia Platformy, w cały ten przemysł nienawiści i pogardy PO udało się wciągnąć dużą część społeczeństwa, „umoczyć" ją w tej patologii. W żartach o zimnych Lechu i krwawej Mary, w krzyżu z puszek po piwie, we wrzaskach „jeszcze jeden", w nabijaniu się ze Smoleńska, w kpinach ze śmierci i ofiar. Szczególnie udało się PO „ubrudzić" związanych z tą partią dziennikarzy i rozmaite salony intelektualne, i to w sposób trwały. Oni już nigdy się nie zmienią. Mają świadomość tego, jak bardzo przekroczyli granicę, w czym partycypowali. PO zastosowało tu po prostu mafijną strategię – umiejętnie (zresztą ku ówczesnemu zachwytowi większości swoich medialnych sojuszników) wymusiła na nich współudział w czymś, co z perspektywy czasu – i nie jest to przesadne określenie – było po prostu zbrodnią. Czy mowa tu o wychwalaniu działań na przykład Palikota i jego tańców na smoleńskich grobach, czy też o powtarzaniu, dziś wiemy jak nieprawdziwej, narracji rosyjskiej w sprawie Smoleńska, ich fake newsów uderzających w ofiary tej tragedii.

Ten wypaczony mit założycielski *de facto* stworzył obecną Platformę i jej zaplecze. Właściwie każda z najpoważniejszych patologii, jakie uosabia ta partia, ma swoje źródło w tej tragedii. Po pierwsze rozgrywanie wewnątrz polskiego, naturalnego w obrębie demokracji, konfliktu politycznego poprzez ośrodki zagraniczne. Po drugie – gotowość do rezygnowania z podmiotowości państwa na rzecz krótkotrwałych zysków politycznych. Wykorzystywanie ośrodków zagranicznych do uderzania w swojego przeciwnika politycznego – w zamian oferując im szereg korzyści, udostępniając im zasoby własnego państwa. Szukanie prestiżu i legitymacji do sprawowania władzy u silniejszych sąsiadów – czy mowa o Moskwie (narracja, że tylko my uchronimy Polskę przed konfliktem z Putinem), Berlinie (słynny hołd Sikorskiego) czy Brukseli. Wtedy też po raz pierwszy w propagandzie PO tak wyraźnie zaznaczyła się tendencja, dziś będąca właściwie znakiem rozpoznawczym tej partii, postrzegania walki o suwerenność swojego państwa jako czegoś niewłaściwego, „niedojrzałego", jako „machania szabelką". Snucie narracji, w której Polska przedstawiana jest jako państwo niedojrzałe i nienormalne, które może „doścignąć" resztę Unii tylko poprzez oddanie Brukseli jak najwięcej własnych prerogatyw, słuchanie się tamtejszych salonów i implementację tych rozwiązań, które będą jej podsuwane przez elity europejskie.

Sekta smoleńska

Smoleńsk na trwałe zmienił polską dynamikę polityczną. *De facto* zniszczył politykę, rozumianą w bardziej klasyczny sposób, czyli jako spór nad sprawami wspólnymi dla danej zbiorowości. Platforma sprymitywizowała naszą debatę polityczną w sposób niesłychany. Zamiast dyskusji o programie mamy wciąż powtarzane opowieści o starciu dobra ze złem, postępu i ciemności. Platforma wraz ze swoimi satelitami przedstawia naszą rzeczywistość jako rodzaj stanu przedpolitycznego. Jako dynamiczny mit, w którym wciąż ścierają się, niczym w manicheizmie, siły światła i ciemności, zaś jakikolwiek realny namysł nad państwem musi poczekać, aż owo ostateczne starcie się zakończy, a siły zła zostaną przepędzone. Mit smoleński w wydaniu Platformy stworzył rodzaj spauperyzowanej, niesłychanie infantylnej religii, operującej sekciarskimi schematami. Jak to w sektach bywa, przyszły „Eden" nie jest do końca sprecyzowany. Wiadomo, że będzie to Polska europejska, pełna miłości i pokoju, kraina miodem i mlekiem płynąca. Za to bardzo konkretnie sprecyzowany jest wróg. Prawo i Sprawiedliwość w narracji Platformy i wspierających ją ośrodków medialnych i intelektualnych nie jest po prostu przeciwnikiem politycznym, partią. PiS jest rodzajem totemu, uosabia w sobie dużo więcej – całą polską domniemaną zaściankowość, brutalność, prymitywizm.

W ten sposób Smoleńsk ostatecznie stworzył z Platformy partię-wydmuszkę ideową, pozbawioną jakiegokolwiek programu politycznego, partię, która istnieje tylko poprzez ciągłe określanie się względem PiS-u, której podstawowa tożsamość jest negatywna, oparta na wzbudzaniu nienawiści do swojego głównego oponenta politycznego. Której kapitał polityczny opiera się na hejcie, a nie na pozytywnym programie politycznym. To, że tak wiele osób i środowisk weszło w tę infantylną i prymitywną sektę, też nie powinno dziwić. Po pierwsze jest to idealny sposób na ciągłe utrzymywanie swojej legitymacji do bycia elitą oraz oferowanie swoim wyznawcom złudnego poczucia, że oni także nią są, odróżniając się od reszty motłochu. Po drugie – tylko taką sekciarską i quasi-religijną narracją mogą usprawiedliwić działania, które w normalnym państwie byłoby po prostu postrzegane jako zdrada. Niestety, 10 kwietnia stworzył prawdziwą sektę fanatyków. Pamiętają Państwo jeden z ulubionych epitetów, jakimi Platforma, „Wyborcza" i TVN określały tych, którzy chcieli godnego upamiętnienia ofiar Smoleńska? Mianem sekty smoleńskiej. Z perspektywy 11 lat wyraźnie widać, że to określenie bardzo trafne – z tym, że w ten sposób opisali oni sami siebie. ■

eprasa.pl c414db9aa6

Praktyczny poradnik finansowy

– czyli jak zadbać o swoje pieniądze?

dowiesz się
w **Gazecie Polskiej Codziennie**
i na **gpcodziennie.pl**

NBP Narodowy Bank Polski

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

eprasa.pl c414db9aa6

Grzegorz Wierzchołowski

SMOLEŃSK – 11 lat po zamachu

Trudno uwierzyć, ale od tragedii, która wydarzyła się 10 kwietnia 2010 roku w Smoleńsku, minęło już jedenaście lat. Od samego początku „Gazeta Polska" i „Nowe Państwo" kontestowały oficjalne rosyjsko-polskie ustalenia, wskazując na dowody i poszlaki świadczące o terrorystycznym charakterze katastrofy. Dziś wiemy, że zebrane informacje i fakty potwierdzają nasze wcześniejsze hipotezy.

BRZOZA

Polski Tu-154 nie mógł uderzyć w słynną smoleńską brzozę. Wskazują na to dane zawarte w systemach nawigacyjnych TAWS (system ostrzegania o zbliżaniu się do ziemi) i FMS (komputer pokładowy) oraz dane z wysokościomierza barycznego WBE-SWS zapisane w skrzynce parametrów lotu. Według nich samolot przed ostatecznym upadkiem na ziemię nigdy nie zszedł poniżej wysokości 18 m nad ziemią.

Podkomisja dokonała rekonstrukcji konsoli lewego skrzydła w miejscu, gdzie miało ono mieć według MAK kontakt z „pancerną" brzozą. Okazało się, że znajdują się tam ślady odkształceń właściwych dla oddziaływania wysokiego wewnętrznego ciśnienia, którego epicentrum zlokalizowano między żebrami nr 27 a 32.

Stwierdzono rozrzut odłamków we wszystkich kierunkach w stosunku do toru przemieszczania się samolotu. Chodzi m.in. o odłamki sekcji slotów lewego skrzydła, które były rozrzucone w kierunku zgodnym z torem lotu Tu-154M na przestrzeni od 20 do 230 m za „pancerną" brzozą. Z kolei większość odłamków klapy części lewego skrzydła było rozrzuconych od brzozy w kierunku głównego pola szczątków na przestrzeni od 15 m do 225 m.

Wiele odłamków części lewego skrzydła, którą miała uciąć brzoza, zostało znalezionych... przed tym drzewem na obszarze od 41 m na północ do 17 m na południe w kierunku prostopadłym do kierunku lotu oraz aż do 43 m na wschód od drzewa.

CZARNE SKRZYNKI

Para tzw. rejestratorów katastroficznych tupolewa nr 101 – czyli rejestrator pokładowy MSRP-64M-6 i rejestrator dźwiękowy MARS-BM nr 323025 (dwie najważniejsze „czarne skrzynki") – została dwukrotnie „znaleziona" na wrakowisku pod Smoleńskiem. I to tego samego dnia: 10 kwietnia 2010 roku. Na charakterystyczne pomarańczowe rejestratory natrafiono najpierw wczesnym popołudniem, po godzinie 14:30. Według rosyjskich protokołów urządzenia te nie były uszkodzone, a po dokładnych oględzinach zostały spakowane do polietylenowych worków i zabrane. Wieczorem takie same skrzynki – z identycznymi napisami i tego samego koloru – zostały odnalezione w Smoleńsku ponownie. Tyle że nosiły już ślady „rozległych i licznych" uszkodzeń. Po oględzinach włożono je do kartonowych pudeł, które zalepiono taśmą.

„Zaginiony" rejestrator danych KZ-63, który rzekomo miał ulec całkowitemu zniszczeniu podczas katastrofy smoleńskiej, przetrwał ją. Bardzo dobrze zachowane fragmenty części zewnętrznej urządzenia, znajdujące się wśród nienaruszonych części otoczenia rejestratora, widoczne są na zdjęciach wykonanych w pierwszych godzinach po katastrofie. Zapisy tej skrzynki – dokonywane na taśmie celuloidowej – jako jedyne nie mogły zostać sfałszowane. KZ-63 rejestrował kluczowe parametry, takie jak gwałtowne przeciążenia, w tym tzw. twarde lądowania.

W niewyjaśnionych okolicznościach w Smoleńsku zaginął TCAS II – pokładowy system zapobiegający zderzeniom statków powietrznych i przechowujący dane o operacjach samolotu.

Oryginalne rejestratory FDR (zapisujący parametry lotu) i CVR (nagrywający rozmowy w kokpicie) – dwie najważniejsze czarne skrzynki tupolewa – od początku są w rękach Rosjan. Polacy otrzymali z Moskwy jedynie zmanipulowane kopie zapisów obu rejestratorów.

EKSPLOZJA

Na eksplozję w lewej części skrzydła wskazują zniszczenia powybuchowe na skrzydle i odłamkach oraz inne dowody. Są to: „loki" powybuchowe, czyli charakterystyczne zawinięcia materiału na poszyciu spodnim oderwanej końcówki części lewego skrzydła; odkształcenia odłamków na skutek wewnętrznej fali powybuchowej; rozrzut odłamków we wszystkich kierunkach w stosunku do toru przemieszczania się samolotu (także w tył i na boki); identyfikacja wewnętrznych części skrzydła, które osiadły na gałęziach wysokich partii drzew.

Według podkomisji smoleńskiej główną przyczyną zniszczeń Tu-154 na moment przed przyziemieniem była eksplozja kesonu baku balastowego (która nastąpiła po wybuchu na skrzydle). W jej wyniku zniszczony został sam keson, czyli fragment lewej części centropłata, wraz z przednim dźwigarem i osmolonymi żebrami. Dźwigar przeleciał około 70 m na zachód. Wybuch rozsadził trzecią salonkę, zabijając wszystkich jej pasażerów i rozrzucając ich szczątki na całej długości wrakowiska. Równocześnie fala detonacyjna wysadziła lewe drzwi pasażerskie, które z ogromną siłą wbiły się na metr w ziemię, a tysiące fragmentów kuchni zostały rozproszone na jednej trzeciej obszaru katastrofy. Fala detonacyjna idą-

fot. Jacek Turczyk/PAP

eprasa.pl c414db9aa6

ca w kierunku ogona rozerwała fragment kadłuba i spowodowała wywinięcie lewej i prawej burty wraz z dachem na zewnątrz konstrukcji.

Na miejscu katastrofy znaleziono liczne odłamki osmolone i opalone rozsiane około 100 m przed miejscem upadku samolotu. Odłamki te, o wielkości od kilku do kilkunastu centymetrów kwadratowych, nosiły ślady oddziaływania termicznego oraz mechanicznego. Ponadto część z nich nosiła charakterystyczne ślady (mikrokratery) na swojej powierzchni, odpowiadające kształtem i wielkością śladom powstałym na odłamkach, jakie powstały po eksperymencie pirotechnicznym przeprowadzonym przez podkomisję. Cecha ta jest charakterystyczna dla zniszczeń spowodowanych przez detonację.

Na wybuch w centropłacie wskazują też zniszczenia w samym samolocie. Między innymi zupełne zniszczenie wszystkich foteli, całkowite zdarcie z wewnętrznej części kadłuba wykładziny wraz z izolacją oraz wyrwanie z burty lewych drzwi pasażerskich wbitych na 1 m w ziemię z prędkością przekraczającą aż 10-krotnie prędkość spadania samolotu.

Obecność materiałów wybuchowych (trotyl, heksogen, pentryt) na szczątkach lewego skrzydła (które podkomisja wskazała w raporcie technicznym jako miejsce eksplozji) i wewnętrznego fragmentu poszycia samolotu została już udowodniona przez laboratoria w Polsce, USA i Wielkiej Brytanii. Pozostałości takich substancji wykryto na przynajmniej 107 elementach wewnętrznych samolotu – przede wszystkim na metalowych częściach foteli.

KONTROLERZY

Naprowadzaniem samolotu na lotnisku Smoleńsk-Siewiernyj kierował z Moskwy gen. Władimir Benediktow – wojskowy ekspert od krwawych akcji „antyterrorystycznych" w Czeczenii i powietrznych operacji specjalnych.

Przed wylotem do Smoleńska piloci Tu-154 otrzymali od Rosjan karty podejścia z błędnymi danymi. Karty te to rodzaj instrukcji zawierającej podstawowe informacje potrzebne do przeprowadzenia udanego manewru lądowania na danym lotnisku.

Tupolew był od początku sprowadzany fałszywie oraz zmuszany do przyjęcia ostrzejszej ścieżki i szybszego schodzenia. Na przykład o godzinie 10:38:43 (czasu lokalnego) jeden z kontrolerów podał informację, że Tu-154M jest na ścieżce 9 km od progu pasa, a w rzeczywistości samolot znajdował się na odległości 10,5 kilometra od progu drogi startowej.

Wieża lotów zachęcała pilotów do lądowania komendą „pas wolny" i próbowała ich zmylić inaczej ustawionymi reflektorami.

Rosjanie nie przekazali polskim śledczym nagrania wideo pracy kontrolerów, które standardowo wykonywane jest przy każdym locie. Przyczyną braku zapisu było rzekomo „skręcenie przewodów pomiędzy kamerą a magnetowidem".

Rosja unieważniła pierwotne zeznania kontrolerów, przeprowadzone w kwietniu 2010 roku, z powodu „nieprawidłowości w procedurze przesłuchania świadków". Następnie przesłała polskiej prokuraturze nowe protokoły z przesłuchań, z lipca 2010 roku, które okazały się znacznie korzystniejsze dla strony rosyjskiej.

Kontrolerzy wydali polskiej załodze komendę „posadka dopołnitielno" (lądowanie warunkowe). Oznacza ona: kiedy będziesz na wysokości decyzji lub najdalej w odległości 1 km od progu pasa, podamy ci komendę: „lądować zezwalam" lub „odejście na drugi krąg". Piloci spodziewali się więc, że na wysokości 100 m zostanie im podana komenda, co mają dalej robić, i że będą dalej precyzyjnie prowadzeni zgodnie z zasadami sztuki nawigatorskiej. Stało się jednak inaczej. Gdy Tu-154M znalazł się na wysokości 100 m, nawigatorzy milczeli i żaden z nich nie wydał wymaganej komendy odejścia na drugi krąg.

W sierpniu 2011 roku samobójstwo popełnił 53-letni naczelnik Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB) w obwodzie twerskim gen. Konstantin Moriew, który przesłuchiwał smoleńskich kontrolerów po katastrofie.

W październiku 2012 roku samobójstwo popełnił Remigiusz Muś, technik pokładowy Jaka-40. Z zeznań Musia wynikało, że kontrolerzy ze Smoleńska złamali wszelkie procedury, zezwalając tupolewowi zejść na wysokość 50 m, i że kopie nagrań z kokpitu tupolewa zostały sfałszowane.

SEKCJE ZWŁOK

Rząd Donalda Tuska zrezygnował z pomocy najlepszych polskich lekarzy sądowych różnych specjalności, w tym antropologów i genetyków sądowych, którzy już w południe 10 kwietnia 2010 roku oficjalnie zgłosili gotowość, by jechać do Smoleńska. W wyniku tych zaniechań część ofiar katastrofy smoleńskiej spoczęło nie w swoich grobach, a protokoły sekcyjne sporządzone przez Rosjan świadczą o tym, że w większości przypadków sekcje w ogóle się nie odbyły.

eprasa.pl c414db9aa6

Przykłady: w trumnie śp. admirała Andrzeja Karwety – dowódcy Marynarki Wojennej – znaleziono liczne części ciał innych członków delegacji. W grobie śp. Natalii Januszko, najmłodszej ofiary katastrofy, znaleziono elementy ciał pięciu osób. Z kolei w trumnie gen. Bronisława Kwiatkowskiego ujawniono czternaście części ciała, należących do siedmiu osób. A w trumnie gen. Włodzimierza Potasińskiego było sześć części ciała, należących do czterech innych osób. W trumnie abp. Mirona Chodakowskiego znaleziono połowę jego ciała oraz połowę ciała gen. Płoskiego.

Nieprawidłowości dotyczą też pochówku śp. Lecha Kaczyńskiego. W trumnie prezydenta RP znaleziono fragmenty ciał dwóch innych osób. Rosjanie zamienili też ciała Piotra Nurowskiego i Mariusza Handzlika. Zbezcześcili również zwłoki Anny Walentynowicz – legendy „Solidarności" – zaszywając w jej ciele gumowe rękawiczki, rękaw marynarki i fragmenty innych materiałów.

Urzędnicy związani z Donaldem Tuskiem – Tomasz Arabski i Ewa Kopacz – wmawiali bliskim ofiar, że trumien nie wolno otwierać. Tymczasem prokuratura wojskowa nie wydała zakazu otwierania w Polsce trumien ofiar Smoleńska, a tylko ona mogła tego zabronić.

Dziś wiemy, że specyficzne zniszczenia ciał ofiar są dowodem na eksplozywny charakter zniszczenia tupolewa w Smoleńsku. Chodzi m.in. o całkowite rozczłonkowanie kilkunastu ofiar siedzących w salonce nad centrum eksplozji i rozrzucenie ich ciał na całym obszarze wrakowiska, oraz o liczne i rozległe rany oparzeniowe zwłok ofiar odnalezionych poza sferą ognia naziemnego.

▶ SŁUŻBY SPECJALNE

Tupolew, który rozbił się pod Smoleńskiem, od 20 maja do 23 grudnia 2009 roku przebywał w zakładach należących do rosyjskiego oligarchy Olega Deripaski, zaprzyjaźnionego z Władimirem Putinem. Prawą ręką Deripaski jest Walerij Pieczenkin, były agent KGB i FSB.

Zakłady Saturn, w których odbył się remont Tu-154M nr 101, od 2009 roku kontrolowane są przez Siergieja Czemiezowa – byłego agenta KGB, bliskiego przyjaciela Władimira Putina, z którym obecny prezydent Rosji pracował razem w latach 80. w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Polski MSZ wyznaczył do organizacji prezydenckiej wizyty w Rosji Tomasza Turowskiego – jednego z najgroźniejszych komunistycznych szpiegów, w III RP oficera UOP i Agencji Wywiadu.

Tuż przed katastrofą smoleńską Dmitrij Miedwiediew zmienił naczelnika FSB w Smoleńsku. Został nim pułkownik Oleg Konoplew – wcześniej zastępca szefa FSB w Twerze, skąd pochodzi także znany z wieży w Smoleńsku płk Nikołaj Krasnokucki. Rok po katastrofie smoleńskiej Konoplew został awansowany na generała-majora.

▶ ŚLEDZTWO

Z nagrania ujawnionego niedawno przez Anitę Gargas w TVP jasno wynika, że to Donald Tusk odpowiada za prowadzenie śledztwa smoleńskiego według korzystnej dla Putina konwencji chicagowskiej, a dokładniej: według jej załącznika 13. „Świadomość Rady Ministrów i moja po relacji ministra Grabarczyka była jednoznaczna. Że z punktu widzenia naszej wiedzy, znaczy wiedzy resortowej i pańskiej rekomendacji, konwencja chicagowska jest tym, czym będziemy się kierować" – tłumaczył Tusk akredytowanemu przy MAK Edmundowi Klichowi 23 kwietnia 2010 roku. Klich był zdumiony – gdyż był przekonany, że w pierwszych dniach po tragedii smoleńskiej polski rząd negocjował jakieś inne ramy prawne.

Podstawa prawna badania przyczyn katastrofy smoleńskiej – Załącznik 13 do konwencji chicagowskiej – została wybrana przez premierów Polski i Rosji. Ale porozumienie w tej kwestii nie zostało utrwalone na piśmie; Centrum Informacyjne Rządu informowało, iż z rozmów z Tuska i Putina przeprowadzonych 10 kwietnia 2010 roku nie sporządzono notatek, gdyż spotkanie premierów miało... charakter kurtuazyjny.

Pierwsze działania po katastrofie nie toczyły się, jak się powszechnie uważa, według procedur konwencji chicagowskiej. Prowadzono je zgodnie z porozumieniem polsko-rosyjskim z 7 lipca 1993 roku, zawartym przez resorty obrony obu państw, określającym warunki współpracy obu krajów w sprawie ruchu samolotów wojskowych i badania katastrof lotniczych. Pod naciskiem Rosjan Tusk zrezygnował ze stosowania korzystnej dla Polski umowy z 1993 roku i zawarł tajne porozumienie z premierem Władimirem Putinem. Wówczas zaczęło obowiązywać rozporządzenie, wydane 13 kwietnia 2010 roku przez Putina, które badanie katastrofy i koordynowanie działań krajowych i międzynarodowych powierzyło Międzypaństwowemu Komitetowi Lotniczemu Tatiany Anodiny. W wyniku tej decyzji Polska musiała zaakceptować konkluzje raportu MAK. ■

eprasa.pl c414db9aa6

RASIZM ANTYPOLSKI

Jakub Augustyn Maciejewski

Profesor Zdzisław Krasnodębski wielokrotnie wskazywał, jak bardzo Niemcy pogardzają Polakami, profesor Andrzej Nowak nazywa to nawet rasizmem. Niemiecka prasa aż kipi od poczucia wyższości nad nadwiślańskim narodem. Geneza zjawiska pokaże nam, że postawy naszego zachodniego sąsiada zostały dokładnie zaplanowane.

eprasa.pl c414db9aa6

Esej Ullricha Fichtnera w tygodniku „Der Spiegel" był szeroko komentowany, także poza granicami RFN. W tekście o symptomach upadku Niemiec dziennikarz stawia tezę, że jego kraj jest właściwie kolosem na glinianych nogach, upadającym imperium. Niemieccy eksperci coraz częściej odnotowują słabość perspektyw swojej gospodarki, spadającą konkurencyjność własnych firm, a także porażki w systemie szczepień – tutaj za wzór pokazują Polskę, a nawet wyrażają uznanie dla ministra Michała Dworczyka. I właśnie jedną z refleksji, która skłoniła Niemcy do płaczu nad kondycją własnego państwa, jest porównanie z Polską – przecież to niemożliwe, zdają się mówić germańskie dusze, że ten wschodni, prymitywny kraj jest od nas w czymś lepszy. Ten zakodowany w niemieckiej mentalności przekaz o niższości Polaków jest problemem wielowymiarowym, wręcz: cywilizacyjnym.

Profesor Bogdan Musiał, który prowadzi w Berlinie badania nad historią XX wieku, często powtarza o tym problemie niemieckiego społeczeństwa. „Niemcy nigdy nie rozliczyli się ze swoją przeszłością i ze swojego stosunku do Polski" – mówi mi w jednej z rozmów. Przecież – tłumaczy historyk – poparcie dla antypolskiej polityki niemieckiej przed II wojną światową było silniejsze od poparcia dla NSDAP. W dodatku – co także uzmysłowił mi prof. Musiał – Niemcy byli nawet w stanie zawiesić swoją nienawiść do bolszewizmu, skoro porozumieli się ze Stalinem w celu zniszczenia Rzeczypospolitej. Co musiało siedzieć w głowach ideologów, którzy przez półtorej dekady budowali politykę na antybolszewizmie, by oto nagle porozumieć się z dotychczasowym wrogiem? Ano właśnie antypolonizm – antypolonizm na miarę biologicznego rasizmu.

Rasizm białych

Sam rasizm jako doktryna pseudonaukowa zrodził się w czasach europejskiego kolonializmu. Przekonanie o wyższości jednych ras nad drugimi ukonstytuował francuski arystokrata, dyplomata i filozof Joseph Arthur de Gobineau (1816–1882), który w połowie XIX wieku opublikował czterotomową pracę „Szkice o nierówności ras". Był to czas narodzin nauk społecznych, wyjątkowo pogubionych w zachwytach nad biologizmem, szukających wszędzie porównań na poziomie organicznych podobieństw, nawet Karol Marks lubił mierzyć czaszki nowym członkom swojego partyjnego środowiska. Jednak praca de Gobineau, choć niewiele miała wspólnego z rzeczową nauką, tak naprawdę oddawała tylko powszechne w zlaicyzowanym społeczeństwie przekonanie, że Europejczycy (biali), Azjaci (żółci) i Murzyni (czarni) różnią się od siebie nieusuwalnym poziomem emocji, inteligencji i zaradności. Zjawisk, które rzekomo potwierdzałyby taki stan rzeczy, nie trzeba było daleko szukać – oszałamiający sukces Starego Kontynentu w podboju reszty świata był widoczny gołym okiem, sama Wielka Brytania panowała nad jedną szóstą świata. Podziale ludzkości na lepszych i gorszych sprzyjała doktryna protestancka, która przegranych oceniała jako niemiłych Bogu, oraz właśnie nauki biologiczne, które w mechanizmach ciała człowieka widziały całą złożoność człowieczeństwa – bez etyki czy duchowości.

Kościół katolicki już rok po odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kolumba nakazał chrzcić Indian jako ludzi, a Hiszpanie szybko zaczęli się żenić z mieszkankami Nowego Świata, ale świat protestancki nie miał tyle wyrozumiałości. To dlatego mit Pocahontas, pięknej Indianki, która uwiodła Anglika Johna Smitha, był tak szokujący – to, co dla katolików było codziennością, dla świata anglosaskiego czy germańskiego było zniżaniem się do poziomu... dzikusów.

To wprowadzenie do teorii rasizmu jest konieczne, aby zrozumieć czynniki, które sprawiły, że podobnie zaczęto postrzegać Europę Środkowo-Wschodnią – w pewnym momencie państwa naszego regionu (Polska, Węgry, Serbia) straciły niepodległość, były podbite przez silniejszych sąsiadów i eksploatowane materialnie – dziesiątki i w niektórych wypadkach setki lat takiego stanu rzeczy utrwaliły przekonanie, że z narodami Trójmorza coś jest nie tak, że zasługują one na gorsze traktowanie. Takie poglądy zatliły się jeszcze w średniowieczu i zostały konsekwentnie poprowadzone w późniejszych wywodach intelektualnych. Wrogowie Rzeczypospolitej zobaczyli w tym fantastyczne narzędzie propagandy i zaczęli po prostu finansować setki publikacji, które udowadniały niższość Polaków.

Spoza Cesarstwa Rzymskiego

Wraz z odrodzeniem renesansu, od XV wieku, myśliciele przynieśli Europie szukanie narodowych korzeni. Prostą drogę mieli Włosi nawiązujący do Rzymu, Francuzi z historią od czasów Chlodwiga czy Niemcy z walecznymi Germanami. Na mapach antyku, wówczas chętnie oglądanych przez elity chrześcijaństwa, ówczesne tereny Rzeczypospolitej znajdowały się całkowicie poza zasięgiem Cesarstwa Rzymskiego. O nadwiślańskich ziemiach wzmiankowano jedynie u Tacyta, kojarzono może z handlem, ale była to *terra incognita*, ziemia dzikusów. Zachwyceni antykiem humaniści zaczęli brać stare księgi zbyt serio – skoro kronikarz z czasów cezarów źle pisał o ludach nadbałtyckich, to znaczy – wierzyli ludzie odrodzenia – że i dziś nie ma co tam patrzeć.

eprasa.pl c414db9aa6

Polakom nie pomagał fakt, że takimi ideami zachwycił się kardynał Eneasz Piccolomini, który został papieżem Piusem II. W okresie papieskim spuścił z tonu – Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie było zbyt ważnym elementem układu sił, by głowa Kościoła mogła je deprecjonować. Z autora tez jakoby Polacy byli barbarzyńcami, Ojciec Święty stał się przyjacielem Królestwa: „Myliłem się" – pisał w 1450 roku – „Polacy są tak wytworni jak Włosi".

Problem z europejskim humanizmem polegał więc na tym, że zaczęto uznawać narody spoza dawnego Imperium Rzymskiego jako zacofane. Wówczas elity z Krakowa potrafiły sobie z tym poradzić w iście spektakularny sposób – piórem Jana Łaskiego, Marcina Kromera i Marcina Bielskiego dosłownie wymyślono całą mitologię Sarmatów – walecznego ludu, który miał bić wcześniej Rzymian i nawet Greków Aleksandra Wielkiego. Ale późniejsze próby umniejszania roli Polski były już bardziej udane, a nasza reakcja – niewystarczająca.

sobie, to wpadnie w ręce innych potęg, bo przecież sama się nie ostoi. Z tego powodu 120 lat później Katarzyna II doprowadziła do I rozbioru, z tego powodu nazywano Polskę po 1918 roku „bękartem traktatu wersalskiego". Niepotrzebna Rzeczpospolita, beznadziejny kraj chaosu – oto motto antypolskich narracji.

Gdy ostatni Szwed został wyrzucony z Polski w 1660 roku, zlekceważono złe wrażenie, jakie pozostawiła wojenna propaganda. 30 lat później Samuel von Pufendorf spisał historię tej części Europy i przedstawił potop jako czas rozpadu Rzeczypospolitej, która i tak się długo nie ostoi. Tak sformułowano samospełniające się proroctwo. Raz rzucony siew antypolskiej propagandy wzrastał przez całe dekady, aż przybrał systemową formę.

Od połowy XVIII wieku w Berlinie i Petersburgu tak scentralizowano administrację monarszą, że tamtejsze dwory stać było na finansowanie publikacji w odległych zakątkach Europy. I tak oto Wolter, największy

W latach potopu szwedzkiego po raz pierwszy powstało pełne dzieło, które miało uzasadnić niższość ustrojową Polaków. Autorem antypolskich broszur został kronikarz Hermann Conring, który postawił tezy, powtarzane później przez carycę Katarzynę, cara Mikołaja I, a nawet Stalina.

Szwedzi i Prusacy

Na próbę opisania Polaków jako zacofanych nasi przodkowie odpowiedzieli błyskawicznie i z rozmachem. Połowa XVII wieku przyniosła jednak konkretną zmianę. Do dziś niewielu z nas zdaje sobie sprawę, jakie spustoszenie przyniósł potop szwedzki. Straty materialne i ludzkie są porównywane do zniszczeń z czasów I wojny światowej. Ubodzy Szwedzi rabowali na potęgę, potrafili bezcenną włoską sztukaterię skuwać niczym bolszewicy 300 lat później. Ale oprócz tego to właśnie w latach tej wojny (1655–1660) po raz pierwszy powstało pełne dzieło, które miało uzasadnić niższość ustrojową Polaków. Autorem antypolskich broszur został kronikarz Hermann Conring, który postawił tezy, powtarzane później przez carycę Katarzynę, cara Mikołaja I, a nawet Stalina. Pisarz stwierdził m.in., że jeśli Polacy „nie zostaną znów zbrojnie podporządkowani Szwedom, to całe ich królestwo przypadnie Moskwie, Kozakom, Tatarom i barbarzyńskim Turkom". Słowem: Conring stworzył uzasadnienie dla rozbioru Polski – że jeśli Rzeczpospolitą zostawi się samą

autorytet oświecenia, bywał gościem samego Fryderyka II w Berlinie, a prezenty z Rosji wędrowały do najpotężniejszego wydawnictwa kontynentu – francuskich encyklopedystów. Przy okazji miłych pogawędek i prezentów wręcz nakazano tym wpływowym pisarzom negatywnie opisywać Polskę – gdy jeden z niemieckich podróżników, który nie znalazł posady w polskiej szkole, sarkastycznie opisał sytuację w Rzeczpospolitej jako „polnische wirtschaft" (polskie gospodarzenie), podchwyciła to cała niemiecka klasa intelektualna – z Karolem Marksem włącznie. Oświecenie wyjątkowo krytycznie podchodziło do Polski – to wtedy narodził się rasizm wobec tej części Europy.

Od Wisły – dzikusy

Gdy pierwsi urzędnicy austriaccy pisali dla cesarza Józefa I raporty z niedawno zajętej Galicji, Polaków określano w Wiedniu mianem „Irokezów", czyli dzikich Indian, którzy skapitulowali przed wyższą cywilizacją. Tu dochodzimy do dwóch podstawowych cech dyskredytowania Po-

eprasa.pl c414db9aa6

laków – przegrani są opisani jak barbarzyńcy, a w tym opisie pojawiają się wątki rasistowskie – o rzekomej niższości całej zbiorowości. Obraz Rzeczypospolitej jako biedy i ruiny przedostał się do popularnych dzieł – nawet w słynnych „Niezwykłych przygodach barona Münchhausena" te ziemie kojarzyły się z „ubogim starym człowieczyną, który na polskim wygonie leżał opuszczony, ledwo paroma łachami swą nagość skrywający". Polska stała się jedynie przystankiem na drodze do „wspaniałej" Rosji. Choć to do Rzeczypospolitej uciekali przygraniczni chłopi z imperium Katarzyny, to jednak elity europejskie dysponowały innymi informacjami, a to one dyktowały myślenie reszcie kontynentu. Niemiecki filozof Johann Gottlieb Fichte pisał w 1791 roku, że „wielu chłopów już w pierwszej wsi ma w sobie coś dzikiego i zaniedbanego". Podróżnik Georg Forster Polaków opisywał już tak, jakby byli innej rasy: „pół dzikość, pół cywilizacja", a tak jak Austriacy pisali o Irokezach z Galicji, tak on porównywał Polaków do Nowozelandczyków. Inny podróżnik, John Ledyard, Polaków lokował bliżej kultury azjatyckiej niż polskiej, nie mógł zrozumieć specyfiki sarmackiego ubioru i zwyczajów. Zastanawiają jednak dwie inne rzeczy – przecież ta sama sarmacka kultura była synonimem bogactwa podczas wielu dyplomatycznych wizyt na Zachodzie, a saska porcelana stała się świetnym towarem eksportowym, gdy sprzedawano ją w formie figurek pokazujących niesamowitych Sarmatów. Dlaczego Ledyardom czy Forsterom te same stroje, ta sama kultura i cywilizacja były już tak nie w smak. Cóż, podróż przez Niemcy i kontakt z pruskimi elitami nastawiał ich już w konkretną narrację. „Jest coś wyjątkowo stanowczego w granicach wyznaczonych przez wielkiego Fryderyka" – pisał Ledyard, dodając o królu pruskim, że był „szczodrym geniuszem". Tacy to „geniusze" potrafili urabiać przeciwko Polsce wyjątkowo skutecznie.

Czego zabrakło?

W numerze 9 (171)/2020 „Nowego Państwa" opisywaliśmy rozległe sukcesy propagandowe polskiej szlachty XVI i XVII wieku – ale w pewnym momencie coś w opowieści o Polsce pękło, a do gry wkroczyły znaczne budżety Berlina i Petersburga, przeznaczane na opłacanie zachodnich elit. Mozolna i wielowiekowa praca nad oczernianiem Polaków zaczęła przynosić owoce, a nasze geopolityczne położenie przyniosło wielu wrogów, którzy podchwytywali te koncepcje. Państwo, które przegrało walkę o byt, stało się wygodnym celem i pamięć o Rzeczypospolitej zaczęli formułować tylko jej wrogowie. A przecież ziemie polsko-litewskie pełne były cywilizacyjnych osiągnięć. Przypomnijmy, że pierwszy uniwersytet w Berlinie powstał 450 lat po Akademii Krakowskiej, czyli także 230 lat po Akademii w Wilnie! Rosja odziedziczyła Akademię Mohylańską po Rzeczypospolitej – wszak zajęła Kijów w 1654 roku, a zastawszy tam ten naukowo-edukacyjny ośrodek, wzbogaciła swoje elity i rozwój intelektualny. Gdy w II połowie XIX wieku Karol Estreicher wydał 22 tomy „Bibliografii Polskiej", dzieła zawierającego wszystkie polskie publikacje od 1470 roku, okazało się... że dawna Rzeczpospolita ma ich więcej niż wszyscy trzej zaborcy razem wzięci!

Ale nie fakty przecież, nie prawda i uczciwy dyskurs decydował o antypolskim rasizmie, lecz język twardych interesów, wrogości i sojuszy.

Tymczasem gros powyższych informacji i danych pochodzi z dwóch książek o polskiej myśli historycznej oraz o „wynalezieniu Europy Wschodniej", w której ten proces oczerniania Rzeczypospolitej jest dobrze opisany. Co w tym specyficznego? Oba tytuły są napisane przez obcokrajowców – Hans-Jürgen Bömelburg i Larry Wolff to historycy kolejno z Niemiec i USA, żywo i uczciwie badający tę część Europy. Tylko dlaczego takie rzeczowe pozycje nie powstają na polskich uniwersytetach? Czy chcemy, aby znowu na zlecenie Berlina i Moskwy pisano naszą historię? ■

Europejski humanizm uznawał narody spoza dawnego Imperium Rzymskiego za zacofane. Wówczas piórem Jana Łaskiego, Marcina Kromera i Marcina Bielskiego wymyślono mitologię Sarmatów – walecznego ludu, który miał bić wcześniej Rzymian i nawet Greków Aleksandra Wielkiego. Późniejsze próby umniejszania roli Polski były już bardziej udane, a nasza reakcja – niewystarczająca.

eprasa.pl c414db9aa6

Małgorzata Matuszak

Czym jest... radość

W wielkanocny czas składamy sobie życzenia „radosnych świąt i wesołego Alleluja". Istotnie, czas Wielkiej Nocy w szczególny sposób powołuje nas do radości – z tego, że Chrystus zmartwychwstał i jest z nami, że swą odkupieńczą śmiercią wyzwolił nas z okowów grzechu, że wlewa w nasze serca wiarę, nadzieję i miłość. Bóg wzywa nas jednak do radości nie tylko od święta. Do prawdziwej radości. Czym jednak ona jest?

Potrafimy silnie odczuwać ją jako dzieci, później, podlegając różnego rodzaju społecznym treningom, ucząc się tłumienia czy wręcz ignorowania emocji, zdolność jej odczuwania i spontaniczność wyrażania w pewnym stopniu zatracamy. Z czasem tłumiąc radość lub ją udając, zapominamy, co dla nas jest największym jej źródłem. Częściej też niż radości szukamy przyjemności, znacznie łatwiejszych do osiągnięcia, będących jednak tej pierwszej jedynie namiastkami.

Istnieje wiele definicji radości. Słownikowe jej określenia są mało dokładne i nie oddają w pełni jej istoty. Polskie leksykony nazywają nią uczucie wielkiego zadowolenia, wesoły nastrój. Francuski słownik Larousse'a określa ją jako uczucie przyjemności, intensywnego zadowolenia, charakteryzującego się pełnią (odczucia) i ograniczonym czasem trwania, doświadczanym po zaspokojeniu oczekiwań lub w czasie ich spełniania. Radością nazywane jest także wszystko to, co wiąże się z odczuciem dobra i przyjemności. Według brytyjskiego leksykonu Merriama-Webstera radość to albo odczucie wielkiego szczęścia, albo ktoś lub coś, co jest źródłem tego odczucia; nazwane jej mianem są również pasja, stan wzbudzenia, wywołany sukcesem, pomyślnym splotem okoliczności, jak też stan wywołany realną nadzieją wejścia w posiadanie czegoś, co jest przedmiotem pragnienia.

Radość związana jest zatem nie tyle z cielesnymi aspektami życia, co z jego wymiarem duchowym. Odnosi się do życia – jest radością w życiu i radością z życia. Pierwsza stanowi wysoce pozytywną ocenę emocjonalną chwil życia, w których doznania lub własne oddziaływania oceniamy jako bardzo korzystne, bo zgodne z naszymi marzeniami i nadziejami, a także z naszą wewnętrzną hierarchią wartości. Druga, radość z życia, jest zadowoleniem z faktu istnienia, stanem emocjonalnym będącym odzwierciedleniem satysfakcjonującego bilansu swego dotychczasowego bytu oraz pełnej optymizmu oceny szans na dalsze dobre i szczęśliwe życie.

Pięknie o radości pisał św. Josemaria Escriva: „Tęsknię do radości. Prawdziwej radości. Chociaż nie potrafię jej precyzyjnie zdefiniować. Wiem jednak, że prawdziwa radość nie jest pustą wesołością, grubym rechotem, przewrotną ironią, sztucznym uśmiechem, śmiechem z kogoś. Wiem, że radość to coś więcej niż zwykłe zadowolenie i satysfakcja. Mam pewność, że prawdziwa radość to coś znacznie więcej niż tylko emocja. Prawdziwa radość wynika ze szczęścia. Myślę, że w radości musi być pewność. Musi być poczucie bezpieczeństwa. Można nawet powiedzieć, że pewien rodzaj beztroski, ale nie tej nierozumnej, lecz głęboko uzasadnionej zaufaniem. Tej, która prowadzi do wdzięczności i dziękowania. Nie ma prawdziwej radości bez miłości. Nie tylko świadomości bycia kochanym, lecz także obdarzania kogoś miłością".

> Nie możemy w pełni odczuwać radości, nie odczuwając w pełni smutku czy złości.

Jak jednak odczuwać radość życia, kiedy doświadczamy w nim tyle cierpienia? Niestety ściera się ona w stałej grze o zwycięstwo z bólem, smutkiem i lękiem, od nas jednak zależy, które z nich weźmie górę, które określi nasze „tu i teraz". Nie możemy w pełni odczuwać radości, nie odczuwając w pełni smutku czy złości. To właśnie świadome doświadczanie wszystkich emocji we wszystkich ich odcieniach i kontrastach sprawia, że nasze życie i nasz rozwój są pełne. W przeciwnym razie się oszukujemy. Albo żyjemy połowicznie, na powierzchni życia, nie sięgając jego głębi.

Święty Jan XXIII powiedział, że do nieba nie wpuszczają ponuraków, tylko ludzi, którzy umieją się cieszyć. Radość to odcisk dobra. Dzięki niej i my, i świat stajemy się lepsi. Cieszmy się, wszak tyle dobra nas spotkało, za które winniśmy dziękować. ■

eprasa.pl c414db9aa6

PARTNER
EKR GRUPA EUROPEJSCY KONSERWATYŚCI I REFORMATORZY
CYBER FREE SPEECH SUMMIT WARSAW 2021

Hubert Kowalski

O wolność słowa w cyberprzestrzeni

Uczestnicy zorganizowanej 25 marca w serwisie społecznościowym Albicla.com konferencji o wolności słowa podkreślili, że lewicowy sojusz polityki i wielkiego biznesu doprowadził do niebezpiecznej cenzury. W szczególny sposób wykorzystano media społecznościowe.
– Algorytmy sprawiają, że ludzie zmieniają swoje zachowania – mówił Maciej Kożuszek, dziennikarz „Gazety Polskiej”.

eprasa.pl c414db9aa6

25 marca odbyła się konferencja online „Cyber Free Speech Summit Warsaw 2021". Zorganizowały ją media Strefy Wolnego Słowa oraz działająca w Parlamencie Europejskim grupa Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy (EKR). Wydarzenie dotyczyło problemu ograniczania wolności słowa i cenzurowania konserwatywnych poglądów w cyberprzestrzeni. Polscy i zagraniczni goście pierwszego panelu dyskusyjnego (z dwóch) mówili m.in. o źródłach cenzury wymierzonej w konserwatyzm.

Neomarksizm

Widzów śledzących konferencję online przywitał Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny „Gazety Polskiej". Na początku głos zabrał prof. Ryszard Legutko, europoseł Prawa i Sprawiedliwości i frakcji EKR. – Przed trzema, czterema dekadami można było powiedzieć dużo więcej niż teraz. Jest to z całą pewnością paradoks, zważywszy na to, że wszystkie rządy i instytucje konsekwentnie twierdzą, iż są zdeterminowane do obrony zasad wolnego słowa – mówił. Zwrócił uwagę, że mogłoby się wydawać, iż wolność słowa jest „uświęconym prawem, uświęconą zasadą w społeczeństwie dnia dzisiejszego". – Jednakże tak naprawdę wolność słowa znajduje się w coraz gorszej sytuacji, jest coraz słabsza. Dlaczego znika wolność słowa? Dlaczego wypiera się to, że ona znika? Dlaczego jest tak słaby opór? Po pierwsze, społeczeństwa zachodnie nie są już zróżnicowane, łączy je coraz bardziej jedna ideologia. Ten proces rozpoczął się od rewolucji seksualnej roku 1968 – podkreślił Ryszard Legutko. Profesor przypomniał, że wtedy polityka europejska obrała kierunek lewicowy, tracąc tożsamość i starając się dostosować do nowych poglądów. Obecnie nie ma dużej różnicy pomiędzy lewicą a prawicą. Zwrócił uwagę, że te same przepisy dotyczące małżeństw jednopłciowych zostały wprowadzone przez francuskich socjalistów, brytyjskich konserwatystów oraz wielką koalicję w Niemczech, do której należą chrześcijańscy demokraci. Przypomniał, że w przeszłości konserwatywne partie polityczne wyróżniały się takimi wartościami jak rodzina, patriotyzm, suwerenność, tradycje, poszanowanie dla instytucji, dobra edukacja, dostosowywanie się do zmian w sposób ewolucyjny, a nie na zasadzie inżynierii społecznej. – Byli oni sceptyczni wobec progresywnych i szybkich reform – mówił profesor. Podkreślił również, że ruchy konserwatywne w świecie zachodnim skapitulowały, poza nielicznymi wyjątkami. Dodał, że liberalna lewica ma wyłączną władzę, więc to ona definiuje, czym jest mowa nienawiści i nienawiść. – Neomarksizm włada w tej chwili umysłami na zachodzie Europy, co oznacza, że społeczeństwo cały czas poddawane jest konfliktom grup etnicznych, mniejszości seksualnych itd. – uważa profesor. Dodał, że neomarksizm definiuje konflikt społeczny nie tylko jako walkę klas, lecz także ras i tzw. gender, czyli kwestię płci. Profesor Legutko podkreślił, że zrealizowanie planu neomarksistów wymaga ograniczenia wolności słowa i wolności myśli. – Jest to totalitaryzm, albowiem nie zapewnia on możliwości istnienia poza systemem dla nikogo i niczego – powiedział.

Kto ma władzę?

Moderatorem debaty był dziennikarz i publicysta Michał Rachoń. – Organizujemy to spotkanie, żeby zadać ważne pytanie w kontekście nowoczesnych mediów. Byliśmy świadkami aktu cenzury nałożonej przez firmy technologiczne na początku tego roku, które wykluczyły prezydenta Trumpa ze wszystkich platform społecznościowych. Pytanie brzmi, i zadajemy je sobie na całym świecie, kto ma władzę, żeby kontrolować wolność słowa w mediach społecznościowych? Wszyscy jesteśmy ich użytkownikami i uczestniczymy w prowadzonych tam działaniach. Rewolucja, jaką wprowadziły, miała zwiększyć wolność słowa, ale jeżeli można wykluczyć prezydenta USA, to znaczy, że każdy może zostać wyrzucony. Główne pytanie polityczne tej debaty brzmi: kto rozdaje karty? Czy są to firmy technologiczne, medialne, a może są one tylko wykonawcami woli politycznej? – pytał redaktor Rachoń.

Biorący udział w debacie amerykański historyk i komentator radiowy dr Jake Jacobs stwierdził, że chodzi o zmowę Partii Demokratycznej z amerykańskimi hipsterami i z ludźmi z Doliny Krzemowej. – To pogląd kulturowy, który jest nam narzucony, eroduje podstawy chrześcijańskiej cywilizacji. Nazwałbym to spiskiem – mówił. – Ci hipsterzy z Doliny Krzemowej połączyli siły z Demokratami i są w zmowie, chcą wspólnie zniszczyć naszą pierwszą poprawkę, która gwarantuje wolność słowa, wolność wyrażania poglądów – podkreślił dr Jacobs. Gość panelu mówił również o tym, że konkurenci Donalda Trumpa mogli liczyć na przychylność mediów społecznościowych. – Zmówili się, żeby za pomocą mediów go zniszczyć, i to zrobili. Stworzyli algorytmy w mediach społecznościowych, mieli do dyspozycji wiele rozwiązań, które powstrzymują i hamują wolność słowa – wskazał dr Jacobs. Stwierdził, że

eprasa.pl c414db9aa6

w świecie cyfrowej przestrzeni wielu Amerykanów stało się zbyt zależnymi od tworzonych na zamówienie źródeł prasowych. – Na przykład wyszukiwarka Google rządzi się algorytmami, które kontrolują wyświetlane informacje. Zawsze powtarzam moim studentom na uniwersytecie, żeby uczyli się obchodzić mechanizmy, które kontrolują media, dlatego że moim zdaniem one hamują wolność słowa, przez co grozi nam utracenie zachodniej demokracji – oceniał.

Polityka i biznes

Z przedmówcą zgodził się włoski pisarz i publicysta Edoardo Gagliardi. – Moim zdaniem są to wspólne siły, polityka współgra z firmami technologicznymi. Ci ludzie, którzy udają, że są demokratami, udają, że bronią praw człowieka, udają, że bronią prawdy. To jest bardzo ważne, bo często słyszymy deklaracje, że jeżeli nie jesteśmy po ich stronie, to podważamy prawdę. Ale czy oni mają na nią monopol? Wszystkie osoby, które prezentują inną opinię, są określane tymi, którzy podważają jedyną słuszną prawdę – mówił. – To ciekawa kwestia, dlatego że ludzie w to wierzą, są przekonani, że jeżeli mainstreamowe media podają jakąś wiadomość, to musi być prawda. Natomiast to kwestia polityczna, która ma także kontekst biznesowy. Media zarabiają mnóstwo pieniędzy i są w służbie polityce – stwierdził. Mówił również, że decydenci z mediów społecznościowych, którzy cenzurowali Donalda Trumpa, „nie chcą budować systemu demokratycznego albo warunków, w których można w sposób wolny wyrażać swoje opinie".

Musimy działać

Gościem konferencji był również Tomasz Łysiak, dziennikarz i publicysta m.in. „Gazety Polskiej". – Wolność słowa to dla nas ogromne wyzwanie – mówił. Na wstępie przypomniał o ważnych wydarzeniach z historii Polski. – Polska zawsze była wzorem wolności w Europie i takim wzorem pozostanie. Moglibyście państwo zastanawiać się, dlaczego tak się koncentruję na historii Polski, przecież mamy mówić o wolności w cyberprzestrzeni. Robię to dlatego, że Polska, w szczególności ze względu na swoją historię, stoi tam, gdzie stać powinna. Tam, gdzie stoją prawdziwe wartości republikańskie: ludzkie życie, rodzina, godność i wolność. Wszyscy widzieliśmy, jak przed czterema laty po wyborze Donalda Trumpa na prezydenta USA, media społecznościowe postanowiły nie pozwolić mu na reelekcję. Wtedy wielkie firmy technologiczne powiedziały swoim pracownikom: „Nie możemy pozwolić, aby to się powtórzyło!" – podkreślił Tomasz Łysiak. Dodał, że zaangażowanie gigantów społecznościowych w walkę polityczną w USA było bezprecedensowe. – Pokazało to, że w ciągu kilku ostatnich dekad żyliśmy w świecie, w którym rządzą dyktatury o charakterze ideologicznym. Jest to przerażające, gdy zważymy, że wpływa to na nasze sumienie i umysły. Wolność myślenia jest ograniczona. Czy przegraliśmy już w tej walce? Niektórzy mówią, że tak, ale nie możemy biernie czekać na to, co przyniesie nam przyszłość. Musimy działać. Osiągniemy coś tylko wtedy, gdy nad tym pracujemy – mówił. Dodał, że jednym z dobrych działań było utworzenie portalu Albicla. – Nie jest przypadkiem, że Albicla powstała w Polsce, w ojczyźnie wolności. To daje nadzieję – podkreślił.

Chcą lajków

Z kolei Maciej Kożuszek, dziennikarz „Gazety Polskiej", zwrócił uwagę, że różne interakcje w sieci są związane z algorytmami, które wyznaczają granice tego, co jest dopuszczalne i niedopuszczalne w naszej debacie. – Jeżeli na przykład jedno słowo jest niedozwolone w mediach społecznościowych i przestaniemy go używać, to może zmienić się cały dyskurs. Zatem niebezpieczeństwo, przed którym stoimy, nie wiąże się z nadmierną cenzurą. Jest nim świadomość, że ona istnieje. Algorytmy sprawiają, że ludzie zmieniają swoje zachowania. Jeżeli nie możemy używać słowa „murzyn", ludzie przestają to robić, bo widzą, że jeżeli wpiszą takie słowo na Twitterze, użyją go w serwisie YouTube, dostają mniej lajków, mają mniej wyświetleń i spada ich popularność – mówił. Redaktor Kożuszek zwrócił uwagę, że media społecznościowe są bardzo ważne dla nastolatków, a to tworzy kolejne możliwości wpływania na poglądy. – Interesuje ich to, żeby zdobyć akcept rówieśników. Jest mechanizm, który umożliwia uzyskanie natychmiastowej reakcji na przykład na opublikowane zdjęcie w nowej sukience. Widzimy liczbę lajków, reakcje ludzi. Jeżeli weźmiemy ten mechanizm i połączymy go z wyznaczeniem granic debaty politycznej, to mamy ludzi wytresowanych, wyszkolonych, żeby mieć więcej polubień, żeby maksymalizować liczbę interakcji w mediach społecznościowych – podkreślił. Na koniec dodał, że nie można zapominać o rozmowach w realnym życiu i prawdziwych relacjach międzyludzkich. Z tą myślą zgodzili się pozostali goście. ■

eprasa.pl c414db9aa6

CYBER FREE SPECH SUMMIT WARSAW 2021

Grzegorz Wszołek

O cenzurze w mediach społecznościowych

Kampania i wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych wywołały zmianę nie tylko lokatora Białego Domu, lecz także mediów społecznościowych. W jednej chwili cyfrowi giganci wykluczyli z portali Donalda Trumpa, by utrudnić mu komunikację z konserwatywnymi wyborcami. Czy działania Big Tech zemszczą się na pomysłodawcach? Jak chronić wolność słowa i sprawić, by nowoczesne aplikacje nie narzucały jedynie słusznej wizji świata? O tym rozmawiali goście drugiego panelu debaty „Cyber Free Speech Summit Warsaw 2021”.

Egzemplarz prywatny

Na pytania prowadzącego konferencję redaktora Michała Rachonia o rolę i wpływy mediów społecznościowych odpowiadali publicysta Iwo Bender, Andrew Torba – twórca alternatywnego dla Twittera i Facebooka serwisu Gab.com – oraz redaktor naczelny „Gazety Polskiej", założyciel portalu Albicla Tomasz Sakiewicz. Zaproszeni goście analizowali niebezpieczeństwa związane z działalnością wielomilionowych „społecznościówek".

By oprzeć się gigantom

Dziś świat polityki jest tak skonstruowany, że kto nie dociera za pośrednictwem nowoczesnych kanałów do odbiorców, nie ma szans na sukces. Doskonale wiedzą o tym zarządzający największymi firmami cyfrowymi. Dlatego Facebook i Twitter świadomie zbanowały Donalda Trumpa, który nawet jeśli zrezygnowałby z udziału w życiu politycznym, nie będzie mógł już korzystać z tych serwisów. Jednym kliknięciem „pozbyto się" przywódcy zdobywającego ponad 74 mln głosów. – Najskuteczniejsze narzędzie walki z gigantami jest proste: zbudujmy swoje platformy – uważał gość konferencji „Cyber Free Speech Summit Warsaw 2021" Andrew Torba, przedsiębiorca, który stworzył serwis Gab.com, czyli alternatywę dla gigantów takich jak Facebook czy Twitter. Serwis wystartował w 2017 roku, a miesięcznie odwiedzają go około 3 mln użytkowników. Konto na Gab założył nawet Donald Trump po tym, jak zablokowały go największe media społecznościowe. Na jakim modelu biznesowym opiera się portal Andrew Torby? – Założyłem Gab, by oprzeć się gigantom. U nas nie jesteś produktem, lecz pełnoprawnym klientem i członkiem społeczności. Nasz model biznesowy nie opiera się na zbieraniu danych o użytkownikach, które potem należy sprzedać reklamodawcom, jak w przypadku Facebooka. Założyliśmy Gab, by chronić wolność słowa. Każdy może zakupić określony towar i wesprzeć nas finansowo, jeśli tylko oceni pozytywnie nasz pomysł. Nie podlegamy naciskom ze strony reklamodawców, co jest bardzo ważnym aspektem naszej działalności. Model biznesowy Gab opiera się na bezpośrednich relacjach z internautami, którzy nas finansują – opisał zasady funkcjonowania Gab twórca tego alternatywnego wobec gigantów serwisu społecznościowego.

Rzeczywiście, polityka Facebooka zahacza o inwigilację internautów. Jeśli szukamy danego przedmiotu w Internecie lub dokonujemy zakupów, portal zaoferuje nam reklamy związane z naszymi zainteresowaniami. – Zbieranie kliknięć, a nawet tematów w publikowanych postach i wiadomościach prywatnych, a następnie sprzedaż reklamodawcom dostępu do tych danych to wyznacznik Facebooka. Tymczasem Gab tego nie robi, bowiem jest oparty na innym systemie wartości. Alternatywne platformy czy start-upy będą robić to samo. Dobrze, że takie kraje jak Polska budują swoje serwisy, słyszałem o podobnej inicjatywie nawet w Indiach. To jest sposób na ukrócenie wpływów gigantów technologicznych i egzekwowanie jasnych przepisów obowiązujących w danym kraju – zauważył Andrew Torba.

> „Dobrze, że takie kraje jak Polska budują swoje serwisy. To jest sposób na ukrócenie wpływów gigantów technologicznych i egzekwowanie jasnych przepisów obowiązujących w danym kraju" – zauważył Andrew Torba.

Gab oferuje nie tylko alternatywę dla gigantów technologicznych, lecz także dla tradycyjnej telewizji i YouTube'a. Zdaniem Andrew Torby, pozycja Big Tech jest na tyle mocna, że może doprowadzić do kryzysów politycznych w państwach i wywoływania paniki. Wystarczy przypomnieć casus Australii, której rząd postanowił opodatkować Facebooka i Twittera tzw. podatkiem od linków. W odwecie Australijczycy błyskawicznie stracili dostęp do informacji o bieżącej sytuacji w państwie na portalach społecznościowych.

Albicla.com, czyli wolność słowa

Niedawno w Polsce wystartował – stworzony przez środowisko Strefy Wolnego Słowa – serwis

eprasa.pl c414db9aa6

Albicla.com, na którym zarejestrowało się dotąd ponad 70 tys. internautów. – Od lat prowadziliśmy rozmowy z politykami i ekspertami na temat cenzury w sieci. Wniosek był następujący: rosła baza użytkowników, lecz pojawił się problem z ograniczeniem zasięgów konserwatywnych treści. Zdaliśmy sobie sprawę z tego, że za kilka lat to stanie się ogromnym problemem. Tymczasem bez współpracy z mediami społecznościowymi nie uda nam się niczego osiągnąć. Facebook ma specjalne algorytmy ograniczające zasięgi prawicy. Sfinansowaliśmy zatem kampanię promocyjną naszych mediów na Facebooku, ale kiedy przestaliśmy płacić, ekspozycja naszych tekstów była zupełnie inna – mówił redaktor naczelny „Gazety Polskiej" Tomasz Sakiewicz, założyciel Albicli. – Stworzyliśmy platformę do kontaktów społecznych w sieci w czasie pandemii, również dla osób spoza klubów „GP". Warto zaznaczyć, że to nie jest konkurencja na rynku mediów społecznościowych, lecz wsparcie dla sfery wolności słowa. Chcielibyśmy też współpracować z Gab. Na samym Facebooku odnotowaliśmy 7 mln wzmianek o Albicli – opisywał początki polskiego serwisu społecznościowego redaktor Sakiewicz.

Dlaczego treści konserwatywne są rugowane z social mediów? – W Polsce odgrywamy większą rolę, bo mamy konserwatywny rząd i nasz głos jest bardziej słyszany, dlatego że czasami mamy podobne zdanie jak rząd, różne grupy w kraju czy Kościół. Narzucona obecnie polityczna poprawność wiąże się z bardzo agresywną cenzurą, dlatego że nie toleruje się odmiennych punktów widzenia. Polacy nie przyjmują tego, nie lubią tego i my nie lubimy poprawności politycznej, ani w Polsce, ani w Europie, i w tej chwili mamy wrażenie, że mówimy zupełnie innymi językami, natomiast mówimy naszym odbiorcom, jak jest, bez ogródek – wyjaśnił Sakiewicz.

– Najskuteczniejszą metodą przeciwstawiania się atakom na wolność słowa jest tworzenie własnych mediów – podkreślił Iwo Bender. Nie zawsze jednak to gwarancja sukcesu, o czym świadczy przykład zapomnianego już serwisu MySpace. Gdy dany ośrodek postawi się największym, musi liczyć się też z konsekwencjami. Na przykład aplikacja serwisu społecznościowego Parler, popularnego wśród zwolenników Donalda Trumpa, została usunięta z Google Play, przez co internauci nie mogli pobrać jej na smartfony. – Użytkownicy Facebooka dziś przechodzą do innych platform. Inną kwestią są regulaminy, które określają korzystanie z mediów społecznościowych. Amerykańskie prawo jest tak skonstruowane, że giganci są chronieni przed procesami sądowymi w sprawie publikowanych treści. Dzięki temu dany portal staje się słupem ogłoszeniowym, nieponoszącym za nic odpowiedzialności. Właściciele natomiast sami decydują, co warto publikować. Czy można winić firmę telefoniczną, gdy jeden z drugim chuliganem zmawiają się do zakłócania spotkań piłkarskich za pośrednictwem telefonu? – zastanawiał się Bender. Publicysta wskazał też na inne zagrożenie: stosowanie przez Big Tech podwójnych standardów. – Zarządzający mediami społecznościowymi niestety nie zachowywali się jak redaktorzy prasy, lecz jak tablice ogłoszeń. W Polsce nie ma na szczęście cenzury, ale z powodu jej trudnej historii i ataku dwóch totalitaryzmów w XX wieku mamy szczególny stosunek do dwóch źródeł zła: bolszewizmu i nazizmu. Skoro Facebook tak bardzo chce selekcjonować treści, powinien zwrócić uwagę na posty promujące te ideologie – zaapelował gość debaty. Dodał, że „cenzura się ze-

> „Od lat prowadziliśmy rozmowy z politykami i ekspertami na temat cenzury w sieci. Wniosek: rosła baza użytkowników, lecz pojawił się problem z ograniczeniem zasięgów konserwatywnych treści – mówił Tomasz Sakieiwcz.

mści na firmach technologicznych, bo ludzie nie chcą być oszukiwani i manipulowani. Duma kroczy przed upadkiem".

Konferencja „Cyber Free Speech Summit Warsaw 2021" w całości poświęcona została problemowi ograniczania wolności słowa oraz poglądów, ze szczególnym uwzględnieniem idei konserwatywnych. Była forum debaty międzynarodowego gremium ludzi świata nauki oraz mediów, analizujących istniejące zagrożenia dla wolności słowa i sposoby walki z nimi. ■

Partner debaty:

EKR GRUPA EUROPEJSCY KONSERWATYŚCI I REFORMATORZY

eprasa.pl c414db9aa6

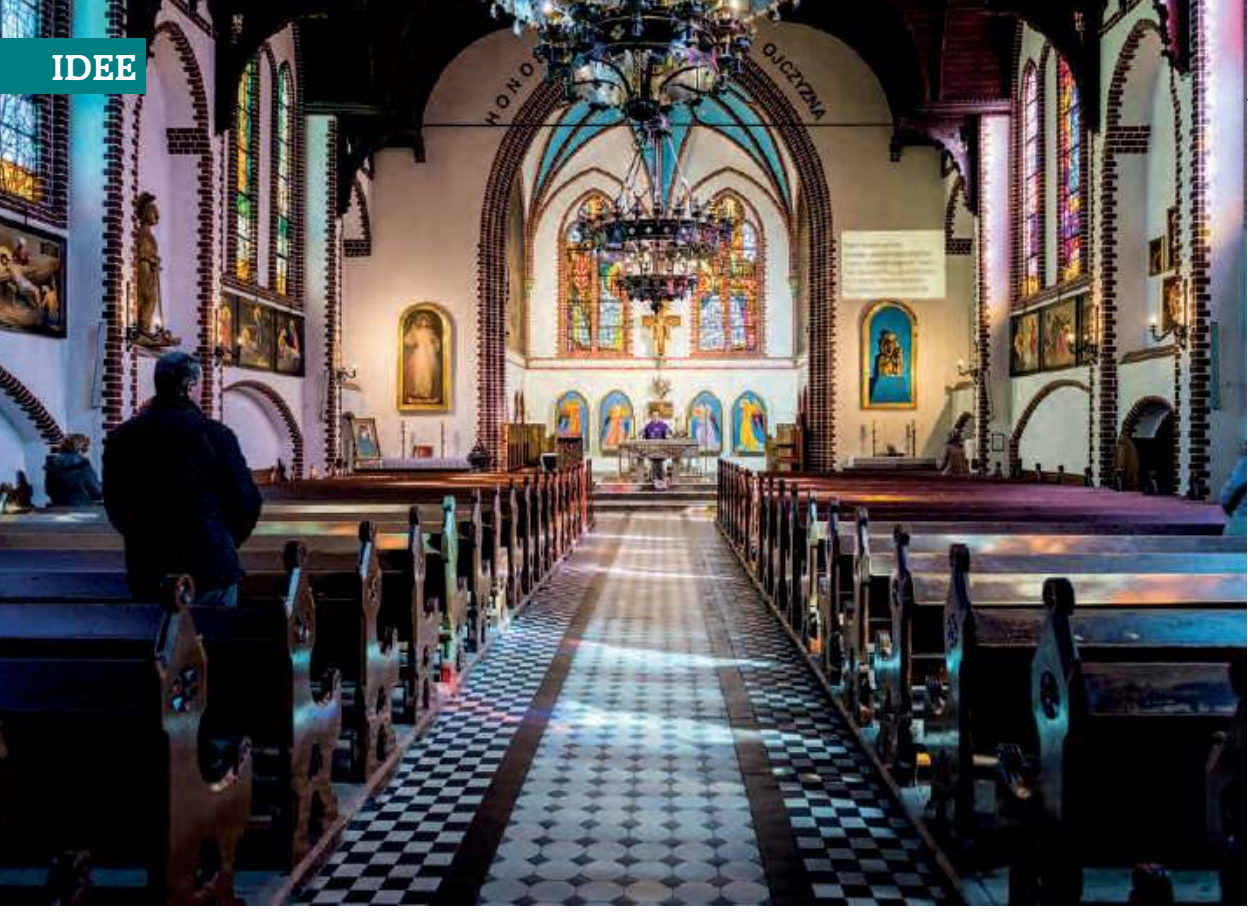

Małgorzata Matuszak

Pamiętaj, aby dzień święty święcić

Niedziela, najstarszy świąteczny dzień chrześcijan. Kiedyś było to zrozumiałe, dzisiaj – niekoniecznie, bowiem pozbawiliśmy ją jej sakralnego charakteru. Co przez to tracimy?

eprasa.pl c414db9aa6

Niedziela to Dzień Pański. Zgodnie z przykazaniem: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił", chrześcijanie mają ów czas przeznaczyć dla Boga i rodziny. Czy jednak tak jest w rzeczywistości? Spór o niedzielę nie sprowadza się do tego, czy w tym dniu sklepy mają być zamknięte czy otwarte... To przecież tylko skutek zaniku głębszego rozumienia sensu niedzieli. Sięgnąć trzeba jego przyczyn. Aby świętować, ludzie zawsze gromadzą się razem, wspólne świętowanie zaś scala owo „razem", które tworzą. Kiedy zanika poczucie wspólnoty, zanika także potrzeba i umiejętność wspólnego świętowania.

Uszanujmy niedzielę!

Niedziela to Dzień Pański. Dzień odpoczynku. Wskazuje na to sama etymologia tego słowa. W języku polskim, podobnie jak w innych językach słowiańskich, słowo „niedziela" (pierwotnie *neděl'ja) pochodzi od prasłowiańskiego czasownika zaprzeczonego *nedělati, czyli „nie pracować", dosłownie „nie działać", a przyrostek „-ja" został zastosowany przez analogię do łacińskiego żeńskiego rzeczownika „feria", używanego w takim samym kontekście. Niedziela to zatem dzień bezczynności świątecznej nakazanej przez chrześcijańskie prawo kanoniczne.

W związku z przypadającą na 7 marca (niektóre źródła podają datę 3 marca) 1700. rocznicą wydania przez cesarza Konstantyna I Wielkiego dekretu ustanawiającego niedzielę dniem świątecznym, księża biskupi Kościoła katolickiego wystosowali apel o poszanowanie niedzieli jako dnia wolnego od pracy. W dokumencie przygotowanym przez ks. abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, i ks. abp. Wiktora Skworca, przewodniczącego Komisji Duszpasterstwa KEP, biskupi zaapelowali do władz, pracodawców, pracowników, ludzi dobrej woli i parlamentarzystów o ochronę niedzieli jako Dnia Pańskiego. Sprzeciwiają się w nim przymusowi pracy w ten dzień i dyktatowi korporacji, które ich zdaniem, kierują się wyłącznie zyskiem.

„Zapraszamy wszystkich do budowania kultury niedzieli wolnej od przymusu pracy. Niech będzie ona dniem odpoczynku i wzmocnienia sił, odrodzenia osłabionych więzi rodzinnych i społecznych. Niech będzie okazją do emocjonalnego wyciszenia, a także do budowania wspólnoty rodzinnej, religijnej i narodowej" – napisali autorzy apelu. Ponowili także treści zawarte w „Apelu Kościołów w Polsce o poszanowanie i świętowanie niedzieli" z 20 stycznia 2015 roku oraz przypomnieli słowa Jana Pawła II z Listu Apostolskiego „Dies Domini": „[...] także w obecnej sytuacji historycznej mamy obowiązek tak działać, aby wszyscy mogli zaznać wolności, odpoczynku i odprężenia, które są człowiekowi niezbędne ze względu na jego ludzką godność oraz związane z nią potrzeby religijne, rodzinne, kulturowe i społeczne, trudne do zaspokojenia, jeśli nie jest zagwarantowany przynajmniej jeden dzień w tygodniu dający wszystkim możliwość wspólnego odpoczynku i świętowania".

Niedziela powinna być czasem refleksji, uwielbienia, dziękczynienia za dokonania, za dar życia. Jej sednem winna być myśl o Bogu. Jak powiedział papież Franciszek: „Odpoczynkowi, jako ucieczce od rzeczywistości, dekalog przeciwstawia odpoczynek jako błogosławieństwo rzeczywistości. Dla nas, chrześcijan, centrum Dnia Pańskiego stanowi Eucharystia, co oznacza dziękczynienie. To dzień, by powiedzieć Bogu: »Dziękuję. Dziękuję Panie za życie, Twoje miłosierdzie, wszystkie Twoje dary«. Niedziela nie jest dniem, aby przekreślić inne dni, ale aby je przypomnieć, błogosławić je i pogodzić się z życiem".

Pierwszy czy ostatni dzień tygodnia?

Dla chrześcijan niedziela, jako Dzień Pański, jest pierwszym dniem tygodnia, jako że zmartwychwstanie Chrystusa, najważniejsze wydarzenie zbawcze, miało miejsce właśnie „pierwszego dnia tygodnia", o czym mówią już Ewangelie (Mt 28,1; Mk 16,2; Łk 24,1; J 20,1). Nazywana jest również „ósmym dniem" (Mk 16,1; Mt 28,1), ponieważ następuje dzień po szabacie. Niektórzy postrzegają niedzielę jako siódmy dzień przez analogię do dnia odpoczynku Boga po stworzeniu świata. Jednak dniem odpoczynku Boga była nie niedziela, a sobota. Dlatego na pamiątkę tego Żydzi siódmego dnia, czyli w sobotę, obchodzą szabat, podczas którego nie można wykonywać żadnej pracy. Szabat kończył się w sobotę wieczorem i po zapadnięciu zmierzchu rozpoczynał się kolejny dzień. Wtedy pierwsi chrześcijanie, a właściwie judeo-chrześcijanie, dzień po szabacie sprawowali Eucharystię. Niedziela to zatem Dzień Nowego Stworzenia.

Ojcowie Kościoła twierdzili, że niedziela była nie tyle „przedłużeniem" szabatu, co jego „dopełnieniem, udoskonaleniem". Szabat związany był z pierwszym stworzeniem, niedziela zaś z dniem ósmym, z Nowym Stworzeniem, podczas którego Bóg stworzył świat na nowo. Można więc rzec, za Wojciechem Żmudzińskim SJ, że „ósmy dzień, który jest dniem pierwszym i ostatnim, tak naprawdę jest dniem Jedynym! Jest początkiem i końcem! Jest jak sam Bóg – pierwszy i ostatni, początek i koniec, alfa i omega. Ten dzień ósmy znajduje się poza kalenda-

FOT. FOTOMAG/GAZETA POLSKA

eprasa.pl c414db9aa6

rzem, poza naszym ziemskim czasem! Niedziela jako pierwszy i ostatni dzień jest już wiecznością, jest wyjęta z czasu ludzkiego. Dlatego możemy mówić o ósmym dniu w siedmiodniowym tygodniu". Bazyli Wielki pisał zaś, że niedziela jest to dzień nieustający, dzień bez wieczora, początek bez końca, jest to dzień po skończeniu czasu, bez jutra, nieopisywalny, niestarzejąca się wieczność.

Współcześnie coraz częściej traktujemy niedzielę nie jako pierwszy, lecz jako siódmy dzień tygodnia. Według Joanny Szadury istnienie dwóch sposobów liczenia początku tygodnia – od niedzieli albo od poniedziałku – odpowiada dwóm postawom: religijnej i świeckiej (obecnie dominującej). Traktowanie niedzieli jako siódmego dnia tygodnia jest skutkiem laicyzacji i liberalizacji życia społecznego, rozluźnienia związków z Kościołem. Świętowanie niedzieli wyparte zostało praktykowaniem weekendu, w wyniku czego niedziela zostaje traktowana jako siódmy dzień tygodnia.

Jednak za tym, że niedziela powinna być traktowana jako pierwszy dzień tygodnia, świadczy sama jej nazwa. Za tym, że w polszczyźnie niedziela genetycznie jest pierwszym dniem tygodnia, przemawia nie tylko analiza nazw dni tygodnia, lecz także inne przykłady pojawiania się tego słowa, takie choćby jak używanie, dziś już rzadkie, nazwy niedziela w znaczeniu „tydzień", wyrażenie „od niedzieli do niedzieli" w znaczeniu „przez cały czas, ciągle" czy też formy typu „poniedziel", czyli „okres po niedzieli".

Niedziela dzisiaj

Niestety, niedziela jest dzisiaj coraz częściej traktowana jak każdy inny dzień tygodnia. Jako dzień wolny od pracy stanowi na przykład okazję do nadrobienia zaległości z tygodnia. Jak pisze socjolog Elżbieta Tarkowska: „Dla wielu ludzi, zwłaszcza dla pracujących kobiet, niedziela nie jest »innym« dniem. Jest dniem intensywnego odrabiania zaległości w obowiązkach domowych, dodatkowym czasem na przygotowanie się do lekcji czy do egzaminów. [...] Niedziela jest gorsza, bo przynosi bliską już perspektywę powrotu do codzienności". Zdarza się też tak, że rodzina próbuje spędzić ten dzień razem, nie wychodzi jej to jednak, bo nie wie tak naprawdę, jak miałaby to zrobić. Nie bez powodu psychiatrzy sądowi i policjanci zauważają, że rodzinne burdy, akty przemocy czy samobójstwa bywają częstsze w niedziele niż w pozostałe dni tygodnia. Doktor hab. Joanna Czarnota-Bojarska z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego tłumaczy ten fakt następująco: „Jeśli ktoś od poniedziałku do piątku ma liczne obowiązki, mierzy się z trudnymi zadaniami, to odbiera bardzo dużo bodźców. Bywa, że jest ich zbyt wiele, by sobie z nimi poradzić – bo ludzie mają różne zapotrzebowanie na stymulację. Ale ci mniej odporni i tak przyzwyczajają się do tego codziennego poziomu. I kiedy stymulacja nagle ustaje, tak jak w spokojną niedzielę, ktoś może bezwiednie jej poszukiwać – na przykład wszczynając awantury. Taki mechanizm wywoływania kłótni w rodzinie »żeby coś się działo«, jest wbrew pozorom całkiem powszechny".

Niedziela jest nielubiana, a przynajmniej mniej lubiana od soboty, gdyż wielu z nas (według badań firmy doradczej Monster aż 65 proc.) przeżywa stres związany z koniecznością powrotu do pracy po weekendzie. Niedziela to także dla wielu czas „odchorowywania" po spożyciu zbyt dużej ilości alkoholu, będącego najczęściej stosowanym środkiem wspomagającym weekendowy relaks. Według badań ośrodka TNS w weekendy pije bowiem 90 proc. osób z wykształceniem wyższym i 70 proc. osób z wykształceniem podstawowym, najczęściej w mieszkaniach własnych albo znajomych. Z tego też powodu w niedzielę, spośród wszystkich dni tygodnia, dochodzi do największej liczby śmiertelnych wypadków, które spowodowali kierowcy będący pod wpływem alkoholu.

Powrót do korzeni

Tradycja chrześcijańska nakazuje poświęcić niedzielę Bogu i rodzinie, dlatego wierni powinni powstrzymywać się w tym dniu od zajęć, które im w tym przeszkadzają. Niedziela to pamiątka zmartwychwstania Chrystusa, a także zesłania Ducha Świętego, co od początku istnienia Kościoła wyrażano uczestnictwem wiernych w zgromadzeniu eucharystycznym. Dzień Pański, jak nazywano niedzielę od czasów apostolskich, jest streszczeniem chrześcijaństwa, swoistym „małym katechizmem dla społeczeństwa". Wyraża się niej istota chrześcijańskiego misterium. Łamanie chleba, słuchanie słowa Bożego i „collecta", trwanie we wspólnocie, które znajduje wyraz w czynie dla drugiego człowieka – wszystko to stanowi nierozerwalną całość, która pozwala nam stawać się tym, kim jesteśmy – Bożymi dziećmi.

Trzeba by było przypomnieć sobie, czym powinna być niedziela i że świętowanie nie oznacza tylko dnia wolnego od pracy. Że warto ten dzień poświecić także drugiemu człowiekowi, pielęgnowaniu rodzinnych i przyjacielskich więzi, że to czas na gesty szacunku, miłości i wdzięczności. ■

eprasa.pl c414db9aa6

FOT. MARCIN PEGAZ/GAZETA POLSKA

Grzegorz Wszołek

Czynownicy opozycji w akcji

Żarliwi antypisowscy politycy wraz z rozemocjonowanymi wyborcami doprowadzili do podkręcenia niezdrowych emocji w polityce. Blokowanie miesięcznic smoleńskich, zakłócanie państwowych uroczystości, wulgarne okrzyki, spiskowe teorie i fake newsy – to w pigułce dorobek najaktywniejszych działaczy, wyczekujących z utęsknieniem na powrót do władzy „swoich”.

Gdy PiS zasiadało w ławach opozycji, często publicyści ze środowiska liberalno-lewicowego nazywali działania prawicy „psychiatrykiem". Krytykowano partię i zwolenników Jarosława Kaczyńskiego za ciągłe powracanie do katastrofy smoleńskiej, ekshumacje ofiar, stosunek do Rosjan w sprawie śledztwa. Obrywało się im za podważanie wyników wyborów samorządowych z 2014 roku, gdy PSL uzyskało znakomity wynik. PiS organizowało protesty, lecz dotyczyły one obrony Telewizji Trwam, sprzeciwu wobec podwyższenia wieku emerytalnego, okazyjnie demonstrowało przeciwko rządowi Donalda Tuska 13 grudnia w rocznicę stanu wojennego. Mimo ostrego języka, wzajemnych oskarżeń, nikt nie przypuszczał, że będzie wzorcem kultury względem tego, co dzieje się na ulicach miast od wielu miesięcy. Już pięć dni po zaprzysiężeniu rządu Beaty Szydło w listopadzie 2015 roku powstał Komitet Obrony Demokracji. Do dzisiaj jego twórcy utrzymują, że ustrój jest zrujnowany, demokratyczne bezpieczniki nie działają, bowiem krajem rządzi jedna partia. Założenie organizacji przez Mateusza Kijowskiego było preludium do antypisowskiej jatki.

KOD, Obywatele RP, OSK na ulicach

Ledwo uformowała się nowa władza, wybrana znaczącą przewagą – również dzięki kompromitacji SLD, które nie dostało się do parlamentu – a już podważano jej legalność. KOD zasłynął protestami, które zaktywizowały nieco zapomnianych już dawnych działaczy opozycji antykomunistycznej. Łączył też ponad podziałami, bo angażował się w obronę emerytur funkcjonariuszy bezpieki. Z czasem okazało się, że lider Komitetu Obrony Demokracji traktował organizację jako niezłe źródło zarobku. Sąd uznał Kijowskiego za winnego poświadczenia nieprawdy w fakturach za wykonywanie rzekomych usług informatycznych na kwotę 121 tys. złotych. Porównywany swego czasu do Lecha Wałęsy, pan w kucyku nie dostrzegał problemu we współpracy m.in. z liderem KOD-kapeli Krzysztofem M., skazanym za handel ludźmi. Mimo krachu ruchu obywatelskiego po stronie liberalnej, komitet był tylko przystankiem dla innych antypisowskich aktywistów. Obywatele RP zasłynęli z blokowania miesięcznic – pod płaszczykiem kulturalnego sprzeciwu z różami w rękach tarasowali przemarsz tych, którzy wspominali zmarłych w Smoleńsku. Działali z nieskrywaną złośliwością i celowo, by tylko sprowokować do reakcji.

Miejsce Kijowskiego w roli trybuna ludowego próbował zająć wkrótce Paweł Kasprzak. Najgorętsza atmosfera nastała w czasie słynnego protestu opozycji pod Sejmem w styczniu 2016 roku, gdy PiS przeniósł głosowanie nad budżetem do Sali Kolumnowej. W eskorcie policji i SOP politycy obozu rządzącego opuszczali budynki sejmowe. Nic nikomu się nie stało mimo wyzwisk i pogróżek, choć m.in. były prezydent Bronisław Komorowski zwierzał się publicznie, że odczuwał satysfakcję, widząc „czmychającą ulicą posłankę Pawłowicz". Część dziennikarzy, którym bliżej do środowiska Platformy Obywatelskiej, wieszczyła rozlew krwi. Od tamtych wydarzeń minęło pięć lat i oprócz podgrzania emocji nic takiego się nie wydarzyło. Obywatele RP musieli w międzyczasie ustąpić miejsca w mediach Ogólnopolskiemu Strajkowi Kobiet. I trzeba przyznać, że organizacja Marty Lempart przebiła w wulgarności i radykalizmie poprzedników po wielokroć. Do powszechnego słownika podczas protestów weszły słowa „je...ć", „wyp..." – obrażanie funkcjonariuszy służb porządkowych i plucie na nich to stały element wieców. Nawet jeśli część protestujących nie wdaje się w awantury z policjantami i nie popiera aborcji na życzenie, to jednak uczestnicząc w *stricte* politycznym ruchu uwiarygadnia rewolucyjne wezwania Lempart i Klementyny Suchanow. Wszystko wskazuje na to, że Strajk Kobiet – mimo budzącego wciąż emocje wyroku Trybunału Konstytucyjnego – szczyt popularności ma już za sobą i odchodzi w polityczny niebyt ze względu na niewiarygodność liderek.

Wrzawa na ulicach to tylko jeden z elementów taktyki, która nie przyniosła wyborczego efektu w latach 2016–2020. To, co łączy wszystkie wymienione ruchy: KOD, Obywateli RP i Ogólnopolski Strajk Kobiet, to fakt prowadzonych publicznych zbiórek. W dzisiejszych czasach to podstawa działalności ideologicznej.

Zrobieni w seicento

Gdy polityka rozpala zbyt mocno, łatwo popaść w paranoję. Inaczej nie można skomentować faktu, że po wypadku z udziałem kolumny SOP, przewożącej Beatę Szydło w Oświęcimiu, przeciwnicy PiS zrzucali się na „nowe seicento" dla chłopaka podejrzanego o doprowadzenie do kolizji. Reforma BOR to jedna z największych porażek PiS, a kolejne stłuczki funkcjonariuszy potwierdzają, że „gruntowne zmiany" ograniczyły się na tym polu tylko do szyldu i nazwy. Czym innym jednak krytyka zjawiska i słabości państwa, a czym innym życzenie śmierci byłej premier i robienie z kogoś bohatera tylko dlatego, że nie zauważył w lusterku nadciągającej kolumny samochodów. Z pieniędzmi jak zwykle pojawił się kło-

eprasa.pl c414db9aa6

pot: licznik zbiórki na samochód dla Sebastiana Kościelnika stanął na 150 tys. złotych, podczas gdy używane seicento można nabyć za 2 tys. złotych. Jaki był finał eksperymentu? Pieniądze naturalnie wyparowały, auto nie zostało zakupione, a organizator nie zdecydował się na wypłacenie zebranych funduszy dla kierowcy. Cwaniak, który potraktował Sebastiana jak słupa, wykorzystał jego kłopoty do spłacenia zaległości żonie, długów i zaległego czynszu. Czy słyszeliści Państwo o podobnej historii, gdy PiS rywalizowało z Platformą w opozycji? SOP stał się zresztą przyczynkiem do źle pojmowanego obywatelskiego nieposłuszeństwa. Wojciech Czuchnowski zdecydował się na blokadę Żandarmerii Wojskowej w centrum Warszawy. – Była to świetna okazja, by choć na chwilę powstrzymać to, co rządzący ostatnio wyprawiają na drogach – tłumaczył redaktor „Gazety Wyborczej", który przyznał, że spodziewał się Antoniego Macierewicza w limuzynie i dlatego stanął na drodze. W przypadku Czuchnowskiego nic nie może dziwić: gdy tylko PiS zdobyło samodzielną władzę, oznajmił on na Twitterze: „PiS się władzą napie...lił względnie naj..ł, jak messerschmitt. Kac będzie straszny". Dla frajerów, którzy wpłacali na seicento, okazał się z pewnością prorokiem. Nie przypominam sobie – mimo że media w Polsce odbiegają od zachodnich standardów – prawicowego dziennikarza z tygodnika opinii, który w taki sam sposób określiłby początek ery Donalda Tuska.

Samopodpalenia i polityka

Czy w czasach koalicji PO-PSL dochodziło do prób samopodpaleń? Oczywiście że tak. Najgłośniejszy dramat wydarzył się w 2011 roku, gdy desperat użył rozpuszczalnika. Na ławeczce pod Kancelarią Premiera pozostawił list adresowany do Donalda Tuska z krytyką współpracowników ówczesnego premiera i stronniczych dziennikarzy. Tak, PiS zabrało głos w tej sprawie. „Mam nadzieję, że z tego dramatu, bo musi się za tym kryć jakiś dramat, wyjdzie z tego, w ostatecznym rachunku zdolny do normalnego życia. To będzie optymistyczne zakończenie tej sytuacji" – mówił Jarosław Kaczyński. Tak odnosił się do samobójczej próby Tusk: „Nie tylko politycznie, ale także tak po ludzku, bo wszystko wskazuje na to, że te powody były dużo bardziej skomplikowane, niż chcieliby niektórzy politycy to widzieć. A kto chce na takich dramatach robić kampanię, to jest jego sprawa, jego styl, jego wstyd". W październiku 2017 roku pod PKiN – w geście sprzeciwu wobec reform PiS – podpalił się Piotr Szczęsny, nazywany przez zwolenników opozycji „Zwykłym Szarym Człowiekiem". Na placu Defilad ustanowiono tablicę ku pamięci mężczyzny, a jego czyn był często porównywany przez polityków i publicystów do protestu Ryszarda Siwca z 1968 roku. Dramat zmagającego się od wielu lat z depresją człowieka wykorzystano do bieżącej połajanki, jak nigdy dotąd. A dziś? Nikt o nim nie pamięta. Nikt nie zagrzewa do antypisowskiej krucjaty, by wypełnić testament pana Piotra. Jego śmierć, mówiąc brutalnie, stała się bezużyteczna dla antypisowskich harcowników.

Zdrajcy, lecz tylko w jedną stronę

Na koniec polityczne transfery, czyli coś z jednej strony bulwersującego zwolenników danej opcji politycznej, a z drugiej zjawisko wpisane w naszą rzeczywistość. Wraz z kolejnymi zmianami barw polityków PiS, PO, PSL czy SLD przestały mnie one zaskakiwać. Gdy radny sejmiku śląskiego Wojciech Kałuża utorował drogę partii Kaczyńskiego do rządzenia w samorządzie, został natychmiast napiętnowany przez propagandowych „czynowników". „Zdrajca", „hochsztapler", „szmaciarz" – to tylko niektóre z epitetów, które sączono pod adresem byłego polityka PO tylko i aż dlatego, że dla fruktów przeszedł na stronę PiS. Gdy odwrotny kierunek – większość z nich dla stanowisk – obrali Radosław Sikorski, Antoni Mężydło, Paweł Kowal, Joanna Kluzik-Rostkowska, Marek Migalski, Ludwik Dorn, a przemianę z narodowca na liberała przeszedł Roman Giertych, nie było żadnego moralnego problemu. Postąpili słusznie, wszak zbrodnią jest tylko koniunkturalne związanie się ze Zjednoczoną Prawicą. Podobne zjawisko zmasowanego hejtu obserwujemy w sprawie posłanki Lewicy – Monika Pawłowska, popierająca strajk kobiet, postanowiła dołączyć do Porozumienia Jarosława Gowina. Teraz nagrzani wyborcy nie tylko zarzucają jej „zdradę ideałów demokratycznych", a wprost nazywają m.in. „szmatą". Takich wpisów Pawłowska czyta o sobie setki dziennie.

W niniejszym tekście poruszam tylko część przykładów uprawniających do tezy, że środowiska opozycji podgrzewają nastroje, a przy tym zaliczają spektakularne wpadki, niekiedy na tle finansowym. Kiedyś wyborcom PiS doprawiano łatkę „pacjentów psychiatryka". Jeśli tak, to jak ocenić aktywność „bojowników o wolność i demokrację"? „Gazeta Wyborcza" zastanawia się, jak to możliwe, że mimo wielu kontrowersji, Zjednoczona Prawica cieszy się największym poparciem. Może odpowiedzią jest inflacja pojęć? Oskarżanie rządzących o łamanie demokracji i praw człowieka w kwestiach zupełnie nieprzystających do sytuacji? Uskuteczniany język pogardy i brak alternatywy? ■

eprasa.pl c414db9aa6

Jak opowiadał w „Przeglądzie Sportowym” z 1926 roku, piłka nożna była jego... pierwszą kochanką: „Stosunki z nią nawiązałem już w ósmym roku życia i mimo kuszących propozycyj i obiecujących widoków z innych stron, pozostałem jej wierny aż po dzień dzisiejszy”. Wacław Kuchar był wierny także klubowym barwom i przez 23 lata występował w Pogoni Lwów, będąc jedną z barwnych postaci najbardziej kojarzących się z tym miastem. Także dlatego, że brał udział w bohaterskiej obronie Lwowa i wojnie polsko-bolszewickiej. „Jest najbogatszą i najpiękniejszą kartą historii polskiego sportu” – pisał o nim jego biograf Jacek Bryl.

Piotr Lisiewicz

Napastnik ze Lwowa skuteczniejszy od Lewandowskiego

eprasa.pl c414db9aa6

FOT. NAC

eprasa.pl c414db9aa6

Do Roberta Lewandowskiego statystycy porównują go z kilku powodów. Był od niego skuteczniejszy jako napastnik: zagrał w 1126 meczach i zdobył aż 1065 bramek. No a do tego jako 22-letni piłkarz Pogoni Lwów strzelił WKS-owi Lublin cztery bramki w pięć minut. Tymczasem Lewandowski w meczu Bayernu z Wolfsburgiem do tego, by strzelić cztery gole, potrzebował minut aż sześć! U pasjonatów futbolowej statystyki pojawiają się też porównania... z Brazylijczykiem Pele, który strzelił w karierze niewiele więcej, bo 1281 goli.

Nienawidził komuny i palił jak smok

Tam tylko potężnym i twórczym jest duch,
gdzie wola silne ma ramię.
Hej, bracia, kto ptakiem przelecieć chce świat,
niech skrzydła sokole od młodych ma lat!
Więc razem ochoczo w daleki ten lot
sposobić nam skrzydła i ducha.
Nie złamie nas burza, nie strwoży nas grzmot,
gdy woli siła posłucha

– głosił hymn Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", w którym działał Wacław Kuchar. Nie wypadało mu nie znać go na pamięć, skoro muzykę do niego skomponował jego własny ojciec, Ludwik Kuchar.

Słynął z gry fair play, przez co nie został... pierwszym strzelcem bramki w historii reprezentacji Polski. W 22. minucie pierwszego w historii meczu reprezentacji Polski z Węgrami Kuchar otrzymał świetne podanie i z bliska oddał strzał. Trafił bramkarza w głowę – wersje są sprzeczne czy piłką, czy nogą. W każdym razie sędzia nie przerwał gry, a polski napastnik znalazł się sam na sam z pustą bramką. Ale zamiast wbić do niej piłkę, podbiegł do nieprzytomnego bramkarza, aby mu pomóc.

Wacław patriotycznych poglądów nie zmienił także, gdy były one nie w smak komunistycznej władzy. – Wspaniały człowiek, byłem chyba jego ulubieńcem. Żartowaliśmy, że o ile jako lwowiak zaciągał się w mowie, to nigdy nie zaciągał się paląc papierosy, a palił jak smok. Nienawidził komuny. Dla żartu założyłem kiedyś czerwony krawat psu i przyszedłem odwiedzić Wacka. Przeklął mnie i za karę kazał cały dzień wałować boisko – wspominał go w rozmowie z portalem Interia.pl Jerzy Piekarzewski, wieloletni działacz Polonii Warszawa.

Pogoń Lwów – klub Kucharów

Wacław Kuchar urodził się 16 września 1897 roku w Łańcucie. Gdy miał zaledwie roczek, jego rodzina przeprowadziła się do Lwowa. Był jednym z sześciu – a konkretnie czwartym – słynnych braci Kucharów, grających we lwowskiej Pogoni.

Wiadomo, że ich dziadek Carolus Kuchar był Węgrem. Z kolei wspomniany już ojciec Ludwik studiował w Krakowie, gdzie poznał swoją żonę – szlachciankę Ludwikę Drzewiecką. Jak pisze Marta Marek w „Roczniku Kresowym" w artykule „Gdzie Kucharów sześć..., czyli saga najbardziej usportowionego polskiego rodu", matka wywodziła się ze starego poznańskiego rodu Treszerowskich herbu Ciołek, który przyjaźnił się m.in. z malarzem Janem Matejką.

Ojciec był człowiekiem przedsiębiorczym. To on otworzył pierwsze we Lwowie kino, a gdy okazało się, że lwowiacy walą do niego drzwiami i oknami, kolejne dwa. Kina nazywały się „Dreamlend", „Lew" oraz „Pasaż". Później dołożył do tego słynne krakowskie „Kino Wanda".

W 1904 roku powstał jego ukochany klub Pogoń Lwów, a rodzina Kucharów została jego sponsorem. Jak głosiła anegdota, Ludwik Kuchar finansował klub w tajemnicy przez żoną. Natomiast pani Ludwika – nazywana „matką Pogoni" – robiła to samo w tajemnicy przed mężem. Zaś starszy brat Wacława, Tadeusz, który był w zarządzie klubu, nie ujawnił obojgu rodzicom ich tajemnic.

Wcześniej jednak chłopcy działali we wspomnianym Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół". Wacław początkowo tylko obserwował wyczyny braci. „Wprowadzony chyłkiem, usiadłem w kąciku i z zapartym tchem przypatrywałem się ćwiczącym na drążkach. Po powrocie do domu natychmiast postanowiłem spróbować swoich sił. W tym celu wyszukałem w ogrodzie drzewo, które miało gałąź, przypominającą drążek gimnastyczny" – wspominał po latach w „Przeglądzie Sportowym". Gdy został wybrany sportowcem roku w słynnym plebiscycie tej redakcji, wyjaśniał: „Od pierwszej chwili otoczony byłem atmosferą sportową. Mając tak doskonałe wzory jak braci moich Tadeusza, Lola i Władka szybko zapaliłem się do sportu".

O nielegalnej działalności lwowskiego „Sokoła" tak pisze Marta Marek: „Organizacja ta prowadziła również działalność kulturalną i oświatową, a jej oddziały – tzw. »gniazda« stanowiły w okresie zaborów aktywne centra polskości. Ich misją było krzewienie tężyzny fizycznej oraz rozprzestrzenienie idei patriotycznych z myślą o nastawieniu i przygotowaniu Polaków do walki o wolność i niepodległość".

„Do szkoły poszedł w wieku siedmiu lat. Choć miał do niej ponad trzy kilometry, cały dystans pokonywał niemal biegiem" – piszą autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej" Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik. W szkole realnej 11-let-

eprasa.pl c414db9aa6

ni Wacław założył drużynę o nazwie Olimpia, która trenowała w czasie szkolnych przerw, a po to, by grać po szkole, stworzył podwórkowy klub Gloria. Z czasem oba kluby zostały włączone do rozgrywek juniorów Pogoni.

Wacław już jako 15-latek zadebiutował w pierwszej drużynie lwowskiej Pogoni, w której grali też trzej starsi bracia. I był to debiut, jakiego nie było w historii polskiej piłki nożnej. Wprowadzony dość przypadkowo do gry rezerwowy zawodnik strzelił aż... trzy bramki, w meczu wygranym przez Pogoń 7:1.

▶ „Widział śmierć kolegów i sam wielokrotnie uniknął pocisku"

„Dla rodu Kucharów [...] wojna stała się wydarzeniem osobistym i narodowym. Byli wszak Polakami i czekali na Polskę" – pisze biograf Kuchara, Jacek Bryl. 2 października 1915 roku Wacław zdał wojenny egzamin dojrzałości w C.K. II Szkole Realnej we Lwowie. W tym samym roku wcielony został do wojska austriackiego, gdzie ukończył szkołę oficerską. Walczył na Podkarpaciu i w Rumunii. „Zyskuje opinię dobrego żołnierza i szczęśliwego dowódcy: z jego patroli wszyscy wracają cało, choć pod ogień trafiają nie raz" – stwierdza Jacek Bryl.

Natomiast jako ochotnik przyjęty został 6 listopada 1918 roku do Wojska Polskiego w stopniu podporucznika. Brał udział w obronie Lwowa w trakcie wojny polsko-ukraińskiej. „Widział śmierć kolegów i sam wielokrotnie uniknął pocisku" – piszą autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej". W wojnie o niepodległość swoje życie oddało aż 57 członków klubu. Kornel Makuszyński napisze o tej walce:

Na te groby powinni z daleka przychodzić pielgrzymi,
by się uczyć miłości do Ojczyzny.
Powinni tu przychodzić ludzie małej wiary,
aby się napełnić wiarą niezłomną,
ludzie miałkiego ducha, aby się nadyszyć bohaterstwa.
A że tu leżą uczniowie w mundurach,
przeto ten cmentarz jest jak szkoła,
najdziwniejsza szkoła,
w której dzieci jasnowłose i błękitnookie nauczają
siwych o tym,
że ze śmierci ofiarnej najbujniejsze wyrasta życie.

18 maja 1919 roku Wacław Kuchar strzelił dla Pogoni Lwów pięć goli w pierwszym w historii meczu niepodległej Polski, zwyciężając zespół 5. Lwowskiego pułku piechoty 9:3. W szeregach tegoż pułku walczył w wojnie polsko-bolszewickiej.

W 1920 roku został awansowany do stopnia porucznika rezerwy artylerii ze starszeństwem. Z kolei w czasie plebiscytu na Górnym Śląsku w roku 1921 razem z kolegami z zespołu jeździł po Śląsku, gdzie wygrywali w piłkę z doskonałymi niemieckimi drużynami. Niemcy też chcieli wykorzystać te mecze dla własnej propagandy, ale nie spodziewali się, że przyjdzie im grać z tak mocnym przeciwnikiem, który jednoczyć będzie wokół swoich sukcesów polską ludność. „W hotelu Lomnitz zapanowała radość nieopisana. Do graczy naszych przemówił Korfanty, dziękując im w gorących słowach za zyskanie dwudziestu tysięcy nowych głosów dla wspólnej sprawy" – tak tamte wydarzenia opisywał prezes Pogoni Lwów, prof. Rudolf Wacek. „Na Górnym Śląsku wrzała ciężka walka o duszę ludu. Terrorem i przekupstwem chciano zyskać dla Niemiec głosy Polaków. Przedstawiano Polskę jako kraj ciemnoty, zacofania... Zarozumiałe i pewne siebie »Turn- i Sport-verainy« wyzyskiwały nieświadomość polskiej ludności i głosiły, iż w Polsce sport w ogóle nie istnieje" – pisał dalej prof. Wacek.

O tym, jak postawa Kuchara odbierana była tuż po wojnie przez mieszkańców Lwowa, pisał dziennik „Sport": „Wacław momentalnie stał się idolem całego Lwowa. W lipcu 1920 roku, kiedy marszałek Tuchaczewski, nadzorowany przez komisarza politycznego Stalina i wspierany przez legendarną konnicę generała Budionnego, nacierali na Lwów, w mieście zorganizowano... pierwsze mistrzostwa Polski w lekkoatletyce".

Marta Marek o fenomenie rodziny Kucharów pisze tak: „Rodzina Kucharów to prawdziwy fenomen nie tylko w Polsce, ale także na skalę światową. Dwa jej pokolenia odegrały nieocenioną rolę w tworzeniu podstaw i rozwoju polskiego sportu. Ludwika i Ludwik Kucharowie brali czynny udział w zakładaniu pierwszych organizacji i klubów, wspierając je finansowo. Z kolei ich synowie, uprawiając sport i odnosząc w nim sukcesy, przyczyniali się do rozwoju wielu dyscyplin i wzrostu ich popularności. Sławili w ten sposób również Polskę na arenach międzynarodowych. Zachwycali nie tylko rodaków, ale także świat, często pisano o nich w zagranicznej prasie. Stanowili idealny wzór do naśladowania dla młodzieży. Trudno znaleźć rodzinę równie usportowioną i wszechstronną".

▶ Najbardziej wszechstronny sportowiec w historii Polski

Wszechstronność i uprawianie wielu dyscyplin było cechą ówczesnego sportu, jednak trudno znaleźć zawodnika odnoszącego sukcesy w tak wielu

eprasa.pl c414db9aa6

dziedzinach co Wacław Kuchar. Uprawiał on 10 dyscyplin, w tym piłkę nożną, lekkoatletykę, hokej na lodzie, łyżwiarstwo szybkie i figurowe, narciarstwo klasyczne, tenis, łucznictwo, pływanie i skoki do wody. Największe sukcesy odniósł w piłce nożnej, lekkoatletyce, łyżwiarstwie i hokeju. Był mistrzem Polski w biegu na 800 metrów, biegu na 110 metrów przez płotki, biegu na 400 metrów przez płotki, skoku wzwyż, trójskoku i dziesięcioboju. W hokeju na lodzie Kuchar dwa razy brał udział w Mistrzostwach Europy. W 1927 roku w Wiedniu Polacy wywalczyli czwarte miejsce, a w 1929 roku w Budapeszcie zostali wicemistrzami. W sumie w reprezentacji wystąpił dziewięć razy. Był także sędzią hokeja na lodzie.

W 1925 roku reprezentował Polskę na mistrzostwach Europy w wieloboju, gdzie zajął siódme miejsce. Jak wyliczają statystycy, do 2013 roku był to... najlepszy wynik uzyskany przez Polaka w zawodach tej rangi. Dopiero 88 lat później wynik Kuchara wyrównał Konrad Niedźwiedzki. „Nigdy nie unikałem pracy. Inna sprawa, że zawsze rozsadzał mnie nadmiar energii. Sądzę, że właśnie dlatego uprawiałem tyle dyscyplin jednocześnie. Bałem się, że umknie mi jakaś szansa, że nie zdążę się w czymś sprawdzić" – mówił o tej swojej wszechstronności Kuchar.

Żartobliwie opowiadał o swoich zainteresowaniach tak: „Dla dokładności wspomnieć muszę jeszcze o ping-pongu, który uprawiam w zimie [...]. Ze sportów letnich uprawiam jeszcze pływactwo i tenis. W r. 1916 startowałem oficjalnie w skokach. Pływam wszystkimi stylami nieźle. Jednak do zawodów nie staję, gdyż brak mi czasu na racjonalny trening [...]. Również z boksem miałem sposobność zawrzeć bliższą znajomość, uprawiałem go naturalnie wyłącznie dla treningu, osiągając zresztą niezłe rezultaty [...]. Bardzo chętnie gram w tenisa i kiedyś, gdy rozstanę się z piłką nożną, zabiorę się energicznie do pracy nad białym sportem. Nie omieszkam naturalnie wówczas zmierzyć się w poważnej walce".

Dziennik „Sport" pisał: „Tego wszystkiego dokonał sportowiec, który nie dysponował nadzwyczajnymi warunkami fizycznymi, bo mierzył niespełna 170 cm wzrostu i ważył około 70 kg. Miał jednak niewiarygodną wręcz, jak na tamte lata, kondycję, a przede wszystkim był niezwykle wszechstronny".

▶ *Habemus Papam*

Ale dla niego samego najważniejsza była piłka nożna. „Lekkoatletykę pielęgnowałem o tyle, o ile potrzebna mi była jako zaprawa do piłki nożnej" – mówił o początkach swojej kariery. Z Pogonią Lwów aż czterokrotnie wywalczył mistrzostwo Polski, w latach 1922, 1923, 1925 i 1926. Mistrzostwo z roku 1922 Pogoń Lwów wywalczyła, pokonując w meczu finałowym Wartę Poznań 4:3. „Bohaterem dnia był we Lwowie Wacek Kuchar, któremu wyłącznie zawdzięcza Pogoń zdobycie mistrzostwa. Z niewidzianą dotąd na boiskach krajowych zapamiętałością i niewstrzymaną siłą rwał on naprzód i przez strzelenie trzech bramek zapewnił swej drużynie zwycięstwo. Rozentuzjazmowana publiczność wpadła po meczu na boisko i Wacka wśród burzliwych owacyj porwała na ramiona" – pisał „Przegląd Sportowy".

Dwa razy zdobył tytuł króla strzelców – w 1921 i 1926 roku. „Habemus Papam. Polski świat sportowy, obliczony bardzo ostrożnie na półtora miliona głów, usłyszał ubiegłej niedzieli okrzyk, zwiastujący zajęcie tronu mistrzowskiego w piłkarstwie przez lwowską drużynę Pogoń. Jedenastu mistrzów footballowych z najpopularniejszym Wacławem Kucharem na środku napadu, pobiło w ostatecznej rozgrywce warszawską Polonię 2-0" – pisał w 1926 roku magazyn „Od A do Z". „Okropnie lubiłem trafiać do bramki. I w ogóle wygrywać" – mówił on sam.

O kolorycie związanym z ówczesną piłkarską sławą pisał „Dziennik Łódzki": „Już przed wojną piłkarze należeli do tych najbardziej przesądnych. Wacław Kuchar, legenda lwowskiej Pogoni i bodaj najpopularniejszy w II RP sportowiec, zawsze uważał na to, by nie natknąć się przypadkiem na kondukt pogrzebowy, zakonnicę lub wiejską babę z pustym koszykiem, święcie wierzył bowiem w to, że podobne spotkanie sprowadzi nieszczęście na cały zespół lwowskich »Poganiaczy«".

Gazeta opisuje go jako idola lwowskich łobuzów, którego obyczaje udzielały się jego kolegom: „Ulubieniec lwowskich batiarów hołdował także innym osobliwym zwyczajom. Jego zespół w związku z tą przesądną duszą swojego kapitana pojawiał się na murawie zawsze przed graczami rywala, co więcej, przekonywał słynny Wacek, że pecha przynoszą fotografowanie się przed meczem i zmiana koszulki w trakcie zawodów, nawet jeśli do takiego trykotu przylegała gruba warstwa paskudnego błocka".

▶ Kazimierz Górski: „Idol i przedmiot naszych westchnień"

O sławie Kuchara wiele mówi wspomnienie innego lwowiaka, 24 lata młodszego od niego przyszłego wielkiego trenera Kazimierza Górskiego, który wspominał, że młodzi lwowscy chłopcy starali się dostać na stadion Pogoni pod pretekstem pomocy we wnoszeniu walizeczek zawodników. Górski

eprasa.pl c414db9aa6

wspominał: „Pewnego razu ujrzałem jeszcze w znacznym oddaleniu znajomą postać. Nie namyślając się ani chwili, wyskoczyłem jak z procy, by pierwszy znaleźć się przy piłkarzu i wyciągnąć rękę po lśniący neseserek. – Można? – wykrztusiłem zdyszany, zerkając w górę i w tym momencie całkiem mnie zatkało. To był sam Wacek Kuchar, idol i przedmiot naszych westchnień, zawodnik idealny i wszechstronny sportowiec. Spostrzegł od razu zmieszanie na mojej twarzy i chcąc mi dodać otuchy, uśmiechnął się, wręczając pożądaną walizeczkę. I potem już zgodnie wkroczyliśmy na boisko. Poruszałem się jak paw, udając że nie zauważam zawodu i zazdrości malujących się na obliczach asystujących nam kolegów".

W 1924 roku w Paryżu Kuchar wystąpił w olimpijskim turnieju piłkarskim. Był to debiut Polski na olimpiadzie. W 1926 roku zwyciężył w pierwszym w historii plebiscycie „Przeglądu Sportowego" na najlepszego sportowca Polski, uzyskując aż 96 proc. oddanych głosów. Pokonał m.in. pierwszą polska medalistkę olimpijską Halinę Konopacką. „Nagrodę ma on do zawdzięczenia nie tylko walorom fizycznym, ale i zaletom ducha, które sprawiają, że Wacek jest najdoskonalszym typem wszechstronnego sportowca" – uzasadniał „Przegląd Sportowy". W barwach narodowych wystąpił łącznie 25 razy, ale dodajmy, że były to czasy, gdy reprezentacja rozgrywała średnio pięć meczy rocznie. „W reprezentacjach stawiają mnie na różne pozycje [...], jednak wyznać muszę szczerze, iż najlepiej odpowiada mi napad. Jestem wówczas w swoim żywiole" – mówił w „Przeglądzie Sportowym" z 1926 roku.

Poeta: „Twoja córka też pieluszki kopie"

W 1925 roku poślubił swoją żonę Irenę Georgeon. Gdy urodziła mu się córka Maria Elwira, poeta Henryk Zbierzchowski, nazywany bardem Lwowa, napisał dla niego zabawny wierszyk:

Jeszcze dziś większa twoja aureola –
Żeś do małżeńskiej bramki strzelił gola.
A więc się raduj dziś serdeczny chłopie,
Że twoja córka też pieluszki kopie.

W połowie lat 30. zakończył długą jak na owe czasy sportową karierę. W latach 1936–1939 był trenerem Pogoni Lwów. Trenował piłkarzy i hokeistów, pełnił też funkcję prezesa okręgowego związku lekkoatletów. Jednocześnie idąc w ślady ojca prowadził rodzinne interesy, jako współwłaściciel sklepu ze sprzętem sportowym „Maraton". 9 listopada 1933 roku otrzymał Medal Niepodległości za pracę w dziele je odzyskania.

Gdy Niemcy napadły 1 września 1939 roku na Polskę, rezerwista kapitan Wacław Kuchar wyruszył na front, jako dowódca dywizjonu 5. Pułku Artylerii Lekkiej. Po klęsce znalazł się z powrotem we Lwowie. Sowieci nakazali mu trenowanie piłkarzy lwowskiego... Dynama. Gdy jasne stało się, że Lwów nie będzie już Polski, Wacław Kuchar opuścił miasto, któremu oddał całe dotychczasowe życie. W październiku 1945 roku wraz z rodziną wsiadł do pociągu dla repatriantów. Pasażerom kazano wysiąść w Bytomiu. W efekcie zakładał tam drużynę hokejową bytomskiej Polonii. Zespół ten miał być po wojnie spadkobiercą tradycji lwowskiej Pogoni...

„Niewielkie mieszkanko ze ślepą kuchnią" zagorzałego kibica

W latach 1947–1949 był kapitanem związkowym reprezentacji Polski. Trenował Legię i Polonię, kierował też warszawskim Ośrodkiem Przygotowań Olimpijskich. Autorki „Sportowców dla Niepodległej" piszą: „Władze PRL-u nie doceniały jednak sukcesów Kuchara. Pochodził on z zamożnej rodziny, później sam prowadził sklep sportowy. W Warszawie miał niewielkie mieszkanko ze ślepą kuchnią. Nigdy się nie skarżył i do ostatnich chwil bywał na warszawskich stadionach jako zagorzały kibic".

W 1957 roku doszło do groteskowej sytuacji, o której szeptała sobie na ucho cała sportowa Warszawa. Otóż warszawska Polonia postanowiła urządzić Kucharowi 50-lecie kariery sportowej, w ramach której miał odbyć się mecz oldbojów Pogoni Lwów z Polonią Warszawa. Jednak na plakatach pojawiła się informacja, że jest to mecz „Pogoń – Polonia Warszawa". Z jakiego miasta wywodzi się ta Pogoń, cenzura nie pozwoliła napisać. Tylko wszyscy kibice wiedzieli i komentowali... Ale mimo działania cenzury, kibice pamiętali o jego sukcesach. W 1969 roku miesięcznik „Piłka Nożna" ogłosił konkurs „Na najlepszego piłkarza 50-lecia PZPN". Kuchar zajął w nim trzecie miejsce za Gerardem Cieślikiem i Lucjanem Brychczym.

W Legii przez lata trenował młodzież, a gdy nie zajmował w klubie ważnych stanowisk, ale pojawiał się w czasie meczu, idąc przez murawę, na widok siwego pana rozlegały się oklaski kibiców. Zmarł 13 lutego 1981 roku. Pochowany został na warszawskich Powązkach. Od 2011 roku Wacław Kuchar jest patronem Szkoły Podstawowej nr 54 w Bytomiu. Pod patronatem PZPN prowadzone są rozgrywki o Puchar im. Wacława Kuchara, w których rywalizują reprezentacje szesnastu wojewódzkich związków piłki nożnej w kategorii chłopców do lat 14. ■

eprasa.pl c414db9aa6

SAMOTNY ŻYWOT

Jan Emil Skiwski należał do najbardziej inteligentnych, cenionych polskich krytyków literackich, publicystów okresu międzywojennego. Był zdecydowanym antykomunistą, uważającym Związek Sowiecki za największego, śmiertelnego wroga Polski, ale był też przeciwnikiem Stanów Zjednoczonych. Opowiadał się za zjednoczoną Europą, która byłaby w stanie stworzyć przeciwwagę dla Rosji i Stanów Zjednoczonych.

Dariusz Jarosiński

KLERKA

fot. Arch.

Chadzał własnymi ścieżkami niczym kot, nie ulegał stadnemu myśleniu, wymykał się stereotypowym określeniom, trudny do zdefiniowania ze względu na poglądy, na przykład najpierw zwolennik endecji – później jej oponent. Jeżeli w okresie powojennym jego nazwisko pojawiało się w ogóle, i to zarówno w komunistycznej Polsce, jak i na emigracji – to jedynie w negatywnym kontekście. Nie ulega wątpliwości, że zasłużył na potępienie – w czasie wojny głosił proniemieckie poglądy, wspólnie z Feliksem Burdeckim redagowali w latach 1944–1945 z poparciem Niemców dwutygodnik polityczny „Przełom", w którym nawoływał podziemie do zaprzestania walki z armią niemiecką, gdyż uważał tę walkę za działanie w interesie Sowietów. Pogląd ten nie był odosobniony, głosili go choćby płk Wacław Lipiński, Józef Mackiewicz, Tadeusz Katelbach, Adam Doboszyński, ale nie podjęli współpracy z hitlerowcami, tak jak Skiwski. Redaktor „Przełomu" podejmując kolaborację z Niemcami miał na uwadze również zelżenie terroru hitlerowskiego wobec Polaków. W kwietniu 1943 roku uczestniczył w polskiej delegacji, która poznała miejsce zbrodni dokonanej przez bolszewików na polskich oficerach w Katyniu. W 1945 roku udało mu się ewakuować wraz z Niemcami z Polski. Jako świadek Katynia ścigany był listem gończym przez władze komunistyczne. Zaocznie został skazany na karę dożywotniego więzienia i pozbawienie praw obywatelskich. Ostatnie lata życia spędził w Wenezueli, z dala od Polski. Nigdy nie przestał interesować się i zajmować sprawami polskimi, chociaż niemal wszyscy byli od niego odwróceni.

Mówię tylko w swoim imieniu

Jan Emil Skiwski urodził się w 1894 roku w Warszawie. Lata 1909–1918 spędził z rodzicami w Moskwie, gdzie ukończył gimnazjum filologiczne. Zadebiutował wkrótce po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w 1919 roku, nowelą pt. „Gorączka". W tym samym roku ujawnił swój talent krytycznoliteracki, wygłaszając odczyt poświęcony twórczości Stefana Żeromskiego. W 1920 roku jako ochotnik 11. pułku ułanów uczestniczył w wojnie z bolszewikami. Po wielu latach napisał: „Zwyciężyliśmy w roku 1920 dlatego, że: nie walczyliśmy o dolary ani o rynki zbytu. Walczyliśmy o wolność, o niepodległość, o to, by materializm i bezbożnictwo nie zawładnęły światem. Podjęliśmy krucjatę odpowiadając na program upodlenia i niewoli". W 1926 roku związał się z endeckim dwutygodnikiem „Myśl Narodowa", w którym publikował szkice literackie. Szybko zyskały one duże uznanie, m.in. prof. Ignacego Chrzanowskiego, pisał on, iż rozprawa Skiwskiego o Żeromskim należy do „najświetniejszych rzeczy, jakie polska krytyka literacka zapisała w swych rocznikach".

c414db9aa6

Skiwski nie był stały w uczuciach, jeśli chodzi o współpracę z pismami, dokonywał często zaskakujących zwrotów ideowych. Był redaktorem naczelnym poznańskiego pisma katolickiego „Tęcza", by wkrótce podjąć współpracę z najbardziej poczytnym przedwojennym pismem literackim – „Wiadomościami Literackimi", które prezentowały charakter liberalny, miał też okres współpracy z tygodnikiem „Pion", związanym ideowo z obozem sanacyjnym. Zupełnie odrębną historię stanowi redagowanie przez niego dwutygodnika politycznego „Przełom" w czasie okupacji niemieckiej.

Stanisław Piasecki, endecki publicysta, pisał wręcz o „programowym błąkaniu się intelektualnym" Skiwskiego: „Nie chce mieć żadnej przystani. Poczytuje sobie za chlubę, że jej nie ma. Holender – tułacz z zamiłowania. [...] Sądy, określenia i argumenty każdego artykułu Skiwskiego w jakimś miejscu ucinają się, jakby przekrojone nożem. Nie sposób znaleźć drogi, która by je powiązała z osobowością autora, z jego wyznaniem wiary, z jego – mówiąc (nie) po polsku – standpunktem. Skiwski jest jakby ponad swymi argumentami. To nie są jego argumenty, ale argumenty bezosobowej logiki. On je tylko referuje, jak adwokat w sądzie referuje argumenty w obronie powoda lub oskarża pozwanego, przeciwko któremu wnosi powództwo cywilne. Jak dobry adwokat, Skiwski potrafi bronić i oskarżać według każdego kodeksu. Trzeba mu tylko trochę czasu na przygotowanie się – i już może stanąć przed kratkami. Pacyfistom wskaże jarskie konsekwencje, jakie wypływają z pacyfizmu. Katolików będzie pouczał z Ojców Kościoła, na czym polega katolicyzm. Nacjonalistom wytoczy proces w imieniu katolicyzmu o nadużycia taktyczne. Co sam myśli? Na jakim gruncie sam stoi? Co do tego farby nie puści. To nikogo nie powinno obchodzić. Adwokat także nie spowiada się przed sądem, czy uważa kodeks za mądry, czy za głupi" (S. Piasecki, „Mecenas Skiwski", „Prosto z mostu", Warszawa 1934).

Sam Skiwski przyznawał: „Chodzę luzakiem i nawet nie wyobrażam sobie, bym kiedykolwiek mógł należeć do jakiejś grupy czy koterii literackiej. Jest mi to całkowicie niepotrzebne. Mówię [...] tylko w swoim imieniu, odpowiadam tylko za siebie". (J.E. Skiwski, „Wizja i paszport", „Na przełaj", 1935).

Przed wojną Skiwski wydał kilka tomów krytyki literackiej, na szczególne uznanie zasługuje tom „Na przełaj" (1935), uprawiał eseistykę, publikował recenzje, tłumaczył literaturę francuską, pisał również opowiadania, wiersze. Jego twórczość była niezwykle ceniona, czego dowodem było powierzenie mu funkcji wiceprzewodniczącego Związku Zawodowego Literatów Polskich (przewodnictwo sprawował Ferdynand Goetel). Pod koniec lat 30. jego pasją stała się polityka, choć *sensu stricto* politykiem nie był. Został uwiedziony ideami włoskiego faszyzmu, podjął współpracę z prawym skrzydłem sanacji skupionym wokół Obozu Zjednoczenia Narodowego. Na temat komunizmu pisał: „Jestem po stronie tych, którzy uważają komunizm za najstraszliwszą zarazę ludzkości, za prąd z gruntu antykulturalny". Niewątpliwie na stosunek Skiwskiego do komunizmu miały wpływ jego osobiste doświadczenia z wojny z bolszewikami.

O pisarstwie politycznym Skiwskiego powstałym przed rokiem 1939 pisał prof. Maciej Urbanowski: „Określało [je] przede wszystkim przekonanie, że intelektualista powinien myśleć i działać »na przełaj« właśnie, a więc wbrew opiniom i poglądom, którym hołduje większość i wobec których winien niejako *a priori* zachować postawę przekornej nieufności i podejrzliwości. Klerk – jak swoją postawę określał Skiwski – winien zazdrośnie strzec swego prawa do niezależności intelektualnej, prawa do głoszenia poglądów wbrew opinii większości, zwłaszcza zaś elit. Klerk jest »outsiderem« w świecie elit. Jego znakiem jest herezja" („Bohaterowie i zdrajca – sprawa Jana Emila Skiwskiego", „Arka" nr 43 (1) 1993).

▶ „Musieli zginąć, bo reprezentowali kulturę europejską"

W 1941 roku Jan Emil Skiwski nosił się z zamiarem opublikowania powieści „Czad", książki napisanej jeszcze przed wojną. Rękopis złożył do druku w Wydawnictwie Polskim, w którym co prawda zatrudnieni byli Polacy, ale w istocie była to firma założona i kierowana przez niemiecki Urząd Propagandy Generalnego Gubernatorstwa. Podziemie w sposób szczególny napiętnowało i karało kolaborację z Niemcami naszej przedwojennej elity intelektualnej, osób powszechnie znanych. Skiwski dopiero po krytyce literackiego sądu koleżeńskiego, który reprezentowali Leopold Staff, Karol Irzykowski, Ferdynand Goetel, odstąpił od zamysłu publikacji. Fakt ten nie uszedł jednak uwadze podziemia – Skiwski został napiętnowany jako niemiecki kolaborant w „Biuletynie Informacyjnym".

Autor „Na przełaj" długi czas nie angażował się w żadną działalność polityczną, utrzymywał się głównie ze szmuglowania żywności ze wsi, jako przedwojenny wiceprzewodniczący Związku Zawodowego Literatów Polskich działał w nieoficjalnym komitecie pomocy pisarzom, zorganizowanym przez Ferdynanda Goetla i Adolfa Nowaczyńskiego.

W kwietniu 1943 roku Niemcy ujawnili mord dokonany wiosną 1940 roku przez sowieckie NKWD na polskich oficerach z obozów jenieckich w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Władze okupacyjne III Rzeszy starały się nadać sowieckiemu ludobójstwu jak największy rozgłos, m.in. organizując w kwietniu i w maju 1943 roku wyjazdy do Katynia polskich rzeczoznawców sądowych, medycznych, przedstawicieli Polskiego Czerwonego Krzyża. Wśród pierwszych Polaków, uczestników wyjazdu do Lasu Katyńskiego, świadków ekshumacji grobów naszych oficerów, byli pisarze Fer-

eprasa.pl c414db9aa6

dynand Goetel, Jan Emil Skiwski oraz Józef Mackiewicz. Goetel i Mackiewicz wyjechali do Katynia, uzyskawszy wcześniej zgodę władz Armii Krajowej, Skiwski takiej zgody nie posiadał, nie ubiegał się też o nią.

Po powrocie z Katynia Skiwski wbrew zakazom państwa podziemnego udzielił kilku wywiadów prasie gadzinowej. Wywiady ukazały się w „Nowym Kurierze Warszawskim", „Gońcu Codziennym", „Dzienniku Radomskim" oraz w niemieckim dzienniku „Berliner Boersen Zeitung". „Byłem przygotowany na najgorsze – mówił dziennikarzowi »Nowego Kuriera Warszawskiego« – gdy rozpocząłem podróż, ale to, co widziałem, to straszliwe oskarżenie bolszewizmu przekraczające swą grozą najśmielszą fantazję". „Musieli zginąć, bo reprezentowali kulturę europejską" – dowodził. W swoich wypowiedziach podkreślał, że „katami Czeka byli zazwyczaj Żydzi z Jagodą na czele. Polaków zaś Żydzi tym chętniej mordują na własną rękę, biorąc odwet za przedwojenne objawy antysemityzmu w Polsce".

Przeżycia związane z pobytem w Katyniu miały niewątpliwie wpływ na jego dalsze losy życiowe. Pisarz utwierdził się w przekonaniu, że bolszewicy są zdolni do dokonania najbardziej potwornych rzezi, aby tylko zająć Polskę i kraje Europy Środkowej i Wschodniej. Państwa alianckie nie tylko nie zareagowały na informacje o zbrodni ludobójstwa w Katyniu, lecz także tuszowały tę sprawę. Skiwski uznał, że jedynie Niemcy mogą nas uratować przed bolszewią.

Wkrótce po powrocie z Katynia, po ukazaniu się wywiadów w prasie gadzinowej, zaczął się bojkot towarzyski Skiwskiego, przynajmniej przez część środowiska literackiego. Pierwszym, który nie podał mu ręki, który potępił go moralnie i rozpoczął bojkot, był Jerzy Andrzejewski. Kilka lat później Andrzejewski poparł otwarcie system narzucony przez bolszewików w Polsce.

Żaden Polak po pobycie w Katyniu wówczas, wiosną 1943 roku, po obejrzeniu stosu trupów polskich oficerów, po dotknięciu ich osobistych rzeczy – medalików z Matką Boską, krzyżyków, orełków, odznaczeń bojowych, listów, rodzinnych fotografii – po zachłyśnięciu się powietrzem nasyconym trupim jadem, nie mógł wrócić już ten sam. Nie mógł już do końca życia pozbyć się natręctwa obrazów z Lasu Katyńskiego.

Bez przełomu

Wczesną wiosną 1944 roku, kiedy już właściwie przesądzone były losy wojny, a Armia Czerwona z coraz większym impetem parła na Zachód ku stolicy III Rzeszy, Niemcy podjęli rozmowy z przedstawicielami niektórych polskich środowisk politycznych, proponując m.in. utworzenie organizacji o nazwie Polska Liga Antybolszewicka. Niemieckie propozycje zostały odrzucone. Niemcy chyba sami nie wierzyli do końca, że mogli po czterech latach okrutnej okupacji uzyskać poparcie polskiej opinii, zdobyć zaufanie Polaków. Władysław Studnicki zapytany przez Wilhelma Ohlenbuscha, szefa propagandy Generalnego Gubernatorstwa, co mógłby Hans Frank uczynić dla Polski, miał odpowiedzieć: „Niech spakuje walizki i opuści Polskę".

Jedyną osobą, która zareagowała pozytywnie na propozycje Niemców, był Jan Emil Skiwski. Choć nic nie wyszło z utworzenia Polskiej Ligi Antybolszewickiej, to zrodziła się inicjatywa wydawania pisma „Przełom" pod auspicjami niemieckimi. Pierwszy numer dwutygodnika „Przełom" ukazał się z datą 17 kwietnia 1944 roku, w sumie wyszło 16 numerów pisma, ostatni w styczniu 1945 roku. Jako miejsce wydania podawano Racławice, które były kojarzone z insurekcją kościuszkowską z 1794 roku, powstaniem skierowanym przeciwko Rosjanom; faktycznie było wydawane i redagowane w Krakowie. Szatą graficzną „Przełom" przypominał do złudzenia wydawane pisma konspiracyjne, nie zamieszczał żadnego adresu, jedynie numer skrzynki pocztowej. Pismo było kolportowane też w ten sam sposób jak prasa konspiracyjna, chodziło zatem o stworzenie pozorów, że Niemcy nie maczają palców w tym przedsięwzięciu wydawniczym.

Autorami wszystkich tekstów zamieszczanych w „Przełomie" byli Jan Emil Skiwski, Feliks Burdecki, przedwojenny popularyzator nauki, publicysta, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, później dołączył Jerzy de Nisau, przed 1939 rokiem nauczyciel, działacz polityczny, dziennikarz.

Skiwski wzywał podziemie do zaprzestania walki z Niemcami, a nawet do stworzenia im „pomocnego zaplecza", w przeciwnym razie „Wpuszczenie Sowietów w głąb Europy poprzez bramę polską byłoby nieodwracalne. Na to jedno nie ma żadnego lekarstwa w przyszłości. Nie zatrzymamy ich naszymi nagimi piersiami, zatrzymać mogą ich tylko ci, którzy mają broń i chcą z nimi walczyć do ostatka" („Przełom" 1945, nr 1–2). W opinii Skiwskiego państwa alianckie, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, w sposób cyniczny i zdradziecki wykorzystywały Polskę do walki z Niemcami, rzucając nasz kraj na pastwę Sowietom. Polacy zostali potraktowani jak „nawóz historii". Skiwski bardzo krytycznie oceniał politykę prowadzoną przez rząd RP w Londynie oraz politykę podziemia w kraju, uważał, iż są to działania wyjątkowo niebezpieczne dla Polski. W sposób szczególny krytykował premiera Stanisława Mikołajczyka. Według redaktora „Przełomu" współdziałanie Armii Krajowej z Armią Czerwoną przy „wyzwalaniu" wschodnich Kresów Rzeczypospolitej było politycznym absurdem i służyło tylko bolszewikom. Równie krytycznie oceniał decyzję o wybuchu Powstania Warszawskiego, uważał, że było to uleganie przez podziemie nastrojom ulicy, a w efekcie przysłużyło się Sowietom, którzy rękoma Niemców wymordowali naszą patriotyczną młodzież.

eprasa.pl c414db9aa6

Trudno odmówić sensu wielu tekstom Skiwskiego, ale co najmniej naiwnością, jeżeli nie głupotą była wiara, że Polacy podejmą współpracę z Niemcami po czterech latach zbrodniczej, wyniszczającej okupacji. Skiwski wyszedł z założenia, że cel, czyli odsunięcie zagrożenia bolszewickiego, uświęca środki. Redaktor „Przełomu" do końca, do ostatniego numeru pisma wierzył, że III Rzesza pokona Sowietów, a Polacy powinni mieć w tym swój udział.

W Polsce w owym czasie nie było środowiska politycznego, które poszłoby na współpracę z chylącymi się ku upadkowi Niemcami, mającymi na sumieniu miliony ludzkich istnień. Owszem, byli politycy, którzy głosili konieczność ratowania substancji narodowej, którzy krytykowali politykę Delegatury RP na Kraj i AK, uważali, że wspierając Sowietów w walce z Niemcami, torowaliśmy Stalinowi drogę do okupacji Polski i Europy, przyspieszaliśmy wykonanie na nas wyroku, ale nie widzieli możliwości współpracy z Niemcami.

Jak zatem wytłumaczyć zachowanie Skiwskiego, jego kolaborację z Niemcami? Wszak nie podjął się współpracy wówczas, kiedy Niemcy triumfowali, podbijając Europę, lecz kiedy niechybny był ich koniec. Zdawał sobie sprawę z tego, że naraża się potwornie polskiej opinii publicznej, że podziemie gotowe jest wykonać na nim wyrok. Nie czynił tego na pewno z pobudek materialnych. Wydawać się może jedyna słuszna wersja, że tak bardzo obawiał się zagrożenia ze strony bolszewików, że gotów był kolaborować nawet z diabłem, byleby ratować Polskę. Chyba że uznamy, iż Skiwski oszalał. Oskarżanie Skiwskiego o zdradę narodu polskiego jest nie tylko nadużyciem, lecz także nieprawdą. Owszem, był kolaborantem, co nie znaczy, że był zdrajcą, iż sprzymierzył się z Niemcami, by walczyć z Polską.

Krakowskie spotkania

Latem 1944 roku Ferdynand Goetel przypadkiem spotkał się w Krakowie z Feliksem Burdeckim. „Okazuje się, że chciałby się rozmówić ze mną doktor Burdecki, redaktor wydawanego anonimowo, ale z pozwoleniem cenzury niemieckiej, tygodnika »Przełom«. Burdeckiego widzę pierwszy raz od czasu, gdy zjawiał się w redakcji »Tygodnika Ilustrowanego«, przynosząc artykuły popularyzacyjne z dziedziny przyrodniczej. Spodziewam się z jego strony jakiegoś komentarza do odbytej rozmowy z Niemcami, aliści on ma do mnie tylko jedną prośbę, abym nie przypuszczał, że się nie uważa za Polaka, gdyż działa w dobrej wierze zasłużenia się interesowi Polski. Nie wiem doprawdy, co odpowiedzieć. Obecność jego w »Besprechungsraum« w roli gospodarza zamyka mi usta. Opuszczam oczy w dół i dostrzegam przypadkowo buty jego dziurawe i podarte. Przypomina mi się ubóstwo i niewątpliwa bezinteresowność współpracującego z »Przełomem« Emila Skiwskiego. Nie mogę Burdeckiemu powiedzieć nic więcej, prócz tego, że słowa jego zapamiętam. Dziś, gdy notuję to zdarzenie, wypada mi dodać, że ni jeden, ni drugi nie byli ludźmi koniunktury, skoro obaj wydawali »Przełom« w przeddzień niewątpliwej już klęski Niemiec".

Trzeci z pisarzy, uczestników wyjazdu do Katynia, Józef Mackiewicz, w obliczu zbliżającej się Armii Czerwonej, w maju 1944 roku opuścił z żoną Barbarą Toporską Wileńszczyznę, by po raz wtóry nie przeżywać sowieckiej okupacji. Z trudem dotarli do Warszawy. Tutaj wydali trzy numery pisma „Alarm", w którym ostrzegali przed nową okupacją, gorszą od niemieckiej, bolszewicką. Mackiewicz jest autorem dosadnych, lecz oddających dobrze sytuację słów: „Fałszujemy rzeczywistość, stawiając niekiedy znak równania między okupacją niemiecką i sowiecką. Niemiecka robi z nas bohaterów, a sowiecka robi z nas gówno. Niemcy do nas strzelają, a Sowieci biorą gołymi rękami. My do Niemców strzelamy, a Sowietom wpełzamy w dupę" („Nie trzeba głośno mówić").

Tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego, 31 lipca 1944 roku, autor „Drogi donikąd" z żoną wyjechali do Krakowa. Podobnie jak w Warszawie, również tutaj Mackiewicz odbył kilka spotkań, m.in. przynajmniej dwukrotnie spotkał się jesienią 1944 roku z redaktorami „Przełomu". O rozmowach ze Skiwskim i Burdeckim napisał w szkicu „Ludzie z głębszego podziemia" w londyńskich „Wiadomościach" (1947 nr 26). Mackiewiczem kierowała na pewno ciekawość poznania obu publicystów, ale czy inne względy zdecydowały o tych spotkaniach, tego nie wiemy. W czasie spotkań nie ukrywał, że nie popierał współpracy Skiwskiego i Burdeckiego z Niemcami. Dopytywał ich, dlaczego powinniśmy iść z Niemcami, skoro Niemcy „zapowiadają, że w »Nowej Europie« nie będziemy już istnieć jako naród, co najwyżej tylko jako »lud«".

W wielu sprawach politycznych Skiwski i Mackiewicz na pewno byli zgodni, jako zdecydowani antykomuniści największe zagrożenie widzieli w bolszewii, krytycznie też oceniali politykę Delegatury Rządu na Kraj wobec Sowietów. Jeżeli porównamy wymowę, sens tekstów zawartych w pismach „Alarm" Józefa Mackiewicza czy w broszurze „Optymizm nie zastąpi nam Polski" (1943) i artykułów Skiwskiego z „Przełomu", to okaże się, że wiele łączyło obu autorów. Jak się czyta dzisiaj „Przełom", a jeszcze niedawno na jednym z portali internetowych można było nabyć komplet oryginalnych wydań tego dwutygodnika, to jednak widać, że prezentował on wysoki poziom.

Skazany na niebyt

W czerwcu 1945 roku zostało wszczęte śledztwo przeciwko Ferdynandowi Goetlowi, Janowi Emilowi Skiw-

eprasa.pl c414db9aa6

skiemu, Marianowi Wodzińskiemu i Franciszkowi Urbanowi Prochownikowi pod zarzutem ich kolaboracji z Niemcami, a w szczególności „udziału w przedsięwzięciach propagandy hitlerowskiej mającej na celu rozpowszechnienie wśród społeczeństwa polskiego wiedzy o zbrodni sowieckiej w Katyniu". Oficjalnie śledztwo zostało zlecone przez ministra sprawiedliwości, jednak dzisiaj wiadomo, że to Sowieci zaczęli całą sprawę. Prowadzenie śledztwa powierzono wiceprokuratorowi Sądu Specjalnego w Krakowie Romanowi Martiniemu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby którykolwiek z pisarzy, świadków zbrodni sowieckiej w Katyniu, dostał się w ręce NKWD czy UB, nie uniknąłby kary śmierci. W styczniu 1945 roku Ferdynand Goetel tylko zbiegowi okoliczności zawdzięczał, że nie został aresztowany, bo akurat nie było go w domu w Krakowie, gdzie zamieszkał po Powstaniu Warszawskim. Jak później opowiadała Halina Winowska, towarzyszka życia pisarza, sowiecki patrol przyprowadził poeta Adam Ważyk, bolszewicki politruk, gdyż on był w stanie rozpoznać Goetla. Po roku ukrywania się w jednym z krakowskich klasztorów, jesienią 1945 roku Goetel wyjechał z Polski na fałszywym paszporcie. Również Józef Mackiewicz z Barbarą Toporską w styczniu 1945 roku szczęśliwie opuścili Polskę.

W czasie śledztwa przesłuchano kilkudziesięciu przedstawicieli świata kultury, pisarzy. Książka autorstwa Stanisława M. Jankowskiego i Ryszarda Kotarby „Literaci a sprawa katyńska – 1945" stanowi doskonały dokument – świadectwo zarówno zebranych zeznań pisarzy na temat Jana Emila Skiwskiego i Ferdynanda Goetla, jak i ludobójstwa Sowietów w Lesie Katyńskim. Można dostrzec, jak na progu nowej okupacji, bolszewickiego systemu, ujawniają się postawy przyszłych „inżynierów dusz ludzkich".

„Śledztwo prowadzone przez prokuratorów Sawickiego i Martiniego miało w swoim założeniu wykazać, że zbrodni katyńskiej dokonali Niemcy – piszą autorzy wspomnianej książki. Kwestia wykazania ewentualnej winy Goetla, Skiwskiego i innych podejrzanych o kolaborację z hitlerowcami była w tym wypadku drugorzędna. Wskazuje na to sposób prowadzenia sprawy, próby wyjaśniania wątków i spraw niemających związku z przedmiotem oskarżenia. Dobierano do tego część świadków, którzy nigdy nie zetknęli się z podejrzanymi, nic nie wiedzieli o ich działalności, a faktycznie przymuszeni byli do powiedzenia, co w ogóle wiedzą na temat Katynia. Nierzadko prawda była taka, że świadkowie nie mieli nic do przekazania poza opowieściami zasłyszanymi. W sensie dowodowym zeznania te nie miały żadnego znaczenia, poza ewentualną możliwością ich propagandowego wykorzystania w przyszłości".

Przeprowadzona akcja przesłuchania pisarzy miała też na celu zastraszenie środowiska literackiego, wywarcie na nim presji, że lepiej trzymać język za zębami w sprawie zbrodni katyńskiej. Ci pisarze, którzy potępiali najbardziej zaciekle Skiwskiego za współpracę z Niemcami w czasie wojny, już wkrótce zaoferowali swoje usługi bolszewikom, później przez wiele lat sprzedawali się komunistycznej władzy, a służbę okupantowi ładnie nazwali „heglowskim ukąszeniem". W Polsce nadal pokutuje stereotyp, że kolaboracją była jedynie współpraca z Niemcami – Sowietów uważano za „swoich".

10 lipca 1945 roku rozesłano list gończy za Janem Emilem Skiwskim; w 1949 roku został zaocznie skazany na dożywocie i utratę praw obywatelskich.

W styczniu 1945 roku Skiwski wraz z rodziną opuścił Kraków tuż przed wkraczającymi do miasta Sowietami i wyjechał na południe Niemiec. Tam przebywał w obozach dla dipisów. Wówczas zaczął używać nazwiska Jan Rogalski. Po długich perypetiach, m.in. w obozie dla jeńców niemieckich, we Włoszech, w 1948 roku otrzymał możliwość wyjazdu do Wenezueli. Jeszcze w czasie pobytu we Włoszech, latem 1947 roku, ukazał się pod pseudonimem Karola Ignacego Hołobockiego jego szkic „Fenomenolodzy polskości" w drugim numerze „Kultury" redagowanej przez Jerzego Giedroycia. Wraz z rodziną zamieszkał w Caracas w jednej z najbiedniejszych dzielnic, w prowizorycznej lepiance. Szczęśliwie znalazł pracę bibliotekarza w Biblioteca Nacional, gdzie kompletował dział polski, co pozwalało na bardzo skromną egzystencję. Cierpiał na typową chorobę emigrantów – tęsknił za Polską, tęsknił też za życiem intelektualnym, sporami literackimi, politycznymi.

W Wenezueli dużo pisał, jednak emigracyjne pisma, choćby londyńskie „Wiadomości" Mieczysława Grydzewskiego, odmawiały mu publikacji, domyślając się zapewne, że pod pseudonimami kryje się Skiwski. Jedynie dwa teksty opublikował Giedroyć w „Kulturze" pod pseudonimami, po czym współpraca się urwała. Pisał zatem do szuflady lub rozsyłał teksty pocztą do znanych sobie osób – emigrantów. Zmarł 65 lat temu, 2 marca 1956 roku, w Caracas w Wenezueli w zapomnieniu i został pochowany pod przybranym nazwiskiem Jan Rogalski.

***

Jana Emila Skiwskiego „wskrzesił" prof. Maciej Urbanowski, literaturoznawca z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest on autorem biografii Skiwskiego „Człowiek z głębszego podziemia. Życie i twórczość Jana Emila Skiwskiego"; opracował i poprzedził wstępem „Na przełaj oraz inne szkice o literaturze i kulturze", „To, o czym się nie mówi. Szkice polityczne z lat 1946–1956", jest także autorem wydania i posłowia zbioru Skiwskiego „Umierające miasto. Opowiadania i wspomnienia". Pierwszy tekst o autorze „Na przełaj" napisał prof. Maciej Urbanowski w krakowskiej „Arce" (nr 43 1993) „Bohaterowie i zdrajca – sprawa Jana Emila Skiwskiego". Z publikacji tych korzystałem przy pisaniu szkicu. ■

eprasa.pl c414db9aa6

HISTORIA

W 1937 roku na Międzynarodowej Wystawie Sztuki i Techniki Polskę reprezentowało 303 artystów oraz 126 firm i instytucji. W rankingu nagrodzonych państw znalazła się ona w pierwszej dziesiątce, plasując się na zaszczytnym ósmym miejscu i wyprzedzając Stany Zjednoczone, Holandię i Węgry. Polacy okazali się zdobywcami 78 Grand Prix i 51 dyplomów honorowych. Tym samym II Rzeczpospolita udowodniła na forum międzynarodowym, że jest ojczyzną ludzi twórczych, przedsiębiorczych i nowoczesnych.

1

2

Agnieszka Kowalczyk

POLSKA PODBIJA PARYŻ!

1. Fragment paryskiej wystawy z wieżą Eiffla, Pawilonem Niemieckim i fontannami Trocadéro
2. Minister spraw zagranicznych Józef Beck (w środku), w otoczeniu młodzieży w strojach ludowych, przed polskim pawilonem wystawowym. Obok ministra widoczny sekretarz generalny Wystawy Światowej w Paryżu Edmond Labbe.
3. Fragment wnętrza Sali Honorowej z rzeźbami przedstawiającymi najwybitniejszych Polaków. Na ścianie wygrawerowano słowa Józefa Piłsudskiego: „Są ludzie i są prace ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przezwyciężają, że żyją i obcują między nami".
4. Nagrodzony Grand Prix polski parowóz Pm-36 nazwany „Piękną Polką"
5. Wejście do głównego pawilonu polskiego od strony ogrodu

eprasa.pl c414db9aa6

3

4

5

fot. NAC (5)

W maju 1937 roku oczy całego świata zwróciły się na Paryż, gdzie otwarto właśnie tak długo wyczekiwaną Międzynarodową Wystawę Sztuki i Techniki, na której 11 tys. wystawców z 44 krajów zaprezentowało najwspanialsze i najbardziej imponujące osiągnięcia swoich uczonych, inżynierów, wynalazców, malarzy, rzeźbiarzy i architektów. „Prawie wszystkie państwa świata – jak obwieszczała ówczesna prasa – stanęły tu do apelu, aby w szlachetnym współzawodnictwie skrzyżować szpady kultury i postępu. Rozsiadły się okazałe i skromniejsze pawilony dwoma równymi rzędami, po obu stronach głównej arterii wystawowej, i nęcą wzrok rozmaitością form architektonicznych, bogatą gamą kolorów, wśród których jednak biel stanowczo przeważa połyskiem niklu i szkła. Przed każdym pawilonem – sztandar danego kraju na wysokim maszcie. Najwyżej powiewa chorągiew polska”.

„Pawilon Polski jest świetny!”

Międzynarodowa wystawa paryska, odbywająca się pod hasłem: „Sztuka i technika w życiu współczesnym”, stała się obrazowym i żywym rodzajem encyklopedii XX wieku – stulecia techniki, maszyn, radia, szczepionek i wojny chemicznej. Duch tej epoki objawić się miał światu w całej swojej pełni w centrum Paryża, pod wieżą Eiffla, co znalazło swój symboliczny wyraz w konstrukcji architektonicznej wzniesionej na placu Zgody. Szczyty czterech kolumn bramy wystawowej zwieńczyły na wysokości 60 metrów znaczące emblematy: pegaz, okręt, kogut i kuźnia, które otrzymały postać olbrzymich, srebrnych medalionów. Pegaz, ów skrzydlaty mitologiczny koń, stał się symbolem najwyższego natchnienia; galijski kogut – znakiem „czujnej odwagi”; wyjęty z herbu Paryża okręt z napisem fluctuat nec mergitur (rzuca nim fala, lecz nie tonie) – hipogryfem twórczej myśli; a kuźnia – jej realizacji. Emanujące światłem współtworzyły heraldykę wystawy, będącej kwintesencją tego, co nauka, technika i sztuka XX wieku mogły ofiarować ludzkości.

Największe emocje wśród Polaków wywołał pawilon narodowy, który zapragnął zobaczyć i opisać Tadeusz Pruszkowski – znakomity malarz i krytyk artystyczny. Dostawszy się do Paryża, „z niecierpliwością i chyżością muchy afrykańskiej biegł na teren wystawy”, by obejrzeć dzieło stanowiące wysiłek twórczy pięćdziesięciu polskich artystów i techników, którzy w niezmiernie krótkim czasie pod kierunkiem prof. Lecha Niemojewskiego zdobyli się na wielki zbiorowy wysiłek, by stworzyć i urządzić obiekt godny swego narodu. Tak więc 18 czerwca Pruszkowski mógł z entuzjazmem obwieścić, że „Pawilon polski jest świetny!”.

W istocie na skrzyżowaniu Avenue de Tokio i Place de Varsovie, wśród ogrodów Trocadéro wykwitła okazała rotunda w formie wieży z białego kamienia, wzniesiona

eprasa.pl/14db9aa6

według projektu prof. Bohdana Pniewskiego i architekta Stanisława Brukalskiego. Szczyt reprezentacyjnej części pawilonu wieńczyła Polonia Restituta, figura wyobrażająca Polskę Odrodzoną jako kobietę z podrywającym się do lotu orłem na ręku. Przed wejściem wzniesiono kapliczkę z obrazem Matki Boskiej, podobną do tych współtworzących mistyczne piękno ojczystych pejzaży, a otaczający pawilon mur z łamanego kamienia polnego przerywała misterna krata pomysłu prof. Edmunda Bartłomiejczyka, otwierająca widok na ogród ze stojącą w nim rzeźbą Augusta Zamoyskiego. Do gmachu prowadził długi portyk, którego sklepienie, podtrzymywane przez cztery orły z patynowej blachy miedzianej, zdobił kunsztowny plafon Bolesława Cybisa – wyzłocony i wysrebrzony, stanowiący „szlachetną kompozycję złożoną z anielskich istot o nieco murzyńskich duszach i twarzach". Dalej zaś rozciągał się przerzucony nad wodą mostek o masywnych poręczach – dzieło Henryka Grunwalda, wytwór prostej, a zarazem wykwintnej sztuki. Wchodzących do tego przybytku polskości olśniewała wspaniała haftowana złotem i długa na trzydzieści metrów makata Mieczysława Szymańskiego, ukazująca wiktorię wiedeńską króla Jana III Sobieskiego. Nic jednak nie mogło dorównać wrażeniu, jakie czynił na oglądających widok siedmiu posągów najbardziej zasłużonych dla Polski mężów – Bolesława Chrobrego, Władysława Jagiełły, Mikołaja Kopernika, Tadeusza Kościuszki, Adama Mickiewicza, Fryderyka Chopina i Józefa Piłsudskiego. Nad nimi zaś widniały wykute na ścianie słowa Marszałka, wypowiedziane niegdyś nad trumną Juliusza Słowackiego: „Są ludzie i są czyny ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przezwyciężają, że żyją i obcują między nami". Wnętrze Rotundy Honorowej, nazwanej Salą Tysiąclecia, miało być „artystyczną ilustracją tych słów, hołdem złożonym przez nową Polskę jej przeszłości".

Awangardowy styl i fotel wyścielany baranicą

Z rotundy przechodziło się następnie na teren polskiego pawilonu wystawowego, zaprojektowanego przez Bohdana Lacherta i Józefa Szanajcę, do obszernej galerii, której perspektywę od strony Place de Varsovie zamykał wprawiający w zdumienie olbrzymi maszt sztandarowy ze stali spawanej, o wysokości 41 metrów i wadze 4100 kilogramów, osadzony na podstawie ostrym końcem i podtrzymywany tylko przez trzy nisko zawiązane pętle stalowe. Pomysłodawcą tej zadziwiającej konstrukcji o nowatorskim rozwiązaniu mocującym był profesor Politechniki Warszawskiej Stanisław Hempel, a wykonawcą – znana w całym kraju Fabryka Wyrobów Żelaznych „H. Zieleziński". W tej samej części wystawy przyciągały wzrok projekty wnętrz najwybitniejszych polskich architektów-dekoratorów, w tym salon wypoczynkowy Stefana Listowskiego i Jerzego Hryniewieckiego oraz domek letniskowy Jana Bogusławskiego i Konstantego Danki, które „pięknie reprezentowały nasz smak w komponowaniu siedziby człowieka, bez uciekania się do złota, perłowej masy i drogich kamieni". Najbardziej nowatorska okazała się jednak koncepcja architektoniczna Barbary Brukalskiej, która wyobraźała hall w willi konstruktora samolotów. W tej na wskroś nowoczesnej aranżacji przestrzeń mieszkalna łączyła się w integralną całość ze światem zewnętrznym dzięki użyciu wielkich szklanych szyb jako ścian. Za jedną z nich roztaczał się widok na wewnętrzny dziedziniec z zimowym ogrodem, a za drugą, na tle której ustawiono figurę pływaczki, kusiła zieleń z basenem. Na czarnej podłodze z granitu rozciągnięty został jasny dywan o abstrakcyjnym wzorze pomysłu Wandy Koseckiej, a zwieńczeniem całości były oryginalne meble – szezlong pokryty cielęcą skórą o barwie poziomkowej, półkolista jesionowa ława, metalowo-szklany stolik zig-zag w awangardowym stylu i fotel wyścielany baranicą. Nie zabrakło też i innych wyszukanych elementów artystycznych – blat kominka z piaskowca wspierał się na rzeźbie Augusta Zamoyskiego wyobrażającej dwa męskie torsy, a na parapecie okiennym widniała „Głowa dziewczyny" jego dłuta. Ścianę zaś zdobiło abstrakcyjne panneau Edwarda Manteuffla z motywem podniebnych podróży samolotowych.

Czekoladowe pyszności Wedla

Dalej ciągnęły się stoiska państwowego monopolu tytoniowego, alkoholu i soli z pomysłowymi dekoracjami w postaci fotomontaży, rzeźb w drzewie i malowideł na szkle. Na tym tle bezkonkurencyjny okazał się kiosk Wedla przyciągający prześliczną akwarelą z biedermeierowskimi motywami pędzla Ireny Wilczyńskiej, która nawiązywała do epoki powstania starej firmy warszawskiej słynącej od 1851 roku z najlepszych wyrobów czekoladowych w Polsce. W Niepodległej zaś niepodzielnym władcą czekoladowego imperium stał się przedstawiciel trzeciego pokolenia Wedlów, godny następca swego dziada Karola i ojca Emila – Jan, strażnik starych, sprawdzonych receptur, a zarazem idący z duchem czasu innowator. Z jego to inicjatywy w 1926 roku powstał graficzny znak reklamowy firmy z pasiastą żyrafą, na której grzbiecie siedzi chłopiec w czerwonym kaftanie, dźwigający na plecach przepyszne tabliczki czekolady. Za sprawą przedsiębiorczego Jana na ulicy Zamoyskiego w Warszawie powstała nowa fabryka wyrobów czekoladowych, otwarta ku największej uciesze stołecznych łasuchów w 1931 roku. Do tego nowocześnie urządzonego królestwa rozpływających się w ustach słodyczy sprowadzono z zagranicy specjalną maszynę do produkcji twardej i napowietrzanej czekolady oraz pierwsze w Polsce urządzenie do pakowania karmelków. Co więcej, po ulicach międzywojennej stolicy

eprasa.pl c414db9aa6

zaczęły jeździć samochody dostawcze ze znakiem firmowym „E. Wedel", a czekoladowe dostawy trafiały na Pomorze za pośrednictwem „wedlowskiego samolotu" RWD-13. Jan pomyślał nawet o zamontowaniu przed wejściem do parku Skaryszewskiego pierwszej w kraju maszyny wendingowej, z której za opłatą wyskakiwały wybrane smakołyki. Firma promowała też swe wyroby w prasie, a hasło: „Czekolada Wedla to idealne połączenie wzmacniającego mózg cukru i odżywczego kakao" było nader przekonujące i kusiło nieziemskim smakiem. Na tym jednak nie koniec, bo Jan przystąpił do produkcji mlecznych pianek w czekoladowej polewie. Przeszły one do historii jako uwielbiane przez Polaków ptasie mleczko, którego nie mogło przecież zabraknąć na światowej wystawie w Paryżu.

▶ Z Orbisem i LOT-em w świat

Nieco dalej czekała na zwiedzających sala promująca rodzimą turystykę, sztukę ludową oraz artystycznie zaprojektowane książki o Polsce. Z olbrzymich fotografii biło piękno Warszawy, Krakowa, Tatr, Huculszczyzny, Jezior Augustowskich i Bałtyku, zachęcając przybyszów z całego świata do odwiedzania Polski, poznawania skarbów jej przeszłości oraz najbardziej urzekających zakątków. Do wyobraźni przemawiał wyrastający jakby spod ziemi plastyczny model Gdyni – nadmorskiej chluby II Rzeczypospolitej i najmłodszego portu ówczesnej Europy. W innym miejscu zaś miłośnicy podniebnych podróży oblegali stoisko firmowe Polskich Linii Lotniczych LOT, których wyróżnikiem był wielce oryginalny, dekoracyjny globus Tadeusza Piotrowskiego. Miało się też czym pochwalić założone we Lwowie w 1920 roku Polskie Biuro Turystyczne Orbis, które stanowiło prawdziwe okno na świat dla kochających dalekie wojaże Polaków. O jego dynamicznym rozwoju świadczył fakt, że tuż przed wybuchem II wojny światowej posiadało 136 oddziałów w kraju i 19 za granicą. Nic więc dziwnego, że Orbis szybko znalazł się w gronie dziesięciu najlepszych biur turystycznych na świecie.

Na najwyższe uznanie zasługiwał bez wątpienia dział sztuki ludowej. W zaaranżowanym przez Annę Pawlikowską, Hannę Laudańską i Czesława Knothego „pełnym czaru i poezji" wnętrzu wyeksponowane zostały oryginalne wyroby folklorystyczne: unikalna kolekcja pisanek, bukłaki z ornamentami huculskimi, figurki świętych, wycinanki kurpiowskie, obrazy malowane na szkle, płaskorzeźby, drzeworyty, ceramika, stroje ludowe z okolic Krakowa, Podhala, Śląska, Polesia, Łowicza i Huculszczyzny, a ponadto dewocjonalia, biżuteria, świeczniki, drewniane rzeźby, kwiaty z bibuły i ręcznie malowane lalki w przepięknych strojach. Wszystkie te osobliwości stanowiły niezbity dowód na to, że wytwory polskiej sztuki ludowej mogą być niezwykłymi i niekonwencjonalnymi elementami współczesnego wnętrza, zasługującymi nawet na miano małych dzieł sztuki. Kwintesencją polskiego stylu okazały się również porozwieszane w witrynach wystawowych milanowskie jedwabie oraz wełniane samodziały leszczykowskie – tkaniny dorównujące pod względem gatunku i wykończenia najlepszym materiom angielskim, nie mówiąc już o wzorzystych makatach dekoracyjnych z pracowni tkackiej księcia Artura Potockiego w Buczaczu. Wysokim poziomem jakości odznaczały się też wyroby lniane z Żyrardowa, porcelana z Ćmielowa, platery z warszawskiej fabryki Józefa Frageta, a także meble z wytwórni Józefa Sroczyńskiego w Poznaniu oraz z firmy Thonet-Mundus w Radomsku.

Do ostatniej już sali wiodła prosta kamienna alejka, ciągnąca się pod długą betonową pergolą, na której końcu otwierał się pawilon „Polska Gospodarcza", promujący osiągnięcia i dynamiczny rozwój rodzimego przemysłu, rolnictwa, techniki, transportu i infrastruktury. Miejsce na swe ekspozycje znalazły w nim m.in. Fabryka Chemiczno-Farmaceutyczna R. Barcikowski SA z Poznania, warszawski Związek Polskiego Przemysłu Lotniczego, który popularyzował rodzime dokonania techniczne w sferze lotnictwa, a także Fabryka Unia-Ventzki SA z Grudziądza prezentująca nowoczesny sprzęt rolniczy. Tłumnie oblegany był kiosk Polskiego Związku Bekonowego zaprojektowany przez inżyniera Czernego i wykonany ze szkła oraz z białego metalu, pokryty neonowymi świetlikami. W jego wnętrzu umieszczono wielką mapę kuli ziemskiej ilustrującą wszystkie miejsca na świecie, do których docierały mięsne wyroby polskiej firmy.

▶ Pleograf, aeroskop, kinofon...

Największą chyba ciekawość, obok działów obrazujących odkrycia naukowe prezydenta II Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego oraz rozwój Polskiego Radia, budziło stoisko poświęcone dokonaniom Kazimierza Prószyńskiego – pioniera w dziedzinie światowej kinematografii. Ów warszawski inżynier, wynalazca, operator filmowy i reżyser zasłynął na polu nauki i techniki jako konstruktor pierwszych aparatów kinematograficznych i kamer filmowych. Toteż na paryskiej wystawie z dumą wskazywano na dorobek tego pasjonata foto- i kinomechaniki oraz twórcy pierwszej polskiej wytwórni filmowej Pleograf (1901–1903) i przypominano, że jeszcze jako student w 1895 roku skonstruował w Warszawie nowatorski aparat służący do wykonywania zdjęć i projekcji filmów, nazwany przezeń pleografem. Za jego pomocą nakręcił kilka filmów krótkometrażowych ukazujących życie codzienne Warszawy, ruch na ulicy Franciszkańskiej, ślizgawkę w Łazienkach, powrót birbanta czy przygodę dorożkarza. Wszystkie te żywe scenki mieszkańcy stolicy mogli oglądać w Teatrze

eprasa.pl c414db9aa6

Letnim Ogrodu Saskiego podczas specjalnych pokazów, które dały początek polskiej kinematografii. Aby udoskonalić swój wynalazek, konstruktor gotów był przerwać studia inżynierskie i całkowicie skupić się na swej pracy, co po trzech latach eksperymentów zaowocowało powstaniem biopleografu, a potem obturatora (1909), służących eliminowaniu drgań i uzyskaniu płynności obrazu podczas jego emisji. Wprowadzenie do produkcji tego ostatniego urządzenia, wysoko ocenionego przez Akademię Nauk w Paryżu i samego Louisa Lumière'a, stało się momentem zwrotnym w dziejach przemysłu kinematograficznego i sztuki filmowej, bowiem pozwalało na realizację filmów o niemal dziesięciokrotnie większej niż początkowo długości. Nie lada sensację wywołał opatentowany przez polskiego wynalazcę w 1909 roku aeroskop – pierwsza na świecie ręczna kamera filmowa o napędzie automatycznym, która w czasie I wojny światowej posłużyła do rejestrowania tego, co działo się na froncie. Niezmordowany w swych poszukiwaniach Prószyński już w 1912 roku zaskoczył wszystkich kolejnym swoim wynalazkiem, którym był amatorski aparat filmowy „Oko", nieskomplikowany w obsłudze i dzięki swej niewysokiej cenie ogólnie dostępny. Podjął nawet próbę stworzenia filmu dźwiękowego (1913), dążąc do synchronizacji kinematografu z fonografem, co zaowocowało powstaniem kinofonu, dzięki któremu nakręcił dwa filmy. Ich bohaterką była przyszła żona Prószyńskiego Dorothy Abrey, która grała na fortepianie, śpiewała, a potem z głośnym trzaskiem zapalała zapałkę.

Patrząc na wszystko to, co II Rzeczpospolita miała do zaoferowania światu, prof. Pruszkowski ujęty był niepowtarzalnym stylem narodowego pawilonu, który jego zdaniem na paryskiej wystawie nie miał sobie równych. I choć zapewne w zestawieniu z gigantycznymi rozmiarami gmachów sowieckiego i niemieckiego wyglądał na mikrusa, to pod każdym względem przewyższał swych rywali wysoką kulturą architektoniczną i niebywałym poczuciem smaku, dorównując przy tym i innym potęgom przodującym w dziedzinie sztuki i techniki. Co więcej, zespalał w sobie tradycję historyczną z dążeniem do budowy nowoczesnego państwa, odzwierciedlając rozwój II Rzeczypospolitej i ukazując zarazem tysiącletni wkład Polski w dorobek cywilizacyjno-kulturowy Europy.

Ku czci wielkiej Polki

Dzięki zorganizowanej w 1937 roku Wystawie Paryskiej o Polakach stało się głośno w świecie. Poza własnym pawilonem narodowym zaprezentowali również swe dokonania w szeregu sekcji międzynarodowych. Tak więc w promieniującym blaskiem najnowszych zdobyczy nauki Pałacu Wynalazków urządzona została specjalna sala, do której Polacy wchodzili z bijącym sercem i z której wychodzili ze łzą w oku. Było to miejsce upamiętnienia życia i pracy naukowej jednej z największych uczonych XX wieku – Marii Skłodowskiej-Curie – pierwszej kobiety uhonorowanej dwiema Nagrodami Nobla (1903, 1911), pierwszej mianowanej profesorem Sorbony, wreszcie pierwszej, która w dowód uznania zasług naukowych pochowana została wśród najwybitniejszych w paryskim Panteonie. W samym centrum tego siedliska polskich sił twórczych zwracały uwagę prymitywne i niejednokrotnie sklecone według własnego pomysłu aparaty służące badaczce do pierwszych pomiarów elektrometrycznych. W oszklonych gablotach zatrzymywały wzrok dyplomy noblowskie i cały szereg niezliczonych wyróżnień przyznanych odkrywczyni radu i jej mężowi Piotrowi za trud zgłębiania tajemnic materii. Na honorowym miejscu znalazły się i owe znane światu odłamki rudy, z której to uczona wyodrębniła rad w czystej postaci. Geniusz Polki, wnikającej w tajniki natury i przynoszącej ludzkości remedium na cierpienie, zdaje się patronować tej światowej wystawie, na której upamiętnieni zostali także inni zasłużeni dla nauki Polacy: Mikołaj Kopernik – twórca heliocentrycznej teorii wszechświata, Zygmunt Wróblewski i Karol Olszewski, którzy jako pierwsi skroplili tlen i azot, Kazimierz Kostanecki – twórca nowoczesnej krakowskiej szkoły anatomicznej, Marceli Nencki – pionier fizjologii i biochemii mikroorganizmów, Józef Babiński – współtwórca podstaw neurochirurgii, Kazimierz Funk – prekursor nauki o witaminach czy Oskar Minkowski, który wniósł olbrzymi wkład pracy w badania nad gruczołami dokrewnymi.

Najszybsza dama II Rzeczypospolitej

W rywalizacji toczącej się w Pałacu Kolei Żelaznych bezkonkurencyjny okazał się polski parowóz Pm 36-1 – prawdziwa duma FABLOK-u – pierwszej krajowej Fabryki Lokomotyw w Chrzanowie. Opływowy kształt arcynowoczesnej maszyny aerodynamicznej, jej granatowa otulina i osiągana prędkość (140 kilometrów na godzinę) sprawiły, że zyskała ona miano „Pięknej Polki" i nagrodzona została Grand Prix wystawy. Ta najszybsza dama II Rzeczypospolitej była dziełem konstruktora Kazimierza Zembrzuskiego, powstałym przy współpracy z profesorem Adamem Xiężopolskim. W prawdziwe zdumienie wprawił zwiedzających także polski pociąg turystyczny z trzema wagonami – sypialnym, kąpielowym, wyposażonym w łazienki z prysznicami i salon fryzjerski, oraz barowym, w którym ku wielkiej uciesze podróżnych czas jazdy umilały dan-

eprasa.pl c414db9aa6

cing i kinematograf, odkrywający piękno Krakowa, Warszawy, Tatr i Huculszczyzny. W pociągu znalazło się nawet miejsce dla sali chirurgiczno-operacyjnej. O dokonaniach polskiej techniki kolejowej wiele mówiła makieta Dworca Głównego w Warszawie, wykonana w skali 1:200, z dołączoną mapą plastyczną węzła warszawskiego oraz ośmioma planszami statystycznymi ilustrującymi dorobek polskiego kolejnictwa. „Wszystko to wskazuje, że w zakresie organizacji przewozów, jak i w wielu innych dziedzinach, Polska konsekwentnie i z powodzeniem wciąż dąży do urzeczywistnienia twórczych wysiłków. Eksponaty polskich kolei stanowią prawdziwe zaproszenie do podróży po Polsce" – dzielił się swoją opinią francuski dziennikarz K. Péchin.

Polacy zaskakują świat

W Grand Palais, gdzie popularyzowano najnowsze odkrycia naukowe, Instytut Prehistorii Uniwersytetu w Poznaniu wystawił model rekonstrukcyjny pradawnej osady w Biskupinie, która stanowiła fenomen archeologiczny na skalę światową. Z kolei w Pałacu Sztuki Nowoczesnej, gdzie mieścił się dział urbanistyki, prezentowano plany i widoki nowych dzielnic Warszawy, jak również projekty rozwoju Krakowa i Gdyni. Zorganizowano też wystawę najnowocześniejszych polskich osiedli robotniczych, w tym kolejowego pod Kielcami, Paged w Gdyni oraz na warszawskim Żoliborzu, Rakowcu i Kole. W dziale dekoracji teatralnej największym powodzeniem cieszyła się słynna scenografia do baletu „Harnasie" Karola Szymanowskiego zaprojektowana przez Irenę Lorentowicz. Polacy wiedli też prym w dziedzinie grafiki użytkowej i reklamy. Zachwycano się pracami Tadeusza Gronowskiego oraz Tadeusza Trepkowskiego, który otrzymał Grand Prix za swój plakat z dziedziny bezpieczeństwa i higieny pracy. Wysokim profesjonalizmem wyróżniały się poza tym realizacje artystyczne powstałe w legendarnym atelier „Mewa", które stworzyła trójka przyjaciół z warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych – Edward Manteuffel, Antoni Wajwód i Jadwiga Hładki, mistrzowie w projektowaniu plakatów, okładek i obwolut książkowych oraz papieroplastycznych dekoracji. To właśnie wykonana przez Wajwóda figura z papieru ozdobiła polską ścianę na wystawie reklamy usytuowanej obok wieży Eiffla.

Polacy mieli też powody do dumy, prezentując swój dorobek w dziedzinie nauki, techniki i sztuki w Pawilonie Międzynarodowym. W sali polskiej wystawiono m.in. akwarele Stanisława Noakowskiego, drzeworyty Leona Wyczółkowskiego i Władysława Skoczylasa, dzieło rzeźbiarskie Augusta Zamoyskiego, medale projektu Tadeusza Breyera, Henryka Grunwalda i Wojciecha Jastrzębowskiego, a także przepiękne kilimy, tkaniny oraz lniane, wełniane i jedwabne makaty powstałe w warszawskiej Spółdzielni Artystów Plastyków „Ład". Z kolei polscy inżynierowie i architekci mogli zaimponować zagranicznym specjalistom planami i fotografiami nowych gmachów użyteczności publicznej, które stanęły w Warszawie (Ministerstwo Komunikacji, Szkoła Główna Handlowa, BGK, Prudential) i Gdyni (Dworzec Morski, hale targowe, ZUS). Kto chciał, mógł też zapoznać się bliżej z pracami polskiej ekspedycji polarnej na Spitsbergen bądź udać się do paryskiego kina „Ciné", by tam obejrzeć pierwszy polski film barwny inżyniera Tadeusza Jankowskiego „Wesele księżackie w Złakowie Borowym" albo „Trzy etiudy Chopina" Eugeniusza Cękalskiego wyróżnione na Festiwalu Filmowym w Wenecji (1937). To ostatnie dzieło stanowiło awangardową w swej formie wizualizację utworów muzycznych genialnego pianisty, zrealizowaną z zastosowaniem przeróżnych środków wyrazu – plam świetlnych, perforowanej taśmy, pejzażu i tańca. Swój wielki tryumf święciła też Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia pod batutą Grzegorza Fitelberga oraz uhonorowani złotymi medalami polscy muzycy – Jan Kiepura, Henryk Sztompka i Ewa Bandrowska-Turska.

Ostatnia taka noc w dziejach ludzkości

Wraz z nastaniem wieczoru Paryż stroi się w nową, zadziwiająco piękną szatę, uwodząc widzów grą światła, dźwięków i kolorów. Na ten moment oczekują w najwyższym podnieceniu tłumy zgromadzone na moście Alma, które stają się powoli świadkami niezwykłego widowiska, bo oto na środku Sekwany zaczyna skrzyć się feerią barw fantastyczna rzeźba z lodu, a wokół niej, w różnych punktach rzeki, wytryskują i zapalają się naraz fontanny mieniące się czerwono, niebiesko, zielono, pomarańczowo, pawio i amarantowo. Teatr wodny zniewala swym urokiem, podobnie jak „kaskady ognia, szumiące płynne tęcze, w blasku których ściany pawilonów rysują się wyraźnie na aksamicie nieba, a rzeźby zaczynają żyć [...]. Tęczowy płyn Niagar kropli się wokoło, a klawisze tajemniczego fortepianu, połączone przewodami ze świetlną instrumentacją, wyczarowują z koloru i muzyki cudotwórcze koncerty". Nocy nad Sekwaną nie da się porównać z niczym innym. Zahipnotyzowanych jej nieopisanym pięknem wyrywają z zamyślenia niespodziewane huki. To ze szczytu wieży Eiffla wybuchają naraz ogniste „gwiazdy fajerwerków" upamiętniające jedną z tych nocy w dziejach ludzkości, podczas której narody świata obchodzą wspólnie wielkie święto braterstwa, manifestując wiarę w potęgę umysłu i twórczych sił człowieka. ■

eprasa.pl c414db9aa6

Ewa Polak-Pałkiewicz

Wersal i bania

Listy Anny Branickiej do narzeczonego pisane z baraku w Krasnogorsku mogłyby być podręcznikiem „szkoły przeżycia". Jak w upodlających warunkach zachować wiarę? Nie utracić nic z osobistej kultury? Jak nie tracić poczucia humoru? Nie ulegać nienawiści wobec prześladowców? Jak dzielić się swoim ubóstwem z tymi, którzy są w większej jeszcze nędzy? Jak w kraju wrogów pozostać człowiekiem wolnym? To nie było proste, nawet dla reprezentantów historycznych rodów...

fot. Longin Wawrynkiewicz/PAP

„»Bojec« Igor zrobił nam stołki, takie, jak mają dójki w oborach. Są świetne i zdobią nasz pokój. Pomagałam mu w struganiu dziur na nogi i naturalnie ukroiłam sobie pół palca..." – pisała w marcu 1946 roku w Krasnogorsku pod Moskwą 21-letnia Anna Branicka, córka Adama, ostatniego Branickiego z tej linii, właściciela Wilanowa. Potomka hetmana Franciszka Ksawerego.

Zderzenie dwóch światów

Rok wcześniej Anna zanotowała w swoim dzienniku (który był zbiorem listów do narzeczonego Janusza Radomyskiego, nigdy nie wysłanych, bo nie zdobyła jego powojennego adresu): „Wiesz, tyle tu przeżywamy strasznych chwil depresji, rozpaczy, zwątpienia, że nawet nie próbuję Ci ich opisać. Nie znam słów wyrażających tak wielką gorycz i beznadziejność. Właśnie w tych dniach decydują się sprawy Polski, wybierają ludzi, którym ma być dane panowanie [w Moskwie odbywał się właśnie proces „szesnastu" – przyp. E.P.P.]. Teraz rozstrzygnie się pewno także nasza przyszłość. Jeśli ustanowią wreszcie prawitielstwo, czyli rząd polski, nie mają celu trzymać nas dłużej. Chyba, że naród nie zechce powrotu »żubrów« i »krwiopijców«... Wtedy zostaniemy już tu na zawsze".

Myliła się. Internowanie pod Moskwą przeciągnęło się jeszcze prawie dwa lata. Oprócz chwil buntu i rozpaczy, przyniosło sposobność ujrzenia dziwu nad dziwy: społeczeństwa sowieckiego doby stalinizmu. Wychowanka pałacu w Wilanowie, oczko w głowie utytułowanych rodziców, uczennica prywatnych nauczycielek mogła zobaczyć na własne oczy, co dzieje się z ludźmi w ojczyźnie proletariatu. Zderzenie dwóch światów nie mogło być mocniejsze. W jej listach obrazy te przekazywane są z całą szczerością otwartej, nieuprzedzającej się do nikogo dziewczyny. Anna nie potrafi nikim pogardzać. Nie potrafi żyć urazami, nienawidzić, hodować w swoim sercu obrazu wroga. Notowała osobliwości tego życia bez złośliwości, często z rozbawieniem, niczym badacz obyczajów egzotycznych ludów. Jej kronika życia polskich zesłańców pod Moskwą w latach 1945 –1947* przypomina niekiedy opisy odkrywców życia afrykańskiej dżungli.

„Niewesoło jechać do »tiurmy«, i to tylko dlatego, że było się gościem Radziwiłłów i że Bóg pokarał nas tytułem hrabiowskim" – zanotowała w lutym 1945 roku. Wieziono ją właśnie, wraz z rodzicami i siostrą na Łubiankę. W więziennym aucie każdy miał osobną klatkę („Mama [Beata z Potockich Branicka – przyp. E.P.P.] siedziała tam jak prawdziwy zbrodniarz wojenny"). Zostali wzięci z pałacu w Nieborowie jako „świta" księcia Janusza Radziwiłła. Niebezpieczni. Polscy arystokraci.

eprasa.pl 14db9aa6

Sprzęty króla Jana na niemieckich wozach

Pisząca te słowa była żołnierzem AK. Jej narzeczony, powstaniec warszawski, trafił na jej oczach do niemieckiej niewoli. Po powstaniu Niemcy wyrzucili ją wraz z bliskimi z rodzinnego domu. Rozstanie z Wilanowem oznaczało przecięcie historii rodziny związanej z tym miejscem od ponad pół wieku (Wilanów stał się własnością Branickich w 1892 roku na mocy spadku). W grudniu 1944 roku bezdomna rodzina Branickich – rodzice i trzy córki – znalazła schronienie u chłopów w pobliżu Nieborowa. Ci z przyjaciół i służby, którzy mogli przedostać się w tym czasie do Wilanowa, przekazali im potem obraz niepojętego zniszczenia.

Dom wilanowski Anny Branickiej (późniejszej Wolskiej) to nie tylko ciepło ukochanego gniazda, lecz także zbiory muzealne o nieoszacowanej wartości. Bezcenne dzieła sztuki, biblioteka, archiwum. Adam Branicki został przez rząd II Rzeczypospolitej zobowiązany do ochrony tych dóbr i łożenia na nie. Gromadzone od pokoleń zbiory Braniccy otaczali największą możliwą troskliwością, zatrudniali kustoszy. Co teraz z wilanowskim muzeum? Przyjaciel rodziny i zarządca domu, dawny służący, Henryk Kanabus, który przedarł się do Wilanowa tej pamiętnej zimy, relacjonował: „Co dzień stoją przed pałacem platformy i wozy, żołnierze ładują na nie wszystko po kolei. Spieszą się, krzyczą, popędzają. Nie opakowują niczego, nie zawijają, nie spisują. Wprost pod gołym niebem, obijając się i trzęsąc na bruku, jadą na niemieckich wozach sprzęty króla Jana. Obrazy Graffa, Lampego. Uśmiechają się łagodnie jasne twarze Madonn włoskich, wypadają inkrustacje z komódek i stolików, mokną na prószącym śniegu obicia starych, pięknych mebli. Na kozłach wozów jadą żołnierze, ćmią papierosy. Czeka ich dobry zarobek. Kto da »górala« albo nawet dwie, trzy setki – dostanie jakiś sprzęt zrzucony cichcem z wozu...".

„Pochyliliśmy jeszcze niżej głowy" – wspomina Anna Branicka. „To muzeum ratowane przez tyle lat wojny z takim narażeniem, teraz sponiewierane, zbezczeszczone, zmarnowane...". Ale nie o muzeum przecież chodziło. Kończyła się wojna i kończył się rozdział życia Branickich: siostra Anny, Beata, której losu zesłańcy nie znali, przez całe Powstanie w Warszawie, z bronią w ręku. W Wilanowie działał szpital dla rannych żołnierzy – tych z września 1939 roku i tych z Powstania – a zarazem ośrodek gospodarczy ratujący od głodu całą okolicę, w tym miejscowych chłopów. A przede wszystkim było tu pewne miejsce schronienia dla ogromnej liczby uciekinierów, bezdomnych z Wielkopolski, zbiegłych z niemieckich obozów jeńców. Tu pracowały komórki AK, pod bokiem Niemców, którzy mieli w Wilanowie swojego zarządcę. Każdy z kilkudziesięciu lokatorów wilanowskiego pałacu siedział po uszy w konspiracji, nie licząc pracowników, służby. Wilanów wtedy to nie tylko uroczy pałac, malowniczy park i doskonale prosperujący majątek ziemski, który przetrwał lata okupacji, bo był potrzebny Niemcom. To przyczółek katolickiej kultury i niezmordowana praca na rzecz Polski, wymagająca przenikliwości, inteligencji, hartu ducha i brawury, czasem posuniętej aż do szaleństwa.

Od trzech pokoleń potomkowie hetmana Franciszka Ksawerego Branickiego starali się odkupić jego zdradę. Hasłem życia Adama Branickiego h. Korczak – które starał się wpoić swoim córkom – było: „Od Branickich wymaga się podwójnie".

Z pałacu do baraku

Z okazji Bożego Narodzenia i Nowego Roku 1945 piątka Branickich wygnana przez Niemców z własnego domu, zjechała na krótką gościnę do Janusza Radziwiłła w Nieborowie. Książę dopiero co opuścił słynne więzienie Moabit w Berlinie. Krótka chwila wytchnienia w niezniszczonych przez wojnę pałacowych wnętrzach, wśród przyjaciół i rodziny, po przejściach okupacji i Powstania. I po ruinie marzeń na jakąkolwiek stabilizację. Z Nieborowa Braniccy – jako goście człowieka, który u progu PRL stał się *persona non grata* – wraz z jedenaściorgiem przedstawicieli innych historycznych rodów, Zamoyskich, Krasickich, Potockich, Sobańskich, Lubomirskich, zostali aresztowani i przewiezieni do Moskwy. Potem na prawie trzy lata osadzono ich w baraku w Krasnogorsku; przez płot graniczyli z obozem dla jeńców niemieckich. Szesnaście osób, w tym troje dzieci, stłoczono w trzech pokoikach i wspólnej kuchni.

Opis tego życia, zawarty w listach Anny do narzeczonego – barwny, żywy, dowcipny – mógłby być podręcznikiem „szkoły przeżycia". Jak w upodlających warunkach zachować wiarę. Nie utracić nic z osobistej kultury. Jak w nienaturalnym stłoczeniu nie zniszczyć przyjaźni i szacunku wobec współwięźniów. Jak nie żyć urazami. Nie tracić poczucia humoru. Nie ulegać nienawiści wobec prześladowców. Jak dzielić się swoim ubóstwem z tymi, którzy są w większej jeszcze nędzy. Jak w kraju wrogów pozostać człowiekiem wolnym. To nie było proste, nawet dla reprezentantów historycznych rodów... I – nade wszystko – jak ufać, że „gdy Pan Bóg zamyka drzwi, otwiera okno".

„Nasze profesorskie grono"

„Januszku, ze smutkiem stwierdzam, że nasz akcent angielski nie jest pierwszorzędny. Zupełnie inaczej brzmią słowa w ustach Edmunda [Radziwiłła], który ukończył Oxford" – skarżyła się Anna w pierwszych tygodniach zesłania. Wykłady, nauka, wieczory poezji, pisanie wspomnień, udzielanie dzieciom lekcji – to codzienne zajęcia zesłańców. Jeszcze w więzieniu na Łubiance Anna zaczęła uczyć się z ojcem rosyjskiego, a Adam Branicki rozpoczął dla wszystkich wykłady z historii.

eprasa.pl c414db9aa6

„[...] w łóżku, o świcie, zaczynam się uczyć historii, potem piszę coś ze wspomnień, po porządkach mam lekcje z Ojcem, potem czytam z mszału po francusku, zapisuję jakieś ciekawostki. Trochę rosyjskiego, piszę wykłady Tatusia dla Ferdusia [Ferdynand Radziwiłł, jedno z trojga dzieci na zesłaniu]. Ballala [Izabella Radziwiłłowa] wypisała na arkuszu wielki plan dnia dla dzieci. Uczą się dużo, całe nasze towarzystwo przeobraziło się w profesorów. Edmund uczy angielskiego, ciocia Maryla – rysunków, Ballala – geografii, matematyki i polskiego. Mama – religii, a Tatuś – historii. Ja notuję i prowadzę zeszyt Ferdusiowi".

Jednak pomimo wysiłków, by zachować się „po polsku i normalnie", zgodnie z regułami życia swojej sfery, trudno ukryć, że walka o godne warunki życia w Krasnogorsku oznaczała przede wszystkim walkę o elementarny ład i czystość w baraku.

„Wielką sensacją było dla nas otrzymanie szczotki (roboty więźniów niemieckich) do mycia podług. Wzięliśmy się zaraz do szorowania podłóg. Robiłam to pierwszy raz w życiu... Najgorzej, że trzeba to było robić boso, a woda bardzo, bardzo zimna...Okropnie jest myć się zawsze tylko w miseczce lub rondelku. [...] Nie masz pojęcia, jak brudzą się ubrania w takim koczowniczym życiu... Pierzemy od śniadania do obiadu, potem znowu wieczorem po paleniu w piecu. [...] Szyję bardzo dużo. Cały czas wolny od prania i lekcji poświęcam cerowaniu, łataniu i konstruowaniu nowych rzeczy. Tak więc uszyłam parę dni temu pantofle dla Marysi z rękawów mojej sukni i sobie również – z kawałka koca".

Rąbię niczym chłop

„Od miesiąca Xawery [Krasicki – przyp. E.P.P.] obiera kartofle. Tak zabawnie wygląda, siedząc na niskiej ławeczce w szlafroku uszytym przez Elkę [Gabrielę Krasicką z Sobańskich] z siennika i ze skrobaczką w upierścienionej dłoni. Poważnie traktuje tę pracę i jest zrozpaczony, gdy przy obiedzie znajdzie się w zupie jakiś kartofel z ciemną plamą.

Żebyś wiedział, że rąbię już świetnie – niczym chłop – na równi z Edmundem. Pomyśl, my we dwoje rąbiemy na cały dom, na szesnaście osób! Zwykle sześć bali piłujemy, każdy na trzy części. To jest wściekła robota. Potem jesteśmy zmachani i już nie mamy ochoty ani się kłócić, ani spacerować.

Ręce mam czarne, popękane, pocięte chyba w trzydziestu miejscach. Zupełnie ręce spracowanej, starej pomywaczki! Żebyś wiedział, jak śmierdzę pomyjami i tym podłym topionym tłuszczem!".

Umiejętności Anny mnożyły się w szybkim tempie. Po pół roku internowania umiała gotować fasolową, grochówkę, kartoflankę i krupnik. Szyła bluzkę z poszewki na jasiek i chodziła w czapce własnej produkcji. Denko ze starej skarpetki, usztywnienie „z latawca Ferdusia". „Wyglądam w niej bardzo szykownie. Od wczoraj robię dla Marii buty ze sznurka... Palce mam pokłute... Książę [Janusz Radziwiłł] bardzo się przyczynia do tej roboty. Wczoraj wycinał za mnie podeszwy, a przedtem pół dnia rozlatywał ze mną zasupłane sznurki. Bojec Stanisław pożyczył mi szydło".

W lutym 1946 roku Anna zanotowała z niemałym entuzjazmem: „Xawery robi już myszołapki, haftki z drutu do spódnic, zrobił kalendarz do kuchni na cały ten straszny 1946 rok, który nas czeka, wagę zrobił bardzo dokładną, a ciocia Marylka [Zamoyska] produkuje szpilki do włosów, które są nie do dostania. Moglibyśmy właściwie żyć w epoce kamiennej. Dajemy sobie radę".

Wigilia zesłańców

Przyszło Boże Narodzenie. Rano w baraku całkowita cisza. „Drzwi od pokoi pozamykane, wszyscy się modlą. Trzy mszały, dwa polskie i jeden francuski, przechodzą z rąk do rąk... Na stole koło choinki Mama układa papierowe serwetki. To zamiast talerzy. Na nich dziwne jak na tę uroczystość dania: po obwarzanku, dwa pierniczki, dziesięć kruchych gwiazdek i trzy czekoladki wymienione z Łarą za smalec [...] zamykamy drzwi na drewniany skobel, chcemy być sami we czwórkę... Z koperty, chowanej pieczołowicie na dnie torby, Mama wyjmuje opłatek. Biały, cienki, prawie przezroczysty po bokach, z wyciśniętym obrazkiem. Opłatek jeszcze z Wilanowa, pamiętający roziskrzoną wielką choinkę, jasny salon i tłumy roześmianych, drogich twarzy. Mama dzieli się z Tatusiem, potem z Marysią, potem ze mną. Nic nie mówimy. Przecież słów nie potrzeba [...] Na czołach naszych Mama znaczy krzyżyk".

Tego wieczoru nie było kolęd. Cały wysiłek włożony był w to, by nie było widać łez. Anna z Matką wyszły przed nocą z dusznego baraku, by odetchnąć świeżym powietrzem, i patrzyły na ten tak inny, obcy świat. „[...] daleko słychać krzyki chłopaków grających w hokeja pustą zgniecioną puszką po konserwach. Idziemy wzdłuż domów. Okna są jasne, zawieszone na drutach żarówki świecą mocno ostrym, żółtym światłem. Ludzie w swoich szarych codziennych ubraniach stoją pochyleni nad okopconymi małymi kuchenkami [...]. W pokoju Tatuś leży na swoim wąskim łóżku. Leży i myśli – tak jak teraz ciągle. Nie chce czytać, nie chce rozmawiać, nie chce spacerować. Wciąż leży i myśli. Jakież to smutne! Naraz rozlega się nasz gong, a raczej uderzenie młotkiem w rurę. Pacierz i kolacja. Jak co dzień klękamy w kuchni do litanii. W imię Ojca i Syna... Kyrie eleison... Dziś wszyscy modlą się w większym skupieniu, twarze ukryte w dłoniach. Pod ołtarzykiem Matki Boskiej zawieszony jest żelazny łańcuch z szesnastu ogniw. Zrobił go Xawery. Potem siadamy do stołu... Blaszane i drewniane łyżki brzęczą na talerzach".

eprasa.pl c414db9aa6

Jakieś przedszkole czy ochronka

„Najmilszą chwilą jest późny wieczór po kolacji i zmywaniu. Jeśli czasowym jest Grubas, to wolno nam usiąść na schodkach ganeczka wychodzącego na ulicę i patrzeć na wspaniały zachód słońca i nielicznych przechodniów. Najmilsze są wieczory wskrzesienia i prazdnikow. [...] Najzabawniejsze są młode dziewczyny, przeważnie wystrojone w okropne krwistoczerwone suknie. Spacerują po ulicy tam i na powrót, trzymając się pod ręce, długim rzędem i śpiewając na całe gardło jakieś wrzaskliwe piosenki. Kilku amantów kroczy z tyłu, często grając na harmoszce czy organkach. Ten arcyzabawny pochód przechodzi kilka razy w nocy... Nie masz pojęcia, jak te dziewczyny strasznie wyją".

Wybory w lutym 1946 roku to wielkie święto w Rosji. Na ulicach były odświętne tłumy. „[...] wszystko zarośnięte, brodate mużyki, baby w chustkach niepasujących do przywiezionych z Zachodu futer, dzieci obdarte. Tylko wojskowi wyglądają porządnie. Tłumy przeważnie pijane. [...] Chodzili bandami, zataczając się i śpiewając... Na drodze tańczyli kozaka, grali na harmoniach, śpiewali, aż trzęsły się domy".

Jeszcze w maju 1945 roku spacery grupki zesłańców z Polski, u których nóg biegała suczka – pekińczyk (nikt z Rosjan nie uważał jej za psa) – budziły sensację. „Sąsiedzi z domów okolicznych wylegają na drogę i przyglądają nam się ciekawie, robiąc głośne uwagi. Wołają za nami: Faszysty! Czasem rzucają kamieniami. Teraz na szczęście już wiedzą, że nie jesteśmy Niemcami... Ostatnio czasem zagadują do nas przyjaźnie, dzieci kłaniają się, a nawet niektórzy oficerowie salutują".

Leczenie w tych warunkach to sceny jak z westernu. Poliklinika – obskurna kamienica „z kilku umorusanymi siestrami i wraczami". „Wracz, chyba siedemdziesięciopięcioletni Żyd... wziął nas do gabinetu. [...] lekarstwa, maszyna i narzędzia wzbudziły we mnie odrazę. Wiesz, tu cementu do plomb nie mają i wierteł do borowania brak zupełny. Jednym jedynym, niezdezynfekowanym, doktor świdruje w zębach setek ludzi. O mycie rąk też nie dbają... Zresztą prawie tu zębów nie leczą, tylko wyrywają... Edmundowi ten wracz zaplombował dwa zęby zupełnie bez borowania, a cioci Maryli chciał wyrwać najzdrowszy ząb, ale z dużą złotą plombą! [...] Miesiąc temu ciocia Maryla spuchła szalenie i prosiła o dentystę. Na drugi dzień przyszedł jakiś młody oficer w papasze na bakier i oznajmił, że jest właśnie »zubnym wraczem«. »Kogo zub bolit?« – zapytał groźnie. Obejrzał ząb cioci Maryli i zaraz na stojąco w przedpokoju wyjął z kieszeni szczypce i chciał brać się do rwania. Przerażona ciocia Maryla zrezygnowała, twierdząc, że już jej lepiej".

Zesłańcom trudno było pogodzić się ze wszechogarniającą brzydotą. „Wiesz – skarżyła się Anna narzeczonemu – wyglądamy od wczoraj na jakieś przedszkole czy ochronkę: wszyscy szesnaścioro chodzimy w takich samych szarych filcowych pantoflach, które jakoby wróżą prędki wyjazd. Dostaliśmy też koszule białe (nie wiadomo: nocne czy dzienne), szkaradne czarne staniki i pasy, niebieskie olbrzymie majtki, pończochy i kilka beretów. Jesteśmy uradowani i wdzięczni losowi za te dary. Z majtek tych Elka uszyła całą suknię Magdalenie, Zenia – bluzkę...".

W 1945 roku w październiku była już pod Moskwą tęga zima. „Rozpacz ten klimat... Chodzimy boso, w drewniakach, a do tego futra i papachy. Robimy wrażenie artystów ze spalonego teatru! Edmund czasem nakłada futro Ballali. Tatuś często płaszcz Mamy, dzieci chodzą w dziurach i łatach, słowem: jesteśmy oberwańce i nędzarze".

Ale na zesłaniu byli jeszcze biedniejsi. „Zachodzi do nas codziennie biedna staruszka, żebraczka. Wyjadała dotąd z naszego śmietnika głowy śledzi, skóry od chleba i inne resztki, ale dziś zanieśliśmy jej coś lepszego. Była bardzo szczęśliwa i błogosławiła, chwaliła nas pod niebiosa: »Lubeńka moja, doczka dorogaja...«".

Wiosną cała grupa polskich internowanych na limitowanych spacerach (pod strażą) namiętnie zbierała kwiaty w pobliskich laskach i parowach. „Już o tej naszej słabości do kwiatów zwiedziły się tutejsze małe urwisy. Coraz to jakaś ciemna, brudna łapka kładzie bukieciki konwalii na oknie, a potem z dołu słychać nieśmiały głosik: »A chleba dacie?...« za jeden mały skrawek chleba malcy ci cały dzień łażą za kwiatami!".

Zesłańcy, którzy pojawiali się na ulicy i przed barakiem, stali się dla okolicy główną atrakcją. Ale dla funkcjonariuszy byli złoczyńcami, którzy odpokutowują zasłużoną karę. „Któregoś dnia, gdy rąbaliśmy z Edmundem drewno przed domem, podeszła do nas nauczycielka z całą swoją klasą. Stanęli opodal i dosłyszeliśmy część jej wykładu: »Eto grafy i kniazia. Oni ransze byli krowopijcy – tiepier' u nas oni dołżny rabotat'«. Potem dzieci patrzyły na nas bardzo długo z przejęciem. W końcu mała dziewczynka zapytała mnie wprost: »Anuszka, eto wierno, czto ty krow roboczych piła?«".

Jeńcy, czyli bracia

Jedzenie, a raczej jego brak, stało się obsesją autorki. Anna ze wstydem wyznawała, że zjada wszystkie resztki z talerzy i „pół życia" oddałaby za sznycel, jakąś leguminę lub „chociażby zwykły budyń z niemieckiego podłego proszku". Rozmowy o jedzeniu stały się codziennym rytuałem. „Dopiero wieczorem Tatuś wykłada całej szesnastce historię Rosji, poza tym mówimy tylko o tuszonkach, pluskwach, humorach, samopoczuciach itd." – zauważała Anna z przerażeniem.

Na niemieckich jeńców z sąsiedztwa Anna patrzyła ze współczuciem. „Idą miarowo czwórkami, śpiewając tę znaną z Warszawy znienawidzoną pieśń »Heili heilo«.

eprasa.pl c414db9aa6

Jakże inaczej brzmi ona teraz. Nie ma w niej tej nuty butnej i zwycięskiej, z każdej strofki woła tęsknota. Czy uwierzysz, że widok jeńców niemieckich, obdartych, ślizgających się w drewniakach po błocie, pozatykanych jakimiś szmatami – tylko pierwszym razem mnie ucieszył? [...] Jakoś my, Polacy, nie potrafimy długo zachować urazy". Stosunek Anny do sąsiadów zza płotu stawał się z dnia na dzień coraz cieplejszy. „Wśród tych biednych, nieszczęśliwych, zaharowanych ludzi mam przyjaciół" – zwierzała się po kilku miesiącach – „osoby życzliwe, lubiące mnie".

Uśmiechały się, zagadywały po niemiecku, pozdrawiały. Gdy jadła zupę z blaszanego talerza, na skrzyneczce pod oknem baraku, słyszała zawsze „Guten Appetit". Tak jak oni, Anna tęskniła całym sercem do dobrego słowa, do odrobiny ciepła. Odwzajemniała życzliwość uśmiechami, czasem małymi praktycznymi prezencikami zrobionymi z podręcznych resztek, ciepłymi skarpetami i szalikami wykonanymi na drutach. A oni prześcigali się natychmiast w uprzejmościach, wyszukanych komplementach, podarunkach własnej roboty, czasem pomysłowych, domowym sposobem wykonanych dziełach sztuki: obrazkach, wierszach, poematach, przemyślnej autorskiej biżuterii. Narodowość przestała stanowić barierę. Anna podkreślała zbratanie wspólnym losem. Liczyło się przede wszystkim to, że ten człowiek obcej narodowości był w rozpaczliwej sytuacji tak samo jak ona. W dodatku wśród ludzi „traktujących go jak psa, nazywających go pogardliwie Frycem, wyśmiewających go. Czy można tak nieszczęśliwemu człowiekowi żałować kilku słów?".

W obcojęzycznym tłumie czasem, o dziwo, można było spotkać rodaka. „Jest między jeńcami kilku Polaków. Jeden starszy pochodzi z Białegostoku i ma małe organki, na których wygrywa w czasie przerwy obiadowej. Taki smutny to obrazek: jeniec polski w mundurze niemieckim, w rogatywce zielonej z orzełkiem, leżący na stosie desek wśród tłumu kamratów wszystkich narodowości, grający cichutko hymn Polski...".

Na jesieni 1946 roku polskich arystokratów przeniesiono do tzw. kwarantanny, czyli małego wewnętrznego obozu usytuowanego w samym środku obozu dla Niemców. Tu Polaków poddawano takim samym zabiegom propagandowym jak Niemców. Musieli oglądać filmy, z których wynikało, że wina Niemców za zbrodnie wojenne ma charakter absolutny. Wróg musi pozostać wrogiem. Jeńcy niemieccy i Polacy oglądali jeden z tych filmów w okresie świąt Bożego Narodzenia. Wstrząs wywołała filmowa relacja z procesu norymberskiego. Przed oczyma Anny stanęły na nowo obrazy wszystkich okrucieństw, których była świadkiem w czasie wojny i o których podczas okupacji słyszała – a które chciałaby z pamięci wyrzucić – i wspomnienia niewypowiedzianej udręki męczeństwa i utraty bliskich osób. Tutaj się na nie pozwalało, by pamięć doznanego zła została uśpiona, przytłumiona. Pracowali nad tym fachowcy, prawdziwe talenty. Tego rodzaju dokumenty Rosjanie robili ze swoistym mistrzostwem, przyznawała Anna.

Na przekór tym staraniom Anna i jej towarzysze niedoli w kwarantannie mieli okazję zetknąć się z całą galerią postaci Niemców niepasujących do obrazu wroga. Rosjanie próbowali właśnie na tych ludzi – często z cenzusami, tytułami naukowymi, artystów, inżynierów (było wśród nich paru generałów) – wywrzeć szczególną presję. Obóz w Krasnogorsku był jednak obozem wyjątkowym; warunki w innych łagrach były o niebo gorsze. Wśród tych ludzi szczególne miejsce w obozowym życiu Anny przypadło Węgrowi, Gezie Janko Czegledi emu, malarzowi i grafikowi z Budapesztu, doktorowi chemii. Ofiarował Annie przyjaźń i obietnicę, że będzie pomagał jej, by nie marnowała najlepszych lat na błahostki. Pisał do niej w liście, że ma się rozwijać intelektualnie, cenić czas, uczyć się. No i szykować się „do trudnego życia, które mnie czeka. Nie wiadomo, co mnie jeszcze spotka... Muszę mieć hart ducha, swój własny wewnętrzny świat, który mi pozwoli wszystko przetrwać i nie załamać się".

Geza zamierzał uczyć ją „wszystkiego, co sam umie", w tym języka niemieckiego. Wszystko korespondencyjnie. W przerzucanych przez płot przesyłkach otrzymywała solidne, choć nacechowane osobistymi opiniami traktaty, ukazujące szerokie horyzonty tego niezwykłego człowieka. Pisał o Beethovenie, o szczepionkach, o malarstwie, o historii Węgier.

„Kiedyś Geza zobaczył mnie w starej, bardzo połatanej spódnicy. Wieczorem rzucił mi przez płot swój jedyny, poniemiecki szynel. Wiadomo, czym jest płaszcz dla jeńca. Nie tylko okrywa go w czasie chłodu, ale jest mu poduszką, kocem i materacem. Nie chciałam tej ofiary przyjąć. O ileż lepiej byłam zaopatrzona od niego!...Uparł się". Anna wyliczała podarunki od węgierskiego przyjaciela: własnoręcznie zrobione karty na drewnianych tabliczkach. Królowie i waleci mieli polskie i węgierskie stroje historyczne. Dwie figurki z drewna, przyodziane w ubrania ze skrawków materiału. „Jedna była malarzem, czyli nim, miała czarne ubranie, ciemne włosy i paletę w ręku. Druga lalka była amazonką, czyli mną. Twarze lalek wyrzeźbił najzdolniejszy w obozie plastyk, Holender Iserentandt".

Na Gezę pisano wiele donosów do władz obozu. Za kontakty z Anną, pod płotem kwarantanny, dostał kilka dni aresztu. Potem przeniesiono go karnie do innego obozu. Wychodząc przed bramę całował złoty medalik, który dała mu w prezencie. Tajną przesyłką wysłała mu tam własnoręcznie zrobiony na drutach sweter... ■

cdn.

_____

*) Listy złożyły się na wydaną w 2012 r. przez LTW książkę (Anna Branicka-Wolska, „Listy niewysłane", Łomianki). Wszystkie cytaty z wyjątkiem inaczej oznaczonych za tą książką.

eprasa.pl c414db9aa6

Piotr Lisiewicz

Wizjonerski artykuł wybitnego polskiego publicysty Aleksandra Bregmana „Prawo rządzące polityką polską" ukazał się w londyńskich „Wiadomościach" w 1946 roku i z perspektywy roku 2021 zachowuje pełną aktualność. Pokazuje on cechy rosyjskiej i niemieckiej polityki, które powodują, że te „narody rozbójnicze" zawsze dążą do sojuszu nad naszymi głowami. Podważa on niezwykle skutecznie prorosyjskie (komuniści, dziś Konfederacja) i proniemieckie (dziś PO, Hołownia) koncepcje polskiej polityki, jako prowadzące do utraty niepodległości. Bregman w 1946 roku przewidywał, że niepodległość może dać Polsce tylko rozpad Związku Sowieckiego i sojusz państw Międzymorza. Chyba nie było w polskiej publicystyce XX wieku autora, który myliłby się rzadziej...

Aleksander Bregman

Prawo rządzące polityką polską

Prawo rządzące polityką polską trzeba więc, niestety, ująć po prostu w formułkę następującą: Polska nie może być niepodległa o ile jeden lub obaj jej sąsiedzi są w stanie budować imperium euroazjatyckie [...] Mówi się, że zbrodniarza ciągnie na miejsce zbrodni. Można by bodaj twierdzić, że te dwa narody rozbójnicze ciążą ku sobie nawet wówczas gdy dzieli je wszystko, nawet gdy wiedzą, że ich cele nawzajem się wykluczają.

1. W wyniku tej wojny ponieśliśmy jedną z największych klęsk w historii Polski. Ponieśliśmy klęskę, wyrażającą się nie tylko w utracie połowy terytorium narodowego i milionów ludzi, ale przede wszystkim w faktycznej utracie niepodległości politycznej.

Prawdopodobnie przez lata całe będziemy analizowali tę straszliwą klęskę i dociekali, czy można jej było uniknąć. Jest to dyskusja konieczna. Ale, rzecz jasna, nie może to być tylko obrachunek błędów i szukanie ewentualnych winowajców. Rzeczą stokroć ważniejszą jest wyciągnięcie wniosków na przyszłość. Musimy analizować niedawną przeszłość, aby znaleźć odpowiedź na pytanie, jakie są warunki odzyskania utraconej niepodległości i – nieutracenia jej znowu.

2. W ciągu dwudziestu lat niepodległości i jeszcze w pierwszych latach wojny polska myśl polityczna wychodziła na ogół z założenia, zrodzonego z doświadczeń rozbiorów, wydarzeń w. XIX i pierwszej wojny światowej, że o ile współpraca niemiecko-rosyjska oznacza nieuniknioną klęskę Polski, o tyle konflikt i rywalizacja niemiecko-rosyjska niemal automatycznie prowadzi do odrodzenia i umocnienia niepodległego państwa polskiego.

Najdosadniej ujął tę tezę Stanisław Mackiewicz, który w r. 1941 pisał: „Jak istnieją prawa ekonomiczne, jak istnieje prawo popytu i podaży, tak istnieje prawo rządzące polityką polską. Znaczenie polityczne Polski jest funkcją stosunków rosyjsko-niemieckich. Z chwilą kiedy stosunki te są złe, znaczenie Polski urasta, Polska odzyskuje polityczną samodzielność. Kiedy stosunki rosyjsko-niemieckie naprawiają się, samodzielność polityki polskiej pada. W chwili niemiecko-rosyjskiej jedności działania niepodległość Polski zamiera".

Przez wiele lat dla myślących Polaków największym postrachem była możliwość porozumienia niemiecko-rosyjskiego. Dlatego też dojście do wła-

eprasa.pl c414db9aa6

dzy Hitlera wywołało pewną ulgę: łudzono się, że narodowy socjalizm nigdy nie poda ręki bolszewizmowi.

Dziś, w świetle wydarzeń ostatnich sześciu lat, cała teza ta wymaga zasadniczej rewizji. Okazała się ona słuszna tylko w swojej negatywnej części: porozumienie niemiecko-rosyjskie jest oczywiście zabójcze dla Polski. Natomiast konflikt niemiecko-rosyjski nie stanowi jeszcze gwarancji wzmocnienia stanowiska Polski.

Tragizm naszej sytuacji wyraża się w tym, że podczas gdy porozumienie Rosji i Niemiec z 23 sierpnia 1939 oznaczało rozbiór Polski, wojna tych dwu państw prowadziła – bez względu na jej wynik – do zaboru Polski przez państwo zwycięskie. Różnica zaiste niewielka.

Tezę o „prawie rządzącym polityką polską" musimy więc poddać rewizji. Znaczenie polityczne Polski jest nie tyle funkcją stosunków między Niemcami a Rosją ile raczej siły tych państw. Znaczenie Polski rośnie, gdy Niemcy i Rosja są słabe, i to bez względu na to, czy współdziałają ze sobą czy też walczą ze sobą. Natomiast niepodległość Polski jest zagrożona, gdy któryś z tych sąsiadów staje się na tyle potężny, by móc wznowić tradycyjną politykę ekspansji i podbojów.

3. Czemu przypisać ten osobliwy fakt, że w położeniu swoim między Niemcami i Rosją Polska nie była w stanie wyzyskać ich rywalizacji? Dlaczego ani Niemcy, ani Rosja nie uważały państwa polskiego za pewnego rodzaju bufor, który by nie dopuszczał do ich zderzenia? Gdzie wytłumaczenie faktu, że nawet w obliczu groźby napaści niemieckiej Stalin wolał zniszczyć państwo polskie, które mogło być dlań puklerzem, wolał uzyskać wspólną granicę z Rzeszą i przybliżyć granicę niemiecką do terytorium rosyjskiego?

W stosunkach niemiecko-rosyjskich istnieje osobliwe wzajemne przyciąganie, dla którego trudno znaleźć analogię w stosunkach między jakimikolwiek innymi mocarstwami na świecie. Grają tu jakieś podświadome instynkty masowe, obopólna wiara, że – wszystko jedno czy przez porozumienie czy też przez walkę – dwa te narody muszą się zlać ze sobą, złączyć się i – władać światem. Mówi się, że zbrodniarza ciągnie na miejsce zbrodni. Można by bodaj twierdzić, że te dwa narody rozbójnicze ciążą ku sobie nawet wówczas, gdy dzieli je wszystko, nawet gdy wiedzą, że ich cele nawzajem się wykluczają. Wszystko jedno czy współpracują ze sobą, czy też przygotowują się do walki – zawsze dążą do bezpośredniego kontaktu.

Jakiekolwiek są w danej chwili ich stosunki, Polska przeszkadza i Niemcom, i Rosji. Jeżeli pragną – z tych czy innych względów – współpracować, przeszkadza im, rozdzielając ich terytoria. Jeśli jedno z nich czuje się na siłach, by poddać sobie drugie i urzeczywistniać siłą plan imperium od Renu (czy Atlantyku) po Władywostok, tak jak Hitler wczoraj, a Stalin dzisiaj – znowu Polska przeszkadza mu, stanowiąc zaporę, którą trzeba zniszczyć.

4. Niewątpliwie tendencje tworzenia niemiecko-rosyjskiej antyeuropejskiej wspólnoty datują sprzed Hitlera i Stalina, czy nawet sprzed rewolucyjnych snów lat 1918–1920. Przykładem choćby Dostojewskij, który w swym pamiętniku pisał w r. 1877: „Jedna rzecz jest jasna: Niemcy potrzebują nas jeszcze bardziej nawet niż przypuszczamy, i to nie dla sojuszu wojskowego, lecz dla wieczystego związku... Przeznaczeniem naszych dwu wielkich narodów jest zmienić oblicze całego świata. Nie jest to fantazja, ani wytwór ludzkiej ambicji: jest to bieg wypadków światowych". Jednakże do czasów rewolucji rosyjskiej były to abstrakcje filozoficzne, ale nie praktyczna polityka.

Komunistom natomiast chodziło o rzecz całkowicie konkretną – o połączenie się z Niemcami w jeden potężny blok komunistyczny, który będzie dyktował światu swą wolę. Jak pisze znakomity znawca polityki sowieckiej Dallin w swej ostatniej książce „The Big Three": „Historia powierzyła przywództwo w Rosji w okresie wojny i po wojnie partii i człowiekowi, których koncepcją od dziesiątków lat było połączenie się w związek z Niemcami, oczywiście z Niemcami przemienionymi. Od końca 1918 do 1934, a może nawet i później, największe nadzieje na rozszerzenie komunizmu na świat łączyły się z Niemcami... Niezwyciężony blok „od Akwizgranu do Władywostoku" był ulubioną ideą nie tylko Lenina lecz całej partii. Wojna z Polską w r. 1920 miała na celu nie tyle Warszawę, ile nawiązanie bezpośredniego kontaktu z Niemcami... Dojście Hitlera do władzy uważane było w Moskwie za epizod, który utoruje drogę do komunistycznych Niemiec. Stalin był najbardziej namiętnym rzecznikiem tych koncepcji".

W Niemczech powersalskich nie brakło również, także przed Hitlerem, entuzjastów tworzenia w ten czy inny sposób bloku niemiecko-rosyjskiego. Dość wskazać na Nikischa, którego teorie wywarły duży wpływ na Hitlera, a który głosił że „Niemcy to Azja. Od równin niemieckich po Władywostok ciągnie się rozległa, jednolita przestrzeń. Chłopi rosyjscy, pastuchy kirgizkie i gruzińskie wspólnie z Niemcami wyważą wrota z zawiasów". Hitler, atakując Rosję,

eprasa.pl c414db9aa6

miał przed oczami wizję imperium niemieckiego, graniczącego gdzieś za Uralem z Japonią.

5. Dlatego też rozbioru z r. 1939 nie można w żaden sposób porównywać do rozbiorów w. XVIII. Zarówno dla Katarzyny jak i dla Fryderyka rozbiory były celem samym w sobie. Chodziło o zagarnięcie ziem polskich i o nic więcej. Teraz zarówno dla Hitlera, jak dla Stalina rozbiór Polski był tylko koniecznym etapem do celu. Dla Hitlera był wstępem do podjętej w dwa lata później próby opanowania Rosji. Dla Stalina był usunięciem zapory, która w r. 1920 ocaliła Europę i świat, udaremniając połączenie się rewolucyjnych sił Rosji z rewolucyjnymi siłami Niemiec.

W ciągu pierwszych lat wojny program niemiecki Stalina był ukrywany. Wielu ludzi na Zachodzie – np. Walter Lippmann – łudziło się, że Stalin dojdzie do wniosku, iż tworzenie komunistycznych Niemiec jest niebezpieczne, gdyż komuniści niemieccy pozostaną Niemcami i będą dążyli do uzyskania przodującej roli w bloku niemiecko-rosyjskim. W świetle posunięć sowieckich w rosyjskiej strefie Niemiec można stwierdzić, że tego rodzaju obaw Moskwa nie żywi. Już jawnie tworzy się komunistyczne Niemcy.

Wskutek tego sytuacja Polski zmienia się radykalnie. Do r. 1939 byliśmy położeni pomiędzy Niemcami a Rosją. Dziś może to jeszcze tak wyglądać na mapie, ale w rzeczywistości politycznej nie jesteśmy już na peryferii obu tych państw, lecz wewnątrz wielkiego imperium euroazjatyckiego. Bez względu na to kto wygrywa – Hitler czy Stalin – sytuacja pozostaje ta sama, jesteśmy wprawdzie niezbyt daleko od jego granicy, ale jednak wewnątrz imperium od Renu (czy chwilowo Łaby) do Władywostoku.

Tym samym niepodległość Polski jest przekreślona. Trudno nie uznać trafności diagnozy F. A. Voigta: „Rosja jest zdecydowana, by Polska nigdy nie znalazła się ponownie między nią a jej zamierzeniami w Europie, by Polska nigdy już nie »zbawiła Europy«. Dlatego też Rosja nigdy nie pozwoli na najmniejszy ślad prawdziwej niepodległości Polski, ani też nigdy nie zezwoli na najlżejszy nawet wpływ mocarstw zachodnich na sprawy polskie. O ile sytuacja europejska nie ulegnie radykalnej zmianie, upadek Polski jest ostateczny".

6. Na tym tle nie trudno stwierdzić nierealność teorii, według której „Polska musi wybrać między Niemcami a Rosją". Jest to zdanie, które słyszeliśmy bez końca w czasie ostatnich lat wojny od naszych sojuszników brytyjskich i które powtarza dziś jeszcze sporo Polaków; nie tylko zdrajców z regime'u Osóbki i Bieruta, lecz i ludzi uczciwych. Ludzi, którzy widzą tylko mapę Polski wtłoczoną pomiędzy dwa różnie pomalowane kolosy i którzy w obliczu bankructwa koncepcji o zabezpieczeniu niepodległości Polski przez rywalizację rosyjsko-niemiecką, sądzą że wybór jest nieunikniony.

Tymczasem o żadnym wyborze nie ma mowy. Gdyby istniały dalej te dwa kolosy, można by – w teorii przynajmniej – dyskutować, czy mamy pójść z jednym przeciw drugiemu. Skoro jednak znaleźliśmy się wewnątrz jednego gigantycznego bloku, teoria o „pójściu razem z Rosją" oznacza jedynie dobrowolne pogodzenie się z rolą wewnętrznej cząstki imperium sowieckiego – pogodzenie się z utratą niepodległości.

7. Prawo rządzące polityką polską trzeba więc, niestety, ująć po prostu w formułkę następującą: Polska nie może być niepodległa, o ile jeden lub obaj jej sąsiedzi są w stanie budować imperium euroazjatyckie.

W jakim wypadku warunek ten będzie spełniony? Kiedy zarówno Rosja, jak Niemcy nie będą w stanie urzeczywistniać swego snu o bloku od Renu po Władywostok.

Wydaje się, że pełną gwarancję dawałoby jedynie rozbicie Niemiec i Rosji na kilka mniejszych państw, przy jednoczesnym sfederowaniu się państw międzymorza bałtycko-czarnomorskiego. Tylko wówczas tragiczna dysproporcja sił między Niemcami, Polską i Rosją, wyrażająca się w stosunku mniej więcej 70:30:180, uległaby radykalnej zmianie. Gdyby powstały dwa państwa niemieckie po 30–40 milionów każde (albo trzy mniejsze), gdyby na gruzach Z.S.R.R. powstało kilka lub kilkanaście państw narodowych i gdyby zarazem powstała jedna czy dwie federacje mniejszych państw Europy środkowowschodniej, nastąpiłoby pełne wyrównanie sił.

Wiemy dobrze, że Rosja tak samo nie pozwoli na federację jak na niezależność poszczególnych państw strefy środkowej, i dlatego na mocy nieubłaganego prawa, rządzącego polityką polską, musimy dojść do wniosku, że nie może być odbudowy niepodległości Polski bez rozpadnięcia się kolosa wschodniego, albo przynajmniej bez takich przeobrażeń wewnątrz Rosji, które by zmusiły ją do zejścia z jej obecnej drogi budowania imperium od Łaby czy jutro – od Renu lub nawet Atlantyku, po Władywostok. ■

_____

Przedruk za: „Wiadomości" (21.07.1946), Londyn, Rok 1, Nr 16.

eprasa.pl c414db9aa6

Marek Kalinowski

Kreator

Piotr Anderszewski powraca do muzyki Bacha, tym razem ze zbiorem preludiów i fug. Z „Das Wohltemperierte Klavier" układa jednak nową, odrębną opowieść, swobodnie dobierając utwory, zmieniając ich układ i nadając im własne znaczenie. To podróż za głosem serca, a nie chronologii.

To nie jest płyta, która powstała w kilka miesięcy, choć czas pandemii niewątpliwie pozwolił na dokończenie dzieła, które kwitło bardzo długo. Piotr Anderszewski do preludiów i fug Johanna Sebastiana Bacha przymierzał się bowiem od kilkunastu lat. Nie jest to również pierwsze spotkanie pianisty z muzyką Bacha. Już pierwsza płyta z 1996 roku z utworami Bacha, Beethovena i Webera zyskała ogromny rozgłos, wraz z nagrodą polskiego przemysłu fonograficznego, a album z 2014 roku z suitami angielskimi przyniósł mu zwycięstwo w Gramophone Classical Music Award. Najnowszy krążek jest jednak wyjątkowy, to próba zmierzenia się z arcydziełem genialnego kompozytora „Das Wohltemperierte Klavier"

Każdy, kto zetknął się z interpretacjami Anderszewskiego, wie, że pianista zanurza się w nowych projektach niemal całkowicie. Jest perfekcjonistą w każdym detalu, a jego interpretacje nasycone są ogromną porcją emocji. Tak było z muzyką Szymanowskiego, Chopina, Mozarta i Beethovena. W przypadku preludiów i fug Bacha – pianista idzie jednak krok dalej. Tu wydaje się być czymś więcej niż tylko odtwórcą, lecz w pewnym sensie także współkreatorem.

„Das Wohltemperierte Klavier" to dwutomowy zbiór 48 fug i tyleż samo preludiów ułożony w porządku chromatycznym, począwszy od C-dur, aż do h-moll. Wymagający opanowania doskonałej techniki, i wyobraźni, potrafi być zmorą uczniów szkół muzycznych. Również Anderszewski zetknął się z nim po raz pierwszy w trakcie nauki szkolnej i jak wspominał w wywiadach, raczej nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Aby nagrać utwory, musiało upłynąć wiele lat, w trakcie których szukał własnej drogi na odczytanie dzieła. Robi to w sposób całkowicie autorski – podążając za głosem serca, a nie chronologii.

Piotr Anderszewski, J.S. BACH WELL – TEMPERED CLAVIER, Warner Classics

Piotr Anderszewski zrezygnował bowiem z wydania całości preludiów i fug. Z 24 par zawartych w drugim zeszycie, wybrał tylko połowę. Na tym jednak nie koniec. Artysta nie uwzględnił również pierwotnego, chromatycznego ułożenia utworów, budując oddzielną, opartą na własnych emocjach historię. Jego wybór wydaje się zamkniętą opowieścią, własnym spojrzeniem na arcydzieło Bacha. Wykorzystał te elementy, które mu pasowały, a każdy z nich jest ważną częścią zarysowanej całości.

Po długiej pracy nad nowym repertuarem, przychodzi wreszcie czas na recitale i spotkania z publicznością. Kiedy jednak usłyszymy preludia i fugi na żywo? Kalendarz na stronie internetowej pianisty, jakby na przekór pandemii, wciąż wypełniają kolejne daty z rozrzuconymi po całym świecie miastami – Barcelona, Madryt, Berlin, a nawet Nowy Jork. To wszystko jednak tylko projekty, a większość z nich, z przyczyn oczywistych, jest odwoływana. Również 21 lutego miał się odbyć koncert w Filharmonii Narodowej w Warszawie i choć nawet, jakimś cudem, wydarzenie mieściło się w krótkim poluzowaniu obostrzeń, do recitalu ostatecznie nie doszło. Kolejny termin spotkania z warszawską publicznością przypada na 6 maja. Oby tym razem się udało. ■

eprasa.pl c414db9aa6

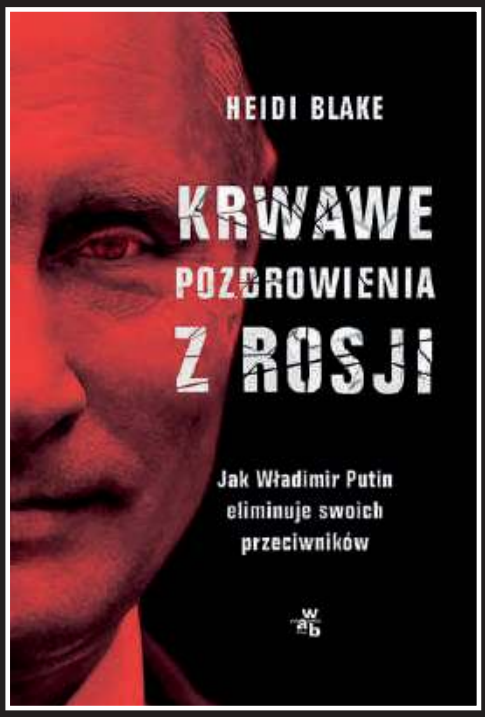

„Krwawe pozdrowienia z Rosji. Jak Władimir Putin eliminuje swoich przeciwników", Heidi Blake, W.A.B., Warszawa 2021

Krzysztof Wołodźko

LONDYN I MOSKWA. ZBRODNIE W TEATRZE CIENI

Jak to się stało, że w Londynie przez lata ginęli kolejni bogaci i wpływowi Rosjanie, a temat szybko znikał z zachodnich mediów? Heidi Blake, autorka „Krwawych pozdrowień z Rosji", odtwarza historię relacji rosyjsko-brytyjskich już po dojściu do władzy Putina. Okazało się ono niesłychanie opłacalne dla brytyjskiej elity władzy i pieniądza.

eprasa.pl c414db9aa6

Kremlowskie zbrodnie stanowią nie tylko polityczny fakt. Opowieść o nich już dawno weszła do światowej kultury. „Tajny agent" Josepha Conrada jest również historią cynizmu i przemocy obcego mocarstwa, które ideologiczne i społeczne napięcia w Anglii stara się wykorzystać do siania niepokojów, karania nieposłusznych i rozbudowy własnej agentury i sieci wpływów.

Literatura była jednak niczym wobec rzeczywistości. Jeden ze stałych motywów XIX-wiecznych dziejów stanowiła współpraca tajnych i jawnych policji zachodnich państw z rosyjskimi ambasadami – choćby przeciw polskim emigrantom, sprzeciwiającym się moskiewskiej opresji. Gry wywiadów, niejawne interesy silnych, robione kosztem słabych, politycy i biznesmeni uwikłani w rosyjskie sieci wpływów – szantażem, pieniędzmi, prestiżem – to wszystko było faktem jeszcze w XIX wieku, nim carska Rosja przepoczwarzyła się w Sowiety. A dziś, po kilku dekadach złudzeń o „końcu historii", państwo Putina coraz częściej, także na Zachodzie, wraca w podobnych opowieściach. Nie bez powodu – przynajmniej część zachodniej opinii publicznej, zdumiona diabelskim igrzyskiem, dostrzega słabość i hipokryzję własnych elit i rosyjską, jawną już nierzadko, przemoc w walce o wpływy w Europie i w Stanach Zjednoczonych.

▶ Geopolityczna, brudna gra

„Krwawe pozdrowienia z Rosji. Jak Władimir Putin eliminuje swoich przeciwników" Heidi Blake to reportaż, który czyta się jak najlepszy thriller z czasów zimnej wojny. Mógłbym tę recenzję oprzeć wyłącznie na spoilerach, a państwo i tak rzuciliby się na książkę. Rzecz jasna, losy Borisa Abramowicza Bieriezowskiego (znanego też jako Płaton Jelenin) i Aleksandra Walterowicza Litwinienki są powszechnie znane. Ale zbrodnie, dokonywane na zlecenie Kremla, choć wiele mają z powabów kina sensacyjnego, każą myśleć przede wszystkim o głębokich mechanizmach geopolitycznych, których skutki często poznajemy długo po latach. Każą też myśleć o strukturalnym egoizmie państw, takich jak Wielka Brytania, które zbyt długo wierzyły, że bilans interesów z Rosją jest dla nich korzystny – a dziś piszą alarmistyczne raporty o zagrożeniu dla bezpieczeństwa własnego państwa ze strony Moskwy.

Słowo o samej Blake – to szefowa działu międzynarodowych śledztw dziennikarskich w BuzzFeed-News, gdzie kieruje zespołem reporterów zajmujących się tematami po obu stronach Atlantyku. Raport jej ekipy śledczej, dotyczący zabójstw rosyjskich dysydentów w krajach Zachodu, w 2018 roku nominowany był do Nagrody Pulitzera. Wcześniej, jako redaktorka „The Sunday Times", zajmowała się korupcją w FIFA – jak dotąd nie przetłumaczono na polski jej książki poświęconej tym właśnie sprawom: „The Ugly Game: The Qatari Plot to Buy the World Cup".

Nie trupia bladość ofiar jest największym problemem w „Krwawych pozdrowieniach z Rosji". To, co naprawdę daje do myślenia w tej książce, to systemowa niemal skłonność zachodnich państw, by na krwawe porachunki Władimira Putina z jego wrogami, dokonywane na ich terytorium, patrzeć niemal przez palce. Tak jakby geopolityczne *status quo* między Zachodem a Wschodem opierało się na przekonaniu, że Rosja ma prawo rozgrywać Zachód, używać przemocy, szantaży i przekupstw – i to wszystko wliczone jest w koszta licznych ekonomicznych interesów choćby między Londynem a Moskwą. Tak jakby naprawdę trudno było wzbudzić gniew i opór zachodnich polityków wobec gier rosyjskiego wywiadu, korumpujących i niszczących publiczny porządek w ich krajach, wśród ich społeczeństw.

Główny, reportażowy wątek opowieści Blake dotyczy ostatnich dekad. Nazwiska takie jak Bieriezowski i Litwinienko nie przywołują jedynie ich własnych historii, wieńczonych datą i londyńskim miejscem śmierci. To równocześnie opowieść o tym, jak zmieniała się Rosja w latach 90. XX wieku, schorowana niemal śmiertelnie budowaniem komunizmu, jak zmieniała się w czasach jelcynowskiej smuty, którą choćby w Polsce liberalne elity pomyliły z demokratyzacją tego państwa. I wreszcie – jakimi metodami Władimir Władimirowicz Putin, niegdyś funkcjonariusz KGB, próbuje znów uczynić z niej imperium. Na marginesie: kto by chciał „na szybko" odświeżyć sobie pamięć o tych sprawach, koniecznie powinien obejrzeć film dokumentalny „Świadkowie Putina" Witalija Manskiego.

▶ Londyn odwraca wzrok

Jak to się stało, że w Londynie przez lata ginęli kolejni bogaci i wpływowi Rosjanie, a temat szybko znikał z zachodnich mediów? Heidi Blake odtwarza historię relacji rosyjsko-brytyjskich już po dojściu do władzy Putina. Okazało się ono niesłychanie opłacalne dla brytyjskiej elity władzy i pieniądza. Skoro w Moskwie nikt nie wierzył już ani łzom, ani niknącym w oczach wpływom oligarchów, pupilów Borysa Jelcyna, Wyspy wydawały się dla nich bezpieczną przystanią. A jednak Londyn nie dotrzymał cichej obietnicy danej rosyjskim oligarchom, „nowym dysydentom", którzy o wiele więcej mieli już wspólnego z mafią niźli z etosem Andrieja Sacharowa i Alek-

eprasa.pl c414db9aa6

sandra Sołżenicyna. A przynajmniej nie dotrzymał jej niektórym z nich – i zaczęli umierać. Sielski urok angielskich pejzaży, dyskretny wdzięk starych wiejskich posiadłości, które tak wychwalał Edmund Burke, magiczna tarcza niewyobrażalnego dla zwykłych śmiertelników luksusu okazały się ostatecznie kiepską ochroną przed zemstą Putina.

Przyda się dłuższy cytat z Blake: „Londyn okazał się idealnym schronieniem dla bajecznie bogatych Rosjan uciekających przed reżimem Putina. [...] Zanim ktokolwiek się zorientował, Rosjanie wpompowali w londyńskie banki i rynek nieruchomości miliardy funtów rocznie. Rządy Tony`ego Blaira, Gordona Browna i Davida Camerona były zainteresowane utrzymaniem nowego życiodajnego strumienia pieniędzy, zasilającego gospodarkę w czasach, gdy stopniowo rezygnowano z produkcji na rzecz rozbudowy sektora usług finansowych. Dlatego brytyjskie władze szczodrą ręką przyznawały azyl polityczny i wizy inwestorskie zjeżdżającym do Wielkiej Brytanii bogatym Rosjanom".

I dalej: „Nie mniej istotne było zachowanie dobrych stosunków z Putinem i nieutrudnianie życia brytyjskim koncernom energetycznym, które przymierzały się do ekspansji na rynek rosyjski. [...] Bierezowski i jego niepokorni towarzysze sądzili, że znaleźli w Anglii spokojną przystań. Liczyli na to, że azyl polityczny w Wielkiej Brytanii uchroni ich przed długą ręką Kremla. Mylili się. W następnych latach kilkunastu prawników, współpracowników, partnerów biznesowych i przyjaciół oligarchy rozstało się z życiem w dziwnych okolicznościach. Władze Wielkiej Brytanii umarzały kolejne śledztwa i kontynuowały politykę podlizywania się Putinowi".

Nie jest tak, że Anglicy zupełnie niczego nie chcieli widzieć i słyszeć. Problem w tym, że po dwutysięcznym roku nie tylko ich uwagę zwracał międzynarodowy terroryzm. Zachodnie społeczeństwa, nawet jeśli sarkały na coraz więcej nakazów i zakazów, równocześnie domagały się, by państwo chroniło przede wszystkim ich bezpieczeństwa na dworcach lotniczych, w drodze na egzotyczne wczasy. W dodatku nie było jasne, czy rosyjscy nuworysze giną na życzenie rosyjskiej mafii, czy też na życzenie Kremla – różnica nie zawsze musiała być oczywista. A rozpracowywanie metod rosyjskich służb było czasochłonne – narkotyki, alkohol i trucizny, wymuszone samobójstwa, upozorowane wypadki – to nie są zbyt gadatliwi świadkowie politycznie zleconych egzekucji.

▶ „From Russia with Blood"

Z czasem jednak krwawe kropki zaczęły łączyć się w całość. Zdaniem Heidi Blake to amerykańskie służby, czyli CIA, zwróciły uwagę Secret Intelligence Service (MI6) na to, że „rosyjscy uchodźcy w Wielkiej Brytanii zbyt często umierali przedwcześnie, by można to było tłumaczyć przyczynami naturalnymi". Amerykanie uznali, że Rosja zbyt się już rozzuchwaliła, jeśli chodzi o załatwianie „własnych spraw" na Zachodzie. Angielscy politycy zaczęli prowadzić grę na zaprzeczenie – mieli coraz lepszą świadomość rzeczywistego stanu rzeczy, lecz wciąż udawali, że z Rosją łączą ich tylko najlepsze, czyste jak łza interesy.

Jeszcze kilka lat po otruciu (w 2006 roku) Aleksandra Litwinienki, skłóconego z Putinem byłego podpułkownika KGB/FSB, brytyjskie władze „powołując się na priorytetową konieczność »ochrony relacji z zagranicą«, zablokowały zabiegi Mariny Litwinienko o wszczęcie publicznego dochodzenia w sprawie śmierci jej męża". Na tym nie koniec: „gdy kolejni adwersarze Kremla rozstawali się z życiem na brytyjskiej ziemi, rząd systematycznie wyłączał część materiału dowodowego z przesłuchania przed koronerem, tłumacząc się »względami bezpieczeństwa państwa«". Kłopot w tym, że w grę nie wchodzili już tylko Rosjanie, nieszczęśliwie dla siebie osobiście skonfliktowani z Władimirem Putinem, lecz także angielscy agenci, tacy jak Gareth Williams, wysokiej klasy specjalista od szyfrów z brytyjskiej Centrali Łączności Rządowej. Williams w ramach legalnej współpracy z Amerykanami badał systemy przepływów finansowych, służących powiązanym z Kremlem organizacjom przestępczym do transferowania nielegalnych zysków: „według amerykańskich źródeł i stanowisk nasłuchowych [jego] zabójstwo było kolejną akcją rosyjskich służb na terenie Wielkiej Brytanii".

Angielski tytuł „Krwawych pozdrowień z Rosji", czyli „From Russia with Blood", najczytelniej nawiązuje do kultowych filmów o tajnym agencie Jej Królewskiej Mości, Jamesie Bondzie [jeden z filmów nosi tytuł „From Russia with Love" – przyp. red.]. Ale większość zbieżności kończy się na tym skojarzeniu – angielscy agenci zbyt często są słabi i przegrani, a państwo, którego bronią, bardziej dba o swoje interesy z Putinem niźli o ich losy. Łatwo spostrzec, że angielscy politycy, na czele ze wspomnianymi już premierami Blairem, Brownem i Cameronem, nie są zbyt dobrze wspominani przez Blake. Każde umorzone nad Tamizą śledztwo w sprawie rosyjskich przestępstw na Wyspach prowadzi na wysokie szczeble angielskiej władzy. Niemal każda afera kończy się w podobny sposób – ocieplaniem wizerunków na samym szczycie angielsko-rosyjskich relacji. Trudno jednak wyczuć moment, w którym zimna kalkulacja dotycząca korzyści z ekonomiczno-politycznych interesów zamienia się w oznakę skorumpowania i słabości.

eprasa.pl c414db9aa6

Dolary, fekalia i paliwo

Jedna z ciekawszych historii opisanych przez Blake dotyczy przekrętów, za którymi stał rosyjski multimilioner Aleksander Pieriepieliczny, który zginął jesienią 2012 roku, pozornie bezpieczny w oazie dla naprawdę bogatych, czyli St. George's Hill w hrabstwie Surrey. Jeszcze w Rosji Pieriepieliczny wraz z gangiem Dmitrija Kłujewa zajmował się praniem brudnych pieniędzy wysoko postawionych państwowych urzędników. Gangsterzy przejmowali prywatne firmy, następnie z pomocą skorumpowanej administracji wykazywali potężne straty i zarabiali krocie na rzekomo nadpłaconych podatkach. Pieriepieliczny zajmował się transferem pieniędzy do zagranicznych spółek – mowa o nawet 800 milionach dolarów.

dzenia śledztwa – 30 milionów funtów z wyłudzonego zwrotu podatków zasiliło londyńskie City. Próby wyjaśnienia sprawy miały zostać storpedowane na polecenie wysokiego urzędnika brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Całą historię smakowicie podsumowuje Heidi Blake: „brytyjski rząd nie chciał się wikłać w awanturę z Moskwą z powodu zdefraudowanych pieniędzy rosyjskich podatników, poza tym odcięcie dopływu rosyjskich środków do osłabionej recesją gospodarki nie leżało bynajmniej w jego interesie. Kiedy wiosną 2012 roku po sfałszowanych, jak mówiono, wyborach, Władimir Putin wrócił na Kreml, premier Zjednoczonego Królestwa natychmiast rozpoczął kampanię pochlebstw. Latem David Cameron zaprosił nowo-starego prezydenta Federacji Rosyjskiej do Londynu, gdzie razem obejrzeli walki judoków na olimpiadzie. Kilka

JESZCZE KILKA LAT PO OTRUCIU ALEKSANDRA LITWINIENKI, SKŁÓCONEGO Z PUTINEM BYŁEGO PODPUŁKOWNIKA KGB/FSB, BRYTYJSKIE WŁADZE „POWOŁUJĄC SIĘ NA PRIORYTETOWĄ KONIECZNOŚĆ »OCHRONY RELACJI Z ZAGRANICĄ«, ZABLOKOWAŁY ZABIEGI MARINY LITWINIENKO O WSZCZĘCIE PUBLICZNEGO DOCHODZENIA W SPRAWIE ŚMIERCI JEJ MĘŻA".

Sprawa wyszła na jaw po audycie zleconym przez jeden z zachodnich funduszy hedgingowych. W takich sprawach niewidzialna ręka rynku miewa doskonałe wyczucie: fundusz spostrzegł, że należące do niego rosyjskie spółki nagle zaczęły przynosić gigantyczne straty. Na jego zlecenie Siergiej Magnicki, rosyjski prawnik i specjalista od podatków, szybko doszedł, w czym rzecz. I zgłosił przestępstwo rosyjskim władzom. Nie skończyło się to dla niego dobrze – zarzucono mu oszustwo i zamknięto w więzieniu. Nie zmienił zeznań mimo tortur: niemal rok „trzymano go w ciemnej, zalanej fekaliami celi, pozbawiając jedzenia, wody, snu, dostępu do toalety – a także pomocy medycznej. W listopadzie 2009 roku, po 358 dniach skrajnie złego traktowania, Magnicki zmarł w więzieniu".

Pieriepieliczny poczuł, że staje nad przepaścią, ale kupił sobie na kilka lat spokój. Zdradził swoich dotychczasowych współpracowników i mocodawców i ujawnił na Zachodzie informacje na temat systemu fikcyjnych funduszy, przez który – jak podawał – płynęły także nielegalne dochody Kremla. Środki gromadzone w ten sposób miały służyć chociażby budowie arsenału broni chemicznej przez reżim Baszara al-Asada w Syrii. Kilkanaście państw zachodnich, w tym USA i Szwajcaria, wzięły na poważnie informacje „skruszonego" multimilionera. Ale Wielka Brytania odmówiła przeprowa-

miesięcy później British Petroleum połączyło się z rosyjskim państwowym gigantem naftowym Rosnieft w największy na świecie koncern paliwowy".

Ale historia Pieriepielicznego nie kończy się wraz z jego śmiercią. Ta opowieść, jak i inne, zawarte w książce Blake, przypomina teatrzyk cieni – co rusz któryś cień ginie, a my dzięki sztuce retrospekcji dowiadujemy się, dlaczego i kto mógł za tym stać. Nie trzeba większej wyobraźni, by zrozumieć, dla jakich przyczyn Londyn przez długie lata po upadku żelaznej kurtyny mógł grać w tak dwuznaczną grę z Rosją. Nie chodzi jedynie o pieniądze, chyba także o przekonanie, że Zachód potrafi grać z Moskwą tylko na własnych zasadach. Ale to nieprawda. Właściwie tylko między wierszami dowiadujemy się, dlaczego – już w czasach rządów premier Theresy May – brytyjskie władze przynajmniej oficjalnie postanowiły zaostrzyć kurs wobec Rosji i mocniej reagować na takie wydarzenia, jak zamach na Skripalów.

„Krwawe pozdrowienia z Rosji" nie pozostawiają złudzeń – w geopolityce znakomite interesy z nieobliczalnym partnerem najprawdopodobniej zawsze wiążą się z niemałymi stratami. Czy nie jest to, patrząc szerzej, stary problem Zachodu w relacjach z Moskwą? ■

eprasa.pl c414db9aa6

Olga Doleśniak-Harczuk

Antoni Opaliński (PR24)

Wina bez ceny. Jak Bundestag debatował o reparacjach dla Greków

25 marca 2021 roku deputowani do Bundestagu debatowali nad wnioskami klubu parlamentarnego Zielonych oraz Lewicy (Die Linke) złożonymi w związku z przypadającą 6 kwietnia 80. rocznicą napaści III Rzeszy na Grecję. Zieloni akcentowali potrzebę uznania przez Niemcy winy za zbrodnie popełnione w Grecji i przywrócenie pamięci o nich społeczeństwu niemieckiemu. Lewica zaś wprost wezwała rząd federalny do uznania greckich żądań reparacyjnych. I zrobiła się awantura. Posłowie AfD zostali nazwani „następcami nazistów" po tym, jak przypomnieli – w obecności zasiadającej tego dnia na sali plenarnej Bundestagu pani ambasador Grecji w Niemczech – jak w 2012 roku Ateny witały Angelę Merkel transparentami ze swastyką. Oba wnioski oczywiście odrzucono. Ale awantura była ciekawa.

FOT. NAC (4)

eprasa.pl c414db9aa6

eprasa.pl c414db9aa6

Zanim przejdziemy do awantury w niemieckim parlamencie, kilka spraw. Po pierwsze, abstrahując od faktycznych intencji niemieckiej opozycji, zdaniem ekspertów obie inicjatywy, mimo iż zainicjowane przez reprezentantów partii spoza koalicji rządzącej, mogą otwierać okno dla kolejnych tego typu. Co w kontekście polskim warto odnotować. Jak podkreślał jeszcze przed debatą w rozmowie z „Gazetą Polską Codziennie" historyk Karl Heinz Roth, w Polsce znany głównie jako współautor wydanej również u nas świetnie udokumentowanej książki o długu reparacyjnym Niemiec wobec Polski i Grecji, sam fakt złożenia wniosków dotyczących niemieckiej winy za zbrodnie wojenne otwiera pewien nowy rozdział – 25 marca wnosi do debaty o reparacjach coś nowego. Już sam wniosek klubu parlamentarnego Die Linke jest interesujący, ale jeszcze ciekawsza jest wzmożona aktywność Zielonych, którzy zaczynają działać pod wpływem inicjatywy „Respekt für Griechenland" (stowarzyszenie działające w Niemczech od 2016 roku na rzecz Grecji). Zważywszy na fakt, że Zieloni prawdopodobnie na jesieni staną się w Niemczech partią rządzącą, podjęte przez nich kroki mają swoją wagę – stwierdził Karl Heinz Roth.

Grecja na początek

Zarówno Zieloni, jak i Die Linke od lat, nie tylko w tej kadencji Bundestagu, wielokrotnie napominali rząd w Berlinie do zmierzenia się z kwestią winy Niemiec za zbrodnie wojenne popełnione w Grecji. Na stronie internetowej Bundestagu wniosek klubu parlamentarnego Zielonych opublikowano dopiero w dzień debaty, ale ten złożony przez Die Linke można było przeczytać w pełnej wersji już półtora tygodnia przed planowaną dyskusją. Chodzi o dokument z 4 listopada 2019 roku (nr druku: 19/14725) zatytułowany: „Uznać żądania reparacyjne Grecji". We wstępie do wniosku czytamy: „Bezprecedensowe zbrodnie nazistowskich Niemiec zobowiązują Republikę Federalną Niemiec jako prawną kontynuatorkę Rzeszy Niemieckiej do zadośćuczynienia ofiarom, nie tylko moralnie. W trakcie okupacji nazistowskiej na skutek masowych morderstw i głodu śmierć poniosło około 10 proc. społeczeństwa Grecji".

Wnioskodawcy argumentowali, że Republika Federalna Niemiec do dzisiaj nie odpowiedziała w sposób zadowalający na roszczenia Grecji związane ze stratami poniesionymi przez ten kraj w wymiarze ludzkim oraz systematycznego niszczenia przez niemieckiego okupanta infrastruktury, mienia rzeczowego i państwowego. W punkcie II wniosku posłowie Die Linke wzywali rząd federalny do zakomunikowania rządowi w Atenach, iż prawnie uznaje prawo do reparacji dla Grecji za zbrodnie i zniszczenia wojenne dokonane w tym państwie przez reżim nazistowski. Wnioskodawca żądał otwarcia negocjacji między rządami Niemiec i Grecji w celu wypracowania porozumienia regulującego sposób, zasięg i warunki wypłacania reparacji za straty wojenne. Żądał też zastosowania się państwa niemieckiego do wyroków sądów greckich i włoskich w sprawie przyznania odszkodowań ofiarom indywidualnym. Rząd federalny miałby ponadto zobowiązać się do informowania Bundestagu o postępach w negocjacji w odstępach nie dłuższych niż pół roku. 25 marca, zgodnie z tradycją niemieckiego Bundestagu i z prognozami ekspertów, oba wnioski dotyczące Grecji zostały odrzucone większością głosów.

Natomiast sam fakt włączenia kwestii związanych z Grecją i strat poniesionych przez to państwo w II wojnie światowej otwiera w opinii znawców tematu pole do kolejnych inicjatyw tego typu. Również dla Polski. O ile naturalnie zechce skorzystać z tej okazji. Profesor Karl Heinz Roth, podkreślając wagę wniosku złożonego przez Zielonych (tam nie ma rewolucyjnych pomysłów, Zieloni nie podzielają reparacyjnego zapału Die Linke), ma pełną rację. To ta partia rośnie w siłę, podczas gdy uwikłana w skandale korupcyjne chadecja traci poparcie społeczne. Według ostatnich sondaży wyborczych (z 24 marca; przed oddaniem do druku tego numeru miesięcznika) dla RTL/ntv Trendbarometer, Zieloni odnotowują poparcie na poziomie 22 proc., plasując się tylko cztery punkty procentowe niżej od CDU/CSU. CDU tak złych wyników sondażowych nie pamięta od czasu afery z czarnymi kasami Helmuta Kohla w lutym 2000 roku. Jeżeli przez najbliższe miesiące CDU nie podniesie się z tego kryzysu wizerunkowego, Zieloni mogą spokojnie współrządzić Niemcami, a może nawet wystawić kanclerza. Wiele zależy od powodzenia kampanii szczepień, rozwoju sytuacji pandemicznej i wszystkiego, co się z nią łączy. Zieloni nie ponoszą odpowiedzialności za politykę koronakryzysową, mają wszelkie szanse, by jako partia nieobciążona koniecznością podejmowania zazwyczaj niepopularnych decyzji, najwięcej ze wszystkich skorzystać na statusie outsidera.

O co naprawdę zabiegają Zieloni?

Manuel Sarrazin jest jednym z najważniejszych polityków Zielonych młodego pokolenia. Jeżeli po 26 września 2021 roku Zieloni wejdą do rządu, jeszcze o nim usłyszymy. Jako przewodniczący polsko-niemieckiej grupy parlamentarnej Sarrazin od lat angażuje się w dialog ze stroną polską. Jest zawsze tam, gdzie dzieją się sprawy istotne z punktu widzenia relacji polsko-niemieckich. Jego zaangażowanie w kwestie związane z re-

eprasa.pl c414db9aa6

paracjami i z uznaniem winy Niemiec za zbrodnie wojenne nie narodziło się wczoraj. To ten polityk w czerwcu 2020 roku opracował szereg propozycji, które strona niemiecka mogłaby złożyć Polsce w zastępstwie reparacji. Jego inicjatywa z jednej strony wpisywała się w obowiązującą w Berlinie narrację o „zamknięciu tematu", z drugiej przynajmniej dała impuls do podjęcia jakichkolwiek rozmów. Osobną kwestią pozostaje, jak ten gest został odebrany w Warszawie i czy propozycje Sarrazina spotkały się w Polsce z zainteresowaniem polityków. Z perspektywy dziennikarskiej było to ciekawe. Niepozbawione grzechu pierworodnego niemieckiego podejścia do reparacji, czyli odmawiania im wszelkich podstaw prawnych, lecz przynajmniej odkrywające karty niemieckiego planu „B". Propozycja Sarrazina ma w sobie zalążek nagrody pocieszenia. I ten sam mechanizm dotyczy Grecji.

Podczas debaty 25 marca w Bundestagu Manuel Sarrazin wystąpił jako pierwszy. To on jest twarzą wniosku złożonego w sprawie Grecji. Poproszony przez nas o wyjaśnienie, czego Zieloni oczekują od rządu federalnego w odniesieniu do Grecji, odpowiada: „My, Zieloni, zdajemy sobie sprawę, że kwestia reparacji i odszkodowań w przypadku Grecji nigdy nie została rozwiązana. Uznanie tego nie jest jednak równoznaczne z uznaniem greckich stanowisk i żądań. Nie chodzi nam o wypłatę reparacji międzyrządowych. Odpowiedzialność historyczna, moralna i polityczna powinna być raczej wykorzystywana do szukania wspólnych odpowiedzi na nierozstrzygnięte pytania. Dlatego wzywamy rząd federalny do rozpoczęcia nowej inicjatywy politycznej w zakresie polityki pamięci z konkretnymi propozycjami, w tym nowym podejściem do żądania spłaty Grecji w odniesieniu do tzw. przymusowej pożyczki*, odszkodowania dla ofiar nazistów, które do tej pory nie otrzymały odszkodowania lub [ich krzywdy – przyp. red.] nie zostały w wystarczającym zakresie zrekompensowane; restytucji na rzecz społeczności żydowskich w Grecji; dla przyszłych inwestycji w wioskach i miastach, które zostały zniszczone, ale nigdy nie zrekompensowane" – napisał Manuel Sarrazin w dzień debaty.

Na pytania dotyczący Polski i reparacji za straty wojenne poniesione przez nasze państwo, deputowany Zielonych wyjaśnia: „W debacie reparacyjnej dotyczącej Polski, w przeciwieństwie do innych partnerów, istnieje podstawowy problem: Polska jednoznacznie i prawnie zrzekła się reparacji międzypaństwowych. Jakkolwiek jednak wina moralna z perspektywy wydarzeń wojennych na terenie Polski jest przytłaczająca i nie jest traktowana w naszych stosunkach bilateralnych z należytą wagą. Zaplanowane utworzenie [w Berlinie – przyp. red.] miejsca pamięci Polskich Ofiar niemieckiej okupacji może tu stanowić pewien początek. Rząd Niemiec powinien przedstawić swoje propozycje na to, w jaki sposób moralnie i finansowo podejść do kwestii niemieckiej winy względem Polski, ale bez jej sprowadzania z niemieckiego punktu widzenia do oficjalnych negocjacji na poziomie rządowym o wypłaty reparacyjne".

Postawa Manuela Sarrazina w kwestii reparacji jest pozbawiona dotychczasowej toporności tak charakterystycznej dla czołowych polityków niemieckich bez mrugnięcia okiem komunikującym Polakom „sprawa zamknięta"

Wspólny front

Trzeba sobie jednak jasno powiedzieć: żadna partia niemiecka z szansą czy choćby mglistą nadzieją na przejęcie rządów w Berlinie nie przychyli się do ewentualnych postawionych jasno żądań reparacyjnych. Posłów Die Linke stać na radykalizm. Przy tak niskim poparciu społecznym mogą składać wnioski o reparacje. Zresztą podczas debaty w Bundestagu, która przecież dotyczyła ewentualnego zadośćuczynienia Grecji, posłanka Die Linke, Heike Hänsel, wezwała rząd federalny do podjęcia negocjacji w sprawie reparacji z Grecją, Włochami i Polską. Inni posłowie szerokim łukiem omijali nawiązania do Polski. Musieli jednocześnie zdawać sobie sprawę z faktu, że ich wypowiedzi są w Warszawie – a przynajmniej powinny być – obserwowane. Zapytania prasowe „Gazety Polskiej Codziennie" i „Nowego Państwa" powędrowały na długo przed debatą do wszystkich klubów parlamentarnych w Bundestagu. Brak odpowiedzi ze strony CDU czy CSU i SPD jeszcze można zrozumieć, ale zero reakcji z Alternatywy dla Niemiec? Już kilka lat temu podczas wywiadu z Jörgiem Meuthenem, który przyjechał do Warszawy jako początkujący lider AfD, stało się jasne, że nawet jeżeli pewne partie niemieckie mogą się na siebie boczyć i zarzucać sobie najgorsze przewiny na podwórku krajowym, na tym zagranicznym trzymają wspólny front. Zapytany tych kilka lat temu o stosunek AfD do reparacji dla Polski lider Alternatywy przyznał, że są im przeciwni. Uwaga z naszej strony, że

* W 1942 roku Niemcy zmusili Narodowy Bank Grecji do wzięcia kredytu w wysokości 476 mln marek niemieckich w niemieckim Reichsbanku. Kredyt miał zostać spłacony po zakończeniu wojny. Tuż po wojnie Grecja domagała się od Niemiec prawie 14 mld dolarów odszkodowania. Sumy tej jednak nie otrzymała, a zamiast pieniędzy nadeszły z Niemiec towary i sprzęt o dużo niższej wartości – około 25 mln marek.

eprasa.pl c414db9aa6

w takim razie nie różnią się od CDU tak bardzo, jak deklarują, została przyjęta z pewnym zafrasowaniem. Wracając do marcowej debaty – posłowie Zielonych, SPD, CDU, FDP, Die Linke bili się w piersi za niemieckie zbrodnie na Grekach. Jedna z chadeckich posłanek nawet wyraziła ubolewanie, że ze względu na pandemię na sali plenarnej nie ma wycieczek szkolnych, „a młodzież niemiecka zna greckie plaże, ale nie wie nic o zbrodniach nazistów w Grecji". Nie przeszkodziło jej to jednak zignorować kwestii finansowego zadośćuczynienia. Inny poseł CDU wprost powiedział, że nie ma mowy o żadnych reparacjach, jest wsparcie dla projektów edukacyjno-kulturalnych, dla przyjaźni grecko-niemieckiej, więc niech na tym państwo niemieckie pozostanie, nie obciążając relacji Berlina i Aten. Taka była to debata.

Grecja, Polska – możemy coś ugrać?

„Grecka debata" w Bundestagu zrodziła pytania o kwestię reparacji dla Polski. Sprawę skomentował w rozmowie z „Codzienną" prof. Bogdan Musiał, historyk specjalizujący się w XX-wiecznych dziejach Niemiec. Zdaniem prof. Musiała sprawy reparacji dla Grecji i Polski są ze sobą powiązane. – Moim zdaniem polskie żądania są jednak lepiej prawnie i międzynarodowo umocowane niż greckie. Grecja była po wojnie krajem suwerennym i mogła się starać o reparacje. Oczywiście Niemcy zrobili wszystko, żeby tych reparacji nie uzyskano. Polska nie miała takich możliwości do upadku komunizmu, ponieważ Związek Sowiecki trzymał na tym rękę i blokował. To była kwestia postawy Moskwy i wobec reparacji, i wobec Polski. Praktycznie dopiero po roku 1990 można było z polskiej strony jakoś zająć się tymi reparacjami. Przypadek grecki ma dla Polski ogromne znaczenie, ponieważ nagle dochodzi w Bundestagu do debaty na temat reparacji wojennych wobec innego państwa. Oczywiście nie wierzę, żeby to przeszło, zapewne zostanie odrzucone przez CDU i SPD, ale istotny jest sam fakt debaty. Wcześniej czy później podobnie stanie się z polskimi reparacjami, tylko polski rząd musi się „sprężyć", coś w końcu przedstawić i postawić żądania – komentował prof. Musiał.

Na pytanie, dlaczego wobec „lepszych kart" w sprawie dochodzenia do ewentualnych reparacji Polska jest w tyle za Grecją, prof. Musiał stwierdził: – To ma z jednej strony związek z wewnętrzną polityką w Polsce. Jest w Polsce lobby, które bardzo mocno oponuje przeciwko takim żądaniom. Z drugiej strony paradoksalnie Polska, która jest większym krajem, była w znacznie większym stopniu uzależniona od Niemiec niż Grecja. Po 1990 roku to uzależnienie, nazwałbym je patriarchalnym, było bardzo mocne, dopiero teraz następuje stopniowa emancypacja. Jesteśmy w decydującym momencie. Nie chodzi tylko o uzależnienie polityczne czy ekonomiczne, lecz także emocjonalne. Nie chciałbym rzucać nazwiskami, ale weźmy przykład Donalda Tuska. On jest chyba do tego stopnia emocjonalnie uzależniony, że jest bardziej rzecznikiem interesów niemieckich w Polsce niż polskich w Polsce i w Niemczech. To brzmi zapewne polemicznie, ale takie grupy ludzi w Polsce mamy. Polska musi się z tych kompleksów wyzwolić, to dopiero stworzy fundament i siłę, żeby postawić żądania i dyskutować o nich. Myślę, że w polskiej sprawie Zieloni albo na razie się wstrzymują od głosu, albo mają podobne stanowisko jak to dotyczące Grecji. Tylko, powtarzam, jak na razie polskie żądania nie są opracowane i przedstawione w sposób systematyczny, jak to zrobili Grecy. My jesteśmy na etapie emancypacji emocjonalnej, ekonomicznej i politycznej. Czy to się uda, to już odrębny problem – podsumował nasz rozmówca.

Profesor Karl Heinz Roth zapytany o możliwość ożywienia na fali debaty o Grecji w Niemczech również debaty dotyczącej reparacji dla Polski, stwierdził, że wciąż czeka na raport Sejmowej Komisji. – Jeżeli Polska w najbliższym czasie nie dołączy do inicjatywy greckiej i oficjalnie nie wezwie Berlina do negocjacji, dyskusje dotyczące niemieckich reparacji wciąż pozostaną ograniczone do Grecji. Nad czym ubolewam również jako współautor książki specjalnie opracowanej pod kątem polskich roszczeń i wydanej w ubiegłym roku przez Instytut Zachodni. Odnoszę wrażenie, że moja publikacja nie wniosła nic z perspektywy polityczno-historycznej. Jednocześnie żywię nadzieję, że debata w Bundestagu z 25 marca otworzy jakiś nowy rozdział w samej kwestii reparacji – powiedział Karl Heinz Roth. O komentarz poprosiliśmy przed debatą również posła Arkadiusza Mularczyka (PiS), przewodniczącego Zespołu ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w trakcie II Wojny Światowej. W krótkiej rozmowie telefonicznej pan poseł w odpowiedzi na pytanie, czy Polska śledzi greckie zabiegi o reparacje, powiedział, że jest „świadomy, że takie się odbywają". W sprawie terminu publikacji raportu polskich strat w II wojnie światowej Arkadiusz Mularczyk stwierdził, że „na razie nie jest w stanie podać żadnego terminu".

O co walczą Grecy? Korzenie, metody i szanse

W książce dotyczącej sprawy reparacji prof. Karl Heinz Roth relacjonuje przebieg greckich zabiegów o reparacje ze strony Niemiec w ostatnich latach. Podkreśla, że mimo oczywistych różnic pomiędzy obozem rządzącym w Polsce od 2015 roku a grecką lewicą, obie siły łączyła „krytyka wobec bezwzględności europejskiego hegemona". Oczywiście Grecja była krajem o zniszczonych finansach, zależnym od wierzycieli. Ta sytuacja wpływała

eprasa.pl c414db9aa6

na greckie dążenia do uzyskania jakiejś formy reparacji – bo zdaniem niemieckiego uczonego rząd w Berlinie nieraz zakulisowo starał się powstrzymywać greckie zabiegi podczas negocjacji w sprawach greckiego długu.

Sprawa reparacji powróciła na agendę greckiej polityki w 2012 roku. To wtedy pod naciskiem środowisk „ocalonych" i potomków ofiar niemieckich zbrodni pojawiły się zbiorowe roszczenia. Eksperci Państwowego Trybunału Obrachunkowego opracowali raport, który został przedstawiony rządowi. Niezałatwione roszczenia reparacyjne i odszkodowawcze zostały wycenione na kwotę pomiędzy 332,8 mld a 269,5 mld euro.

Intensyfikacja zabiegów w tej materii wzrosła po powstaniu lewicowego rządu w pierwszych miesiącach 2015 roku. W rezolucji greckiego rządu kwestię odszkodowań połączono ze sprawą długu niemieckich kolei wobec gminy żydowskiej w Salonikach. Chodziło o „opłaty", jakie Niemcy pobierali z konfiskowanych majątków greckich Żydów, którzy w ten sposób mieli „płacić" za transport do obozów koncentracyjnych. Sprawa roszczeń greckich Żydów jest ważna, bo świetnie pokazuje taktykę państwa niemieckiego wobec kwestii reparacji. Niemcy zrobili wiele, aby rozbić sojusz greckich ocalonych, gminy żydowskiej i niemieckich zwolenników odszkodowań. Chodziło o to, żeby sprawę roszczeń gminy z Salonik załatwić oddzielnie, a przy przekazywaniu pieniędzy ze strony państwa niemieckiego podkreślać, że stanowią dobrowolny element „pokuty" i „pojednania", a nie odszkodowanie za udział w zbrodniczej polityce nazistowskiego państwa konkretnych niemieckich przedsiębiorstw.

Greckie zabiegi o reparacje z 2015 roku zostały powstrzymane w drugiej połowie roku, niewątpliwie w związku z negocjacjami greckiego rządu z wierzycielami. Tacy politycy jak premier Tsipras czy popularny w kręgach międzynarodowej lewicy minister finansów Varoufakis nie chcieli dodatkowo drażnić dominujących w „trojce" Niemców. Nie znaczy to, że sprawa zniknęła... nastąpiło tylko przesunięcie akcentów ze strony niemieckiej elity. Fundacje, stypendia dla młodzieży, granty i praca dla spauperyzowanych przez kryzys greckich historyków, wspólne przedsięwzięcia w ramach „kultury pamięci". Wszystko, byle nie zasądzone odszkodowania. Niemiecki historyk z godną uznania uczciwością intelektualną pokazuje, jak te wszystkie pozornie „europejskie" rozwiązania były w istocie bezwzględną walką niemieckich polityków o zabezpieczenie finansowych interesów niemieckiej gospodarki. Niemcy chętnie zapłacą za „pojednanie". Byle nie musiały spłacać konkretnych długów obliczonych przez kogoś innego. Warta uwagi jest ocena ze strony Rotha stypendiów dla młodych mieszkańców zniszczonych przez niemieckiego okupanta greckich miejscowości. Za tym przedsięwzięciem kryła się chęć rozbicia solidarności wśród greckich „ocalonych" i ich potomków. Całej tej rozłożonej operacji „zneutralizowania" Greków towarzyszyło podkreślanie przez niemieckich polityków najwyższego szczebla, że z punktu widzenia Niemiec sprawa odszkodowań jest „prawnie i politycznie zamknięta".

Jednak z punktu widzenia Greków nie jest. W kwietniu 2019 roku grecki parlament ogromną większością głosów powrócił do sprawy niemieckich długów reparacyjnych z obu wojen światowych. Na początku czerwca grecki ambasador złożył w niemieckim MSZ stosowną notę. Jak pisze profesor Roth: „minął czas zastępczych rozwiązań należących do kultury pamięci".

Sprawa reparacji nie jest załatwiona

Profesor dr Christoph U. Schminck-Gustavus, emerytowany historyk prawa Uniwersytetu w Bremie, zajmuje się Grecją i zbrodniami Wehrmachtu w tym kraju od lat 80. Jest autorem licznych publikacji na ten temat, jeździł po greckich miasteczkach i wsiach, nagrywał relacje świadków, którzy na własne oczy widzieli ogrom wojennego zniszczenia. Te relacje pogłębione o pracę w miejscowych archiwach ukazały się w postaci kilku publikacji, na podstawie dwóch z nich nakręcono nawet dokument i film fabularny. Niemiecki historyk pytany o debatę w Bundestagu i o to, czy zgadza się z oficjalną narracją państwa niemieckiego, że sprawa reparacji została zamknięta, odpowiedział: – Nie uważam roszczeń reparacyjnych Polski i Grecji za „zamknięte". Tym niemniej nadzieja na to, że po tak wielu latach w tej kwestii można jeszcze coś ruszyć, jest moim zdaniem wątła.

Profesor Schminck-Gustavus podkreślił jednocześnie, że zbrodnie Wehrmachtu w Grecji były długie lata w Niemczech przemilczane, a nawet im zaprzeczano. „Kiedy historyk, Hagen Fleischer, zapytał swojego opiekuna naukowego, czy może napisać doktorat o niemieckiej okupacji Grecji, ten zdumiony zapytał: »Co? Tam też byliśmy?«. Ta rozmowa miała miejsce w 1970 roku, a opiekun naukowy Fleischera był profesorem kierującym katedrą historii w Berlinie. Fleischer po obronie doktoratu stał się jednym z najwybitniejszych znawców Grecji, dziś jest emerytowanym profesorem i w Grecji mieszka" – napisał w mejlu przesłanym „Gazecie Polskiej Codziennie". Samą inicjatywę Zielonych i Die Linke niemiecki uczony ocenił bardzo dobrze jako wydarzenie przełamujące kilka dekad milczenia. ■

_____

W tekście wykorzystaliśmy m.in. informacje zawarte w książce: Karl Heinz Roth, Hartmut Rübner, „Wyparte – Odroczone – Odrzucone. Niemiecki dług reparacyjny wobec Polski i Europy", Instytut Zachodni, Poznań, 2020.

eprasa.pl c414db9aa6

By Pekin 2022 nie stał się Berlinem 1936

Hanna Shen

W lutym 2022 roku Zimowe Igrzyska Olimpijskie mają odbyć się w Pekinie. Od jakiegoś czasu nasilają się głosy wzywające do bojkotu tej olimpiady, m.in. ze względu na ludobójstwo, jakiego dopuszcza się reżim w Chinach, który coraz bardziej przypomina Niemcy Hitlera. Czy uda się sprawić, by „Pekin 2022 nie stał się Berlinem 1936”?

fot. JEAN-CHRISTOPHE BOTT/PAP/EPA

W 1936 roku nie doszło do bojkotu Letnich Igrzysk Olimpijskich w Berlinie. Świat wiedział już dość dużo o planach Adolfa Hitlera. We wrześniu 1935 roku weszły w życie Ustawy norymberskie, w wyniku których Żydzi utracili prawa obywatelskie. Te zapisy odsłoniły prawdziwe zamiary Hitlera i uruchomiły jeden z najstraszliwszych procesów w dziejach ludzkości. Na niecały miesiąc przed ceremonią otwarcia Igrzysk, 35 kilometrów od Berlina, SS ustanowiło obóz koncentracyjny Sachsenhausen i zaczęło więzić tam świadków Jehowy.

O olimpiadzie w Berlinie mówi się, że były to igrzyska wstydu. Święto sportu stało się w świętem propagandy III Rzeszy.

Nie wiadomo, co by się stało, gdyby wtedy, w 1936 roku, doszło do bojkotu. Według niemieckiego historyka Olivera Hilmesa, olimpijski show Hitlera był ważnym czynnikiem w postrzeganiu jego reżimu przez światowe rządy: „Jest pewne, że powstrzymanie się mocarstw zachodnich od udziału w igrzyskach zniweczyłoby strategię Hitlera polegającą na kreowaniu wizerunku kochającego pokój męża stanu. Te 16 dni sierpnia dało wielu ludziom nową nadzieję, że sytuacja się zmieni i że można zaufać Hitlerowi, że dotrzyma obietnic pokoju. Ten spektakl pomógł zamydlić im oczy”*.

Avery Brundage, przewodniczący Amerykańskiego Komitetu Olimpijskiego, sprzeciwiał się bojkotowi w 1936 roku, twierdząc, że „Igrzyska Olimpijskie należą do sportowców, a nie do polityków”. Wówczas wielu innych mówiło o niemieszaniu sportu i polityki. Ale tego nie udało się uniknąć. Trzy lata później Niemcy Adolfa Hitlera wywołały wojnę, a następne igrzyska były dopiero w 1948 roku.

Dzisiejsze Chiny to Niemcy Hitlera

Jedną z pierwszych osób, która porównała dzisiejsze Chiny do Niemców pod rządami Hitlera, był były doradca Donalda Trumpa – Steve Bannon. „Chiny to miejsce, w którym nazistowskie Niemcy były w latach 1929–1930” – miał powiedzieć nieżyjącemu już twórcy Fox News Rogerowi Ailesowi podczas rozmowy telefonicznej tuż po wyborze Trumpa na prezydenta**. Według Bannona, Chiny są gotowe do wykonania silnie

*Cytat z artykułu Hilmesa pt. „Olympic Appeasement. The United States' acquiescence to Hitler at the 1936 Games helped fuel the rise of Nazi Germany” (Slate, 09.02.2018).

**Informację tę podał amerykański dziennikarz Michael Wolff w książce pt „Ogień i wściekłość: w Białym Domu Trumpa”.

eprasa.pl 14db9aa6

nacjonalistycznego zwrotu, podobnego do tego, jakiego dokonały Niemcy w latach poprzedzających II wojnę światową.

W artykule na łamach amerykańskiego portalu The Hill Charles Kolb porównuje postawę Hitlera w temacie Gdańska do polityki, jaką chiński prezydent Xi Jinping prowadzi wobec Hongkongu.

„5 stycznia 1939 roku Hitler spotkał się z polskim ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem, aby powiedzieć mu, że »Gdańsk jest niemiecki, zawsze będzie niemiecki i wcześniej czy później dołączy do Niemiec«, pomimo polsko-niemieckiego paktu o nieagresji podpisanego pięć lat wcześniej [...] Osiem miesięcy później, po tym, jak Polska nadal opierała się naciskom Hitlera, 1 września 1939 roku wojska niemieckie zaatakowały Polskę. [...] Hongkong przez dziesięciolecia kwitł pod rządami brytyjskimi i instytucjami demokratycznymi. Przez 50 lat po 1997 roku Chiny obiecywały, że Hongkong pozostanie w większości autonomiczny i zachowa swobody demokratyczne. Po 23 latach Chiny zrezygnowały z tego wiążącego zobowiązania międzynarodowego".

W ubiegłym roku Pekin narzucił Hongkongowi nowe prawo o bezpieczeństwie narodowym, które w praktyce oznacza zniesienie autonomii Hongkongu. Kilka tygodni temu zmieniając prawo wyborcze Hongkongu komunistyczne władze w Pekinie właściwie zdecydowały o tym, że opozycja nie ma prawa istnienia w byłej kolonii brytyjskiej. Zmiana zakłada m.in. utworzenie nowego mechanizmu w celu weryfikacji kandydatów i sprawdzania zachowań zwycięzców wyborów, tak aby mieć pewność, że Hongkongiem rządzą „patrioci". A patriota, jak wyjaśnił to jeden z komunistycznych oficjeli z Chin, to osoba lojalna wobec Komunistycznej Partii Chin (KPCh).

„Kiedy mówimy o patriotyzmie, nie mówimy o abstrakcyjnym umiłowaniu kulturowych lub historycznych Chin, lecz raczej o miłości do obecnie istniejącej Chińskiej Republiki Ludowej pod przywództwem Komunistycznej Partii Chin" – wyjaśnił Song Ru'an, zastępca komisarza w Biurze Komisarza Chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Hongkongu.

Xi Jinping, tak jak Hitler, gotowy jest łamać zobowiązania międzynarodowe. Tak jak führer wymagał lojalności wobec nazistowskiej doktryny, tak Xi żąda lojalności wobec KPCh.

Tych podobieństw jest więcej. Nieodłączną częścią niemieckiego systemu totalitarnego stały się obozy koncentracyjne. Tak też dziś jest w państwie Xi Jinpinga.

W prowincji Xinjiang chińscy komuniści stworzyli obozy koncentracyjne, które sami nazywają centrami reedukacji. Trafiło do nich już od 1 mln do 2 mln do Ujgurów i Kazachów, w większości muzułmanów, ale wiemy, że wśród więźniów obozów są coraz częściej chrześcijanie. Przygotowany kilka tygodni temu raport amerykańskiego think tanku Newlines Institute for Strategy and Policy szczegółowo przedstawia, co spotyka więźniów tych obozów.

„Ujgurscy więźniowie przebywający w miejscach zatrzymań są systematycznie torturowani, poddawani przemocy seksualnej, w tym gwałtom oraz okrutnemu, nieludzkiemu i poniżającemu traktowaniu lub karaniu, są pozbawieni podstawowych ludzkich potrzeb i upokarzani" – czytamy w raporcie.

Według ponad 50 ekspertów w dziedzinie prawa międzynarodowego, ludobójstwa i zbrodni wojennych, którzy pracowali nad raportem, działania chińskiego rządu przeciwko Ujgurom w Xinjiangu naruszają wszystkie postanowienia Konwencji ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, którą ChRL podpisała i ratyfikowała.

Z okazji Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu Marie van der Zyl, przewodnicząca Izby Deputowanych Brytyjskich w liście do premiera Borisa Johnsona, napisała, że „jako społeczność zawsze bardzo wahamy się stosować porównania z Holokaustem. Jednak istnieją podobieństwa między tym, co według doniesień dzieje się w Chinach, a tym, co wydarzyło się w nazistowskich Niemczech w latach 30. i 40". Van der Zyl stwierdziła, że to, co spotyka Ujgurów w Xinjiangu, „może być najpoważniejszą zniewagą naszych czasów".

Chińskie lebensraum

I wreszcie kolejne podobieństwo dzisiejszych Chin do hitlerowskich Niemiec. Poszukiwanie lebensraum (przestrzeni życiowej) było pretekstem dla Adolfa Hitlera do podboju Europy. Nie jest to cel odbiegający od tego, jaki wyznacza sobie KPCh. Tuż przed udaniem się na emeryturę w 2003 roku minister obrony Chin gen. Chi Haotian wygłosił przemówienie, w którym stwierdził m.in.: „Tylko kraje takie jak Stany Zjednoczone mają rozległe tereny, aby zaspokoić naszą potrzebę masowej kolonizacji. Tylko dzięki specjalnym środkom »oczyszczenia« Ameryki będziemy w stanie poprowadzić tam Chińczyków...". „Nie jesteśmy na tyle głupi, by zginąć razem z Ameryką poprzez użycie broni jądrowej [...] Tylko dzięki użyciu niszczącej broni, która zabija wielu ludzi, będziemy mogli zarezerwować Amerykę dla siebie. Pracujemy nad nowoczesną bronią biologiczną". „To rzeczywiście brutalne zabicie jednego lub dwustu milionów Amerykanów. Ale to jedyna droga, która zapewni światowe przywództwo KPCh. Dlatego wydaje się, że nasze przygotowania wojskowe są skierowane na Tajwan, ale w rzeczywistości są skierowane na Stany Zjednoczone".

Cały świat jest w tej chwili w totalnym zastoju i osłabiony z powodu pandemii, która rozpoczęła się

eprasa.pl c414db9aa6

w Chinach. A kwestia tego, czy wirus pochodzi czy nie z chińskiego laboratorium pracującego nad bronią biologiczną, jest nadal otwarta. W marcu bieżącego roku w programie stacji Fox News David Asher, były doradca Departamentu Stanu USA, który nadzorował grupę zadaniową w sprawie pochodzenia wirusa COVID-19, powiedział, że nie tylko wierzy, iż wirus uciekł z Wuhan Institute of Virology, ale może to być wynik badań, w których Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza stosowała broń biologiczną. Broń biologiczną, którą według gen. Chi Haotiana ChRL może wykorzystać do budowania swojego lebensraum.

„Nie" dla igrzysk w Pekinie

W lutym przyszłego roku Igrzyska Olimpijskie mają odbyć się w państwie, które łamie zobowiązania międzynarodowe, w którym system oparty jest na obozach koncentracyjnych. Państwie, które ma aspiracje poszerzania swojej przestrzeni życiowej i którego program rozwoju broni biologicznej prawdopodobnie stoi za jedną z największych katastrof, jakiej przyszło nam obecnie stawiać czoła. Pekin, podobnie jak Berlin w 1936 roku czy Moskwa w 1980 roku, potrzebuje igrzysk, by ducha, jaki przyświeca tej sportowej imprezie – współpracy między narodami i promowania pokoju na całym świecie – wykorzystać do legitymizacji swojego komunistycznego reżimu zarówno w oczach świata, jak i publiczności wewnętrznej, Chińczyków. To międzynarodowe wydarzenie i hasła o byciu odpowiedzialnym graczem na arenie międzynarodowej kochającym pokój znów mają nam zamydlić oczy.

Jest jeszcze czas, by do igrzysk nie doszło, a raczej by zostały one przeniesione w inne miejsce.

W lutym bieżącego roku koalicja 180 ugrupowań zajmujących się prawami człowieka wezwała do bojkotu igrzysk w Chinach m.in. z powodu łamania swobód politycznych w Hongkongu. Kilka dni później kanadyjscy prawodawcy uchwalili (głosami 266 do 0), aby uznać represje wobec Ujgurów w Xinjiangu za ludobójstwo (wcześniej zrobiła to administracja Trumpa) i wezwali, by Międzynarodowy Komitet Olimpijski (MKOl) odebrał Pekinowi prawa do organizacji igrzysk w 2022 roku.

Do tych głosów dołączyła była ambasador USA przy ONZ, Nikki Haley. Przyznała ona, że bojkot byłby „okropną stratą dla amerykańskich sportowców", ale, jak dodała, musi być zastosowany wobec „ludobójstwa w Chinach". Była ambasador ostrzegła też, że „umacnianie Chin może być źródłem jeszcze większych horrorów".

Wśród głosów wzywających do bojkotu przyszłorocznej olimpiady jest też ten z Polski. O bojkot imprezy „Pekin 2022" walczy europosłanka i sekretarz generalna Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (ECR) Anna Fotyga. W oświadczeniu ECR popierającym bojkot słusznie wskazano, że Chiny to państwo, w którym coraz większe represje spotykają nie tylko Ujgurów i Tybetańczyków, lecz także chrześcijan. „Poza kwestiami wewnętrznymi Chiny są otwarcie agresywne w stosunku do swoich sąsiadów, organizując coraz większą liczbę lotów zbrojnych nad terytorium Tajwanu i kontynuując politykę militaryzacji Morza Południowochińskiego" – czytamy w dokumencie ECR. Konserwatywni politycy UE mówią o różnych formach bojkotu igrzysk, na przykład wycofaniu się sponsorów.

Do bojkotu olimpiady w Chinach wezwał także republikański polityk Mitt Romney. W artykule na łamach „The New York Times" stwierdził, że na odebranie Pekinowi prawa do organizacji imprezy jest już za późno, ale można zastosować bojkot dyplomatyczny i ekonomiczny. „Ograniczanie widzów, selektywny dobór naszych delegacji i powstrzymywanie się od transmitowania chińskiej propagandy uniemożliwiłoby Chinom czerpanie wielu korzyści, jakich oczekują od igrzysk olimpijskich" – napisał Romney, wzywając amerykańskich kibiców do pozostania w domach, a sponsorów z USA, aby omijali to wydarzenie i wspierali krajowe imprezy sportowe. Prezydentowi Joemu Bidenowi Romney radzi, by wysłać do Chin delegację, w której będą dysydenci, przywódcy religijni i mniejszości etniczne.

Amerykański polityk wierzy, że taka forma bojkotu zaszkodzi Komunistycznej Partii Chin, a nie amerykańskim sportowcom, bo zmniejszy dochody Chin i nie będzie poddaniem się ich propagandzie.

Przed Letnimi Igrzyskami w Pekinie w 2008 roku było także wiele głosów wzywających do bojkotu. Ostatecznie przywódcy ponad 80 krajów wzięli udział w ceremonii otwarcia w Pekinie – było to więcej niż na jakichkolwiek poprzednich igrzyskach olimpijskich. Przeważyła wtedy nadzieja, że igrzyska pomogą wprowadzić autorytarne Chiny na arenę międzynarodową. A to sprawi, że Pekin będzie musiał się otworzyć i dojdzie do zmierzchu komunistycznego reżimu.

Jednak Chiny stały się jeszcze bardziej represyjne pod rządami Xi Jinpinga, a dziś chińskie elity wierzą, że to zmierzch Zachodu jest coraz bliżej. Jeśli pozwolimy na sportowy spektakl rządowi zaangażowanemu w ludobójstwo oraz na propagandę mającą przedstawić państwo pod rządami KPCh jako kierujące się dobrą wolą i pokojem, to tak jak w 1936 roku będzie to groteska, która za kilka lat przyniesie tragedię.

Dziś każde podejście do Chin w stylu „business as usual" (jak gdyby nigdy nic) jest jak polityka ustępstw wobec Hitlera w okresie poprzedzającym II wojnę światową. ■

eprasa.pl c414db9aa6

Gruzińskie marzenie Putina

Antoni Rybczyński

eprasa.pl c414db9aa8

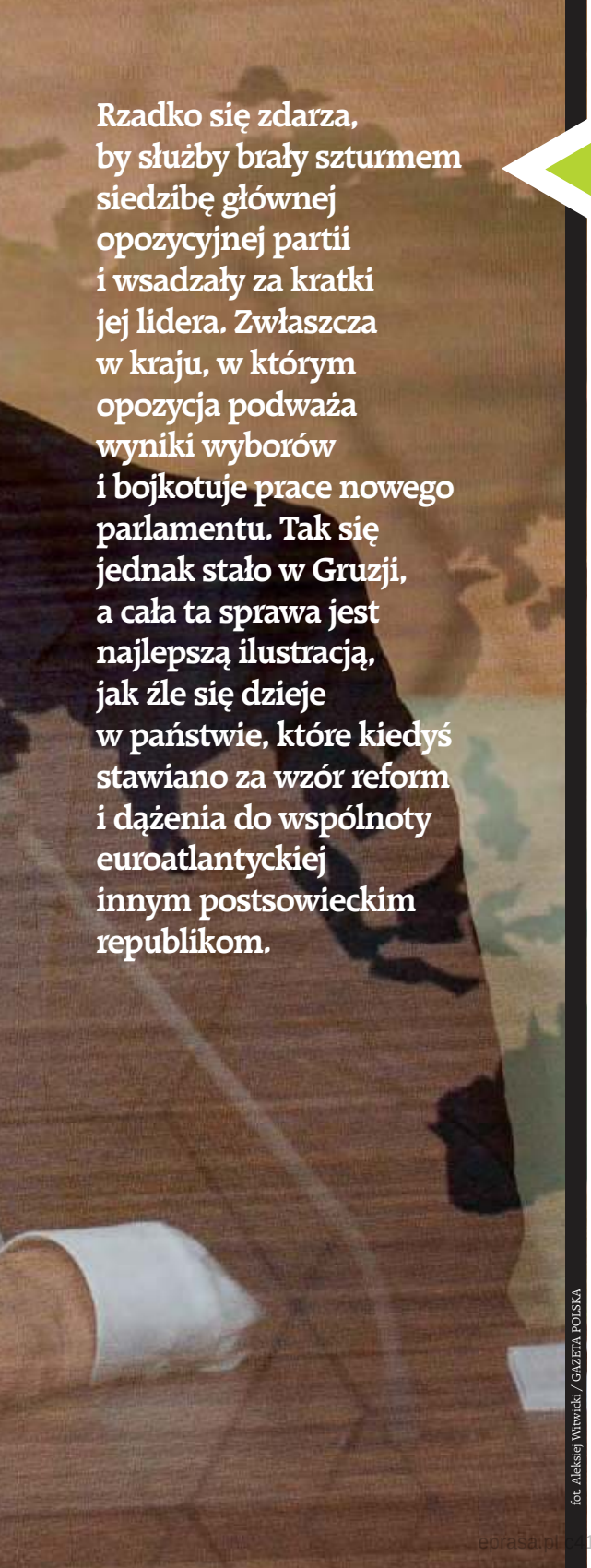

Rzadko się zdarza, by służby brały szturmem siedzibę głównej opozycyjnej partii i wsadzały za kratki jej lidera. Zwłaszcza w kraju, w którym opozycja podważa wyniki wyborów i bojkotuje prace nowego parlamentu. Tak się jednak stało w Gruzji, a cała ta sprawa jest najlepszą ilustracją, jak źle się dzieje w państwie, które kiedyś stawiano za wzór reform i dążenia do wspólnoty euroatlantyckiej innym postsowieckim republikom.

fot. Aleksiej Witwicki / GAZETA POLSKA

Głęboki polityczny kryzys w Gruzji jest niewątpliwie na rękę Rosji. Tak jak się obawiano, rządy oligarchy Bidziny Iwaniszwilego negatywnie odbiją się na zachodnim kursie państwa (niezależnie od publicznych deklaracji), osłabią instytucje państwowe i otworzą nowe możliwości dla rosyjskiej dezinformacji.

Noc Gawriłowa i jej następstwa

Obecna eskalacja konfliktu politycznego w Gruzji sięga 2019 roku i – a jakże – rosyjskiej prowokacji. To w jej wyniku w czerwcu 2019 roku wszczęta została przeciwko szefowi głównej opozycyjnej partii Zjednoczony Ruch Narodowy (ZRN) i jego współpracownikom sprawa karna. Postawiono im zarzuty „zorganizowania grupowej przemocy wobec oficerów policji" i „usiłowania siłowego przejęcia władzy". Chodzi o wydarzenia tzw. nocy Gawriłowa (21 na 22 czerwca 2019 roku). Wtedy to zwolennicy opozycji pod bezpośrednią wodzą lidera ZRN Nikanora Melii próbowali szturmem wziąć siedzibę parlamentu. Rannych zostało 240 demonstrantów i 80 policjantów. Ponad 300 osób zatrzymano. Co wywołało ich furię? Prowokacja, na którą pozwoliły władze gruzińskie. Otóż w Tbilisi na zaproszenie rządzącej partii Gruzińskie Marzenie odbywało się wówczas posiedzenie Międzyparlamentarnego Zgromadzenia Prawosławnego (skupiającego parlamentarzystów z różnych prawosławnych krajów). W czasie obrad rosyjski deputowany Dumy, komunista Siergiej Gawriłow, zasiadł arogancko i wyzywająco w fotelu zarezerwowanym dla przewodniczącego parlamentu Gruzji. Na większość Gruzinów, pamiętających wojnę z 2008 roku i wciąż trwającą rosyjską okupację Abchazji i Osetii Południowej, podziałało to jak czerwona płachta na byka.

W ramach postępowania karnego w sprawie szturmu na parlament Nikanor Melia został obciążony kaucją i zobowiązany do noszenia bransolety elektronicznej. Zerwał ją jednak podczas protestów po ogłoszeniu zwycięstwa wyborczego Gruzińskiego Marzenia w ostatnich wyborach parlamentarnych (listopad 2020 roku). Wtedy sąd obciążył go kaucją 70 tys. lari, czyli około 21 tys. dolarów. Melia nie wpłacił jej w całości, tłumacząc, że nie chce płacić „niewolniczego trybutu Putinowi", którego interesy, jak mówił, są „realizowane w Gruzji przez rządzącą partię Gruzińskie Marzenie" miliardera Bidziny Iwaniszwilego, który fortunę zdobył głównie w Rosji. 17 lutego 2021 roku sąd miejski w Tbilisi wydał w związku z odmową wpłacenia kaucji nakaz zatrzymania Melii. Doszło do próby – nieudanej – zatrzymania lidera opozycji. Już nazajutrz w kierownictwie Gruzińskiego Marzenia wybuchła gorąca dyskusja, czy pozwolić siłom porządkowym na użycie siły. Szef MSW Wachtang Gomelauri nie miał tu wątpliwości, ale przeciwny był premier Giorgi Gacharia, który w końcu, widząc, że nie przekona partyjnych kolegów, po-

eprasa.pl/14db9aa6

dał się do dymisji. Mediom powiedział, że środki przygotowane przez resort służb wewnętrznych do zatrzymania Melii uznał za nieakceptowalne, bo niosą ryzyko dla zdrowia i życia obywateli, prowokując przy tym eskalację polityczną w kraju.

Gacharię na stanowisku szefa rządu niemal natychmiast zastąpił Irakli Garibaszwili, dotychczas minister obrony, który był już jednak w przeszłości premierem (2013–2015) i szefem MSW. Nowy premier i jego rząd uzyskali poparcie 89 deputowanych (dwóch było przeciw). Tyle że w obradach 150-osobowego parlamentu nie ma ZRN i mniejszych partii opozycji. Nowy premier odniósł się w exposé do ZRN jako „schronienia przestępców i terrorystów". Nic w tym zresztą dziwnego, przed jesiennymi wyborami mówił, że partia opozycyjna „zasługuje na delegalizację". Niecałą dobę po wystąpieniu Garibaszwilego policja uderzyła. 23 lutego rano specjalne jednostki MSW wspierane przez policję wzięły szturmem siedzibę opozycyjnego Zjednoczonego Ruchu Narodowego (ZRN) i w kajdankach zabrały jego szefa, Nikanora Melię. Na korytarzach budynku doszło do starć funkcjonariuszy ze zwolennikami opozycji, 17 osób zostało rannych. Jeszcze tego samego dnia wieczorem zwolennicy opozycji rozbili namioty w pobliżu parlamentu. Opozycję oburzył też fakt, że do akcji doszło w dniu, w którym Gruzini wspominają tragiczną rocznicę wkroczenia sowieckiej 11. Armii do ich kraju w 1921 roku. Tego dnia, już po zatrzymaniu Melii, Garibaszwili składając winiec na mogiłach kadetów poległych 100 lat temu w walce z sowieckim najeźdźcą, powiedział: „Melia złamał prawo, a wszyscy, którzy łamią prawo, będą odpowiadać za swoje przestępstwa".

Gra o tron po gruzińsku

Jedyną nadzieją gruzińskiej opozycji jest dziś Zachód. Tylko Bruksela i Waszyngton mogą wywrzeć nacisk na władze w Tbilisi. Szturm siedziby ZRN i zatrzymanie lidera opozycji zostały natychmiast potępione przez USA, Wielką Brytanię, UE i wielu wpływowych zachodnich polityków. Ambasada USA w mocnych słowach ostrzegła, że „Gruzja cofnęła się na swej drodze ku staniu się silniejszą demokracją w euroatlantyckiej rodzinie narodów". Brytyjski ambasador Mark Clayton powiedział, że jest zaszokowany rajdem policji, dodając, że „przemoc i chaos w Tbilisi to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje Gruzja". Krytyka brutalnej akcji wobec Melii nie oznacza jednak, że Zachód popiera opozycję. Choć ta stara się podkreślać, że jest bardziej prozachodnia niż GM, to jednak politycy z USA i UE w tym konflikcie starają się zachować neutralność. Kryzys został czasowo nieco opanowany dzięki mediacji przewodniczącego Rady Europejskiej Charlesa Michela, który przyleciał 2 marca do Tbilisi.

Jednak wojna rządu z opozycją może w każdej chwili wybuchnąć z nową siłą. Oto bowiem 6 marca niezależna prywatna telewizja, znana z krytycznego podejścia do rządzącego Gruzińskiego Marzenia, TV Pirveli wyemitowała nagrania rzekomych rozmów telefonicznych członków rządu z Berą Iwaniszwilim, synem założyciela Gruzińskiego Marzenia, miliardera Bidziny Iwaniszwilego. Z rozmów wynika, że pochodzą one z 2017 roku, zaś Iwaniszwili junior zleca bliskim współpracownikom ojca, ówczesnemu szefowi MSW Iraklemu Garibaszwilemu (obecnie premier) i Anzorowi Chubinidze (wtedy i dziś szefowi służby bezpieczeństwa SSGS), rozprawienie się z jakimiś młodymi internautami zamieszczającymi wpisy obrażające Iwaniszwilich. Z nagrań wynika, że Garibaszwili wydaje się zdeterminowany, by ukarać autorów wpisów. Ujawnione nagrania w szokujący sposób ukazują, jak Iwaniszwili i jego rodzina uczynili Gruzję swoim prywatnym folwarkiem. To może oznaczać poważne problemy dla Gruzińskiego Marzenia i obecnego premiera.

Garibaszwili to bardzo bliski współpracownik Iwaniszwilego, którego fortunę szacuje się na blisko 5 mld dolarów. Miał ją zdobyć w latach 90. XX wieku w Rosji, inwestując w metale, nieruchomości i bankowość. Miał też udziały w Gazpromie. W 2012 roku założył partię Gruzińskie Marzenie, a ta niespodziewanie wygrała wybory. Iwaniszwili był premierem tylko nieco ponad rok, potem wycofał się z aktywności rządowej, pozostając jednak faktycznym przywódcą Gruzji. Jego partia wygrała dwa kolejne razy (w 2016 i 2020 roku). W styczniu bieżącego roku Iwaniszwili ogłosił rezygnację z działalności politycznej, ale mało kto wierzy w to, że zrezygnował z pociągania za sznurki. Opozycja od początku zarzuca Iwaniszwilemu i jego partii powiązania z Rosją. Faktem niezaprzeczalnym jest, że w ostatnich latach Gruzja wyraźnie zmiękczyła swoje stanowisko wobec Rosji, zaś prorosyjskie partie nabierają siły. Nie chodzi zresztą tylko o samego oligarchę. Choć były już premier Gacharia, zanim Iwaniszwili ściągnął go do gruzińskiej polityki, był biznesmenem w Moskwie. Nic dziwnego, że teraz na ulicach pojawiły się hasła „Stop Putin's Dream" (nawiązanie do nazwy partii rządzącej) oraz „Nie chcemy wracać do Związku Sowieckiego".

Kompromitujące rząd nagranie ujawniono dzień po tym, jak Biuro ds. Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka (ODIHR) OBWE wydało ostateczny raport na temat wyborów parlamentarnych w Gruzji 31 października 2020 roku. Choć z pewnymi zastrzeżeniami, raport ogólnie ocenił wybory jako „konkurencyjne i dobrze zorganizowane mimo wyzwań związanych z pandemią COVID-19". Taka jednoznaczna międzynarodowa legitymizacja wyników wyborczych powinna niewątpliwie wzmocnić pozycję GM w negocjacjach z opozycją. Dzięki mediacji Michela, obie strony uzgodniły złożoną z sześciu punktów agendę dla negocjacji. Jeden z punktów potencjalnie otwiera drogę do wcześniejszych wyborów. Pomimo odrzucenia przez GM decyzji o przeprowadzeniu

eprasa.pl c414db9aa6

przyspieszonych wyborów, niektóre źródła sugerowały, że nadal jest miejsce na konsensus z umiarkowanym skrzydłem opozycji, aby najpierw przeprowadzić plebiscyt w sprawie przedterminowych wyborów. Jednak pomysł takiego plebiscytu skrytykował natychmiast Micheil Saakaszwili, ostrzegając, że GM próbuje wciągnąć opozycję w pułapkę. To właśnie prezydent Gruzji w latach 2004 –2013 jest założycielem i wciąż faktycznym przywódcą ZRN. Tyle że z emigracji. Po porażce ZRN w 2012 roku, i zakończeniu swojej kadencji rok później, musiał uciekać z kraju. Nowa władza nie ukrywała, że chce wsadzić go do więzienia. W 2018 roku został skazany zaocznie na 9 lat więzienia za nadużycie władzy. Emigrant Saakaszwili tymczasem politycznie działał już na Ukrainie. Innego zdania niż Saakaszwili było umiarkowane skrzydło opozycji. Ujawnienie nagrań to zmieniło – teraz stanowisko opozycji jest jednoznaczne: tylko przedterminowe wybory. Także perspektywa dialogu i negocjacji wydaje się nierealna w obecnej sytuacji. Może być tylko jeszcze większa konfrontacja i podział społeczeństwa. Nie trzeba dodawać, kto na tym skorzysta.

Russia is back

Czynnik rosyjski stał się ważnym elementem obecnego konfliktu. Obie strony oskarżają się wzajemnie o to, że są marionetkami w rosyjskiej grze. Tymczasem wydarzenia ostatnich kilku lat, jeszcze bardziej miesięcy, a już na pewno ostatnich tygodni, pozwalają Rosji forsować tezę o Gruzji jako państwie upadłym („failed state"). Im dłużej obecna destabilizacja i polityczny klincz będą trwały, tym bardziej Gruzja – nawet bez takiej intencji – będzie się oddalała od drzwi do euroatlantyckiej wspólnoty. Co jest równoznaczne z powolnym powrotem do rosyjskiej strefy wpływów lub – rzecz jeszcze parę lat temu nierealna, a dziś jak najbardziej tak – zbliżeniem geopolitycznym do Turcji. Ankara zaczęła się rozpychać na Kaukazie Południowym, a po jesiennej wojnie o Karabach turecko-azerbejdżański tandem staje się coraz bardziej atrakcyjną możliwą opcją dla obecnego obozu władzy w Tbilisi.

Choć Moskwa twierdzi, że zachowuje neutralność wobec sporu wewnątrzgruzińskiego, to może jednak skrycie oferować wsparcie jednemu z dużych politycznych graczy w zamian za pewne ustępstwa. Rosja może wyciągnąć korzyści z kryzysu w Gruzji, używając narzędzi ekonomicznych i swej kontroli nad separatystycznymi regionami gruzińskimi, Abchazją i Osetią Południową, aby wpływać na sytuację polityczną w Tbilisi w pożądanym kierunku. W ostatnich kilku latach Rosja umocniła się na pozycji drugiego pod względem wielkości obrotów partnera handlowego Gruzji. Jednocześnie ewidentnie widać wzrost rosyjskiej soft power w Gruzji, co jest możliwe dzięki polityce Gruzińskiego Marzenia. To także na skutek rosyjskich działań widać w gruzińskim społeczeństwie rosnące przekonanie, że UE gotowa by była bronić Gruzję przed Rosją, gdyby to miało zaszkodzić unijno-rosyjskim stosunkom. Choć jednocześnie większość Gruzinów integrację europejską uważa za jedno z narzędzi ochrony przed Rosją. Moskwa skupia się na podważeniu więzi Gruzji z Zachodem nie na płaszczyźnie politycznej czy bezpieczeństwa, lecz sprytnie grając kwestiami kulturowymi i ekonomicznymi. Należy pamiętać, że duża część Gruzinów wciąż ma emocjonalne i mentalne więzi z sowiecką przeszłością, wielu ma konserwatywne, prawosławne poglądy (tutaj rosyjska propaganda nastawia ich przeciwko „zgniłemu moralnie Zachodowi"). Wiara wielu Gruzinów w to, że Rosja jest tarczą prawosławia i konserwatywnych wartości, niezbędną dla Gruzji także gospodarczo, stały się ważnymi źródłami wpływów rosyjskich w Gruzji.

Oliwy do ognia dolała 9 marca rosyjska Służba Wywiadu Zagranicznego (SWR), wydając komunikat na temat sytuacji w innym suwerennym państwie, Gruzji. Rzecz bez precedensu. W oświadczeniu przypisywanym dyrektorowi SWR Siergiejowi Naryszkinowi czytamy, że USA są niezadowolone z rządzącego ugrupowania, ponieważ nie wykonuje ono poleceń Waszyngtonu, więc Amerykanie planują operację, która osłabi Gruzińskie Marzenie i wzmocni opozycję. Cel? Zdyscyplinowanie rządu w Tbilisi. Wielu działaczy opozycji zinterpretowało komunikat SWR jako wyraz poparcia Rosji dla obozu rządzącego. Ale to zbyt oczywiste tłumaczenie. Każdy wie, że otwarte poparcie ze strony Moskwy to pocałunek śmierci w Gruzji, gdzie jednak zdecydowana większość elektoratu jest antyrosyjska, a oficjalnie prorosyjskie partie to margines. Więc Gruzińskie Marzenie ogłosiło coś zupełnie przeciwnego niż opozycja. Skoro poparcie rosyjskie może tylko szkodzić, to znaczy, że komunikat SWR jedynie miał na celu zaszkodzić rządzącej partii. A z tego wniosek, że Moskwa... popiera opozycję.

Poziom i natura politycznej walki w Gruzji pokazuje wyraźnie, że skala faktycznej „westernizacji" elit politycznych zostaje daleko w tyle za ich aspiracjami wstąpienia do euroatlantyckiej wspólnoty. Niestety, zgodnie z obawami wielu, od momentu odsunięcia od władzy obozu Saakaszwilego, który – przy różnych zastrzeżeniach co do sposobu rządzenia – wykonał ogromną pracę na rzecz zbliżenia Gruzji do Zachodu przede wszystkim poprzez wewnętrzne udane reformy zrzucające z państwa w dużej mierze postsowiecki balast, Gruzja najpierw wyhamowała na drodze do wspólnoty euroatlantyckiej, zaś od kilku lat wręcz wrzuciła wsteczny bieg. Osłabienie instytucji państwa i brutalne – jakże przypominające ponure postsowiecko-kaukaskie praktyki – wykorzystywanie władzy do zwalczania politycznych rywali cofa Gruzję do czasów, gdy musiała balansować między Zachodem a Rosją, aby przetrwać. ■

eprasa.pl c414db9aa6

Dokoła same opuszczone domy. Do części z nich dostęp jest z ulicy. Wokół niektórych rozwalające się płoty okalające zarośnięte półmetrową trawą działki. Na jednej z takich działek ktoś urządził wysypisko gruzu. Na werandzie sąsiedniego domku stoi drewniany fotel bujany. Bałbym się jednak na nim siadać.

Stany bez nadziei

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Tuż przed wybuchem pandemii downtown Detroit tętniło życiem. Rzecz jasna najwięcej widać tu przedstawicieli tej najbardziej bogatej części społeczeństwa

– Kasują nam zakład – w głosie Georga słychać przygnębienie.

– Jak to? – Z początku nie bardzo dowierzam. Gdy go poznawałem, był przecież niezwykle cenionym pracownikiem firmy produkującej systemy do wycieraczek samochodowych. Specjalistą w swoim fachu, jakich mało. Mieszkającym pod Detroit już czwartą dekadę. W miejscu, w którym trudno o zatrudnienie w innej branży niż samochodowa.

– Przenoszą produkcję do Tajlandii – kontynuuje smutno.

– Chcą ciąć koszty?

– Pewnie tak. A poza tym... – zawiesza na chwilę zachrypiały głos. – A poza tym ten cholerny koronawirus. Wszystko nam tu poprzestawiał. W Detroit mamy w tej chwili naprawdę poważny kryzys.

▶ Do Jemenu za karę

Na skrzyżowaniu alei Southfield i Outer ruch jak zwykle. Kolumna ciężkich pickupów snuje się dostojnie i bez pośpiechu. Głośny warkot silników. Czerwone światło. Samochody zwalniają. Po chwili sznur aut liczy kilkaset metrów. Dla dwóch czarnoskórych nastolatków to jest właśnie ten moment. Szybko wstają ze zbitych czterech desek imitujących ławeczkę i wybiegają spod wiaduktu. W rękach mają wiadra ze spienioną wodą. Ręczniki i szmatki.

– Umyć ci auto? – wypala jeden z nich do stojącego w pierwszym rzędzie kierowcy.

– Nie, dzięki – potężnych rozmiarów mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych nadal obserwuje świetlny semafor. Jak tylko zmieni się na zielone, chce jak najszybciej ruszyć jako pierwszy.

– Chcemy sobie z kolegą zapalić... – tłumaczy chłopak.

– Rozumiem, stary. Może ten za mną się zgodzi na mycie? Ja nie chcę... – wskazuje kciukiem za siebie kierowca.

– Man, bądź człowiekiem! – agresywnie wykrzykuje chłopak.

Brruummm! Po chwili chłopak z gąbką i wiaderkiem zostaje na ulicy sam. Szaro-czarny Chevrolet Colo-

eprasa.pl c414db9aa6

rado jest już kilkaset metrów za skrzyżowaniem. Trudniący się ulicznym myciem szyb mężczyźni udają się z powrotem na swoją miejscówkę pod wiadukt. Mają jeszcze po dwa papierosy na głowę. Na resztę muszą zarobić. Póki co idzie jednak słabo.

– Widzisz? – zaczyna George siedzący za kierownicą swojego auta, gdy właśnie przejeżdżamy pod pomalowanym w kolorowe graffiti wiaduktem z dwójką siedzących w pobliżu mężczyzn. – Teraz to norma. Pracy coraz mniej. A od biedy aż piszczy. Tym dwu przynajmniej chce się jeszcze pracować. Ale reszta...

– Jest aż tak źle?

– Stefan, Ameryka się kończy. A po tych ostatnich wyborach proces tylko przyspieszy – odpowiada z marsową miną George.

– Skoro bezrobocie i bieda, to wnioskuję, że i z bezpieczeństwem nie masz tu już za kolorowo? – zgaduję.

– Ja to jeszcze. U mnie na dzielnicy mieszkają głównie Arabowie. A ci mają kosę z czarnoskórymi. Nie cierpią się, więc się wzajemnie omijają.

– A ty z Arabami zdążyłeś się już dogadać – uzupełniam.

– Oni mają przynajmniej jakieś zasady. Od lat nic mi spod domu nie zginęło. Stoi rower. Nie ruszą. A jeśli, nie daj Boże, spróbują...

– To co? Sąd rodzinny? – uśmiecham się.

– Śmiejesz się... – Amerykanin spogląda na mnie spod swoich grubych szkieł. – Nie dalej jak kilka tygodni temu chłopak w naszej szkole coś tam przeskrobał. Ojciec długo się nie zastanawiał. Zaraz odesłał go do Jemenu. W samo jądro toczącego się tam w tej chwili konfliktu zbrojnego. Czujesz? Oni się nie cackają.

Hamulce na autostradzie

Nad pustym skrzyżowaniem widać splecione ze sobą druty oraz kable wysokiego napięcia. Jedne poskręcane wychodzą dalej nad ulicę, drugie utrzymują na sobie ciężar charakterystycznych żółtych semaforów świetlnych. I znaków nakazu skrętu w lewo. Akurat mamy czerwone. Zwalniamy.

Naraz tuż obok nas przejeżdża rozpędzona toyota. Ryk silnika słychać prawdopodobnie w promieniu kilku kolejnych przecznic. Gdyby akurat przez pasy przechodził jakiś pieszy, nie miałby najmniejszych szans.

– Marihuana... – komentuje George.

– Że co?

– Zalegalizowali przed rokiem. Niby dla celów zdrowotnych, ale kupisz wszędzie. Widzisz konsekwencje. Od kilku miesięcy naprawdę strach spokojnie wyjechać na autostradę – mówi George. – Wąchają to ziele, a potem siadają za kółko. I nie mają już żadnych hamulców. Także dosłownie.

Nie ukrywam, że z każdą minutą zbliżania się do centrum Detroit moja obawa przed tym miastem wzrasta. Wszak nie jest tajemnicą, że miasto znajduje się na szczytach przestępczych statystyk wszystkich pięćdziesięciu stanów. A przecież nie zawsze tak było.

Historia maszynowego wynalazcy

Urodził się w 1863 roku. W Hrabstwie Wayne, tuż pod dzisiejszym Detroit. Od dzieciństwa oglądał się za maszynami. Jako 12-latek prowadził dla zabawy mały warsztat z częściami do maszyn. Z czasem dorośli zaczęli zauważać, że ich syn Henry zna się na tych częściach znacznie lepiej niż oni. A do warsztatu, już nie dla zabawy, coraz częściej przychodzili dorośli znajomi, szukający brakujących części do swoich maszyn. Nastoletni Henry zawsze umiał im pomóc.

Gdy miał 16 lat, opuścił rodzinną farmę i rozpoczął prawdziwą praktykę w dużym warsztacie maszynowym. Już w Detroit. Gdy ją ukończył, bardzo szybko znalazł zatrudnienie u Thomasa Edisona, wynalazcy żarówki elektrycznej. Światowej sławy naukowiec bardzo szybko stał się dla Henry'ego prawdziwym mentorem. Z czasem również przyjacielem. Wkrótce razem rozpoczęli opracowywanie planów do pierwszych na świecie silników parowych. Potem przyszła pora także na spalinowe. Edison sygnował projekty swoim nazwiskiem. Prestiżem wynalazcy i człowieka, który łatwo się nie poddaje. Henry Ford zaś dodawał młodzieńczy entuzjazm, konkretną wiedzę i umiejętności.

4 czerwca 1896 roku 33-letni Henry skończył sukcesem pierwszą próbną jazdę testową skonstruowanym przez siebie pojazdem. Wtedy wyglądającym jeszcze dość prymitywnie: składającym się z ramy, czterech kółek rowerowych oraz silnika. Nie wygląd był jednak najważniejszy. A efekt finalny.

Wkrótce Henry Ford opuścił firmę Edisona i z innymi udziałowcami założył pierwszą własną firmę, Detroit Automobile Company. Niestety przedsiębiorstwo nie utrzymało się długo. Po niespełna dwóch latach ogłosiło upadłość. Ford był już jednak prawdziwym pasjonatem w kwestii projektów nowych silników. I nowych aut. Konstruował więc dalej. Już na własną rękę. Powstałe samochody brały udział w lokalnych wyścigach. W 1901 roku rozpędzony przedsiębiorca założył kolejną firmę. Tym razem nazwał ją już od swojego nazwiska. Z czasem Henry Ford Motor Company zostało przekształcone w Cadillac Motor Car Company. Markę obecną dziś na całym świecie.

W czerwcu 1903 roku Ford Motor Company wypuściło na rynek pierwszy własny samochód. Kupił go dentysta, doktor Pfennig. Zapłacił Fordowi 850 dolarów. Zaledwie pięć lat później na rynek trafił najsłynniejszy model samochodu Henry'ego. To tzw. Ford T.

Przedsiębiorca zrewolucjonizował produkcję. Każdy egzemplarz wychodzący z firmy musiał wyglądać

eprasa.pl c414db9aa6

jednakowo. Każdy był pomalowany na czarny kolor. Każdy przed opuszczeniem hali produkcyjnej był oceniany przez samego Henry'ego Forda. Gdy otrzymał pozytywną opinię, był sygnowany odręcznym autografem słynnego konstruktora. Kilka miesięcy sprzedaży wystarczyło, aby otrąbić komercyjny sukces. Auto było tanie w eksploatacji i bardzo łatwe w prowadzeniu. Pod maską niewielkiego pojazdu pracował benzynowy silnik o pojemności 2,9 litra. Moc nadawały 22 konie mechaniczne. Ford T nie był też ciężki – ważył zaledwie pół tony – dzięki czemu potrafił rozpędzić się do zawrotnej, jak na tamte czasy, prędkości 65 km/h. Na 100 kilometrów palił 13 litrów paliwa.

Chętnych do kupna było coraz więcej. Ford wprowadził więc w życie kolejne wymyślone przez siebie rozwiązanie: produkcję taśmową. Rozmieścił robotników przy specjalnych stanowiskach, a do podwozia każdego kolejnego auta przymocowywał specjalną grubą linę. To właśnie za jej pomocą auto przeciągane było wzdłuż określonej linii, zatrzymując się przy kolejnych stanowiskach montażowych. Rewolucja sprawia, że do 1916 roku Henry Ford sprzedał w całym kraju 472 tys. egzemplarzy modelu T.

Przedsiębiorca zadbał również o odpowiedni popyt na swoje auta. Swoim robotnikom płacił dwa razy więcej od konkurencyjnych fabryk: 5 dolarów dziennie. W ten sposób sami pracownicy fabryki Forda stali się jednocześnie pierwszymi właścicielami wyprodukowanych przez siebie samochodów. Projekt wpisywał się też w socjologiczno-gospodarczy pogląd samego Henry'ego Forda. Jako zagorzały przeciwnik wszelkich związków zawodowych mocno wierzył, że każdego uczciwie pracującego robotnika powinno być w Stanach stać na kupno własnego domu oraz samochodu. Tak miał się spełnić słynny amerykański sen. Sen lat 20. i 30. XX wieku.

▶ Tylko nie rasista

– American dream już jednak za nami... – przeciąga się siedzący za kierownicą George. – Teraz co trzeci z mieszkańców boi się o własny dom.

– To przez ten słynny kryzys?

– To też. Problem polegał na tym, że podczas gdy w czasie kryzysu wartość świeżo wybudowanych domów szła w dół na łeb na szyję, podatki w mieście ani drgnęły. A musisz wiedzieć, że co jak co, ale akurat jeśli chodzi o wysokość podatku od nieruchomości, to Detroit plasuje się w amerykańskiej czołówce.

– I co się działo potem z tymi domami?

– A spójrz tylko – George teatralnie wymachuje rękami na prawo i lewo. Rzeczywiście. Przed chwilą wjechaliśmy do jednej z dzielnic Detroit. Mnóstwo tu pustostanów. Domy z rozwalającym się płotem okalającym zarośniętą działkę. Na jednej z takich działek ktoś urządził wysypisko gruzu. Na werandzie sąsiedniego domku nadal stoi drewniany fotel bujany. Strach jednak byłoby na nim usiąść.

To MorningSide, położona nieopodal rzeki wschodnia dzielnica Detroit. Część domów ewidentnie opuszczona. Przed częścią widać kręcących się domowników. Jeszcze gdzie indziej widać całe klany. Ot, chociażby przy bardzo mocno zapuszczonej posiadłości znajdującej się na rogu najbliższego skrzyżowania. Na wychodzących na ulicę drewnianych schodach siedzi kilkunastu ludzi. To w większości czarni mężczyźni. Spoglądają w naszą stronę.

– Chciałbyś tutaj wysiąść porobić zdjęcia? – uśmiecha się ironicznie George.

– Może nieco dalej – odpowiadam cicho. Udając zarazem, że nie przypatruję się siedzącym tuż obok naszego auta mężczyznom. Nie wyglądają zbyt przyjaźnie.

– Widzisz? Po takiej reakcji już byś został nazwany u nas rasistą.

– Bo przestraszyłem się grupy patrzących na nas wrogo czarnych mężczyzn?! – wykrzykuję z pretensją w głosie.

– Ha-ha! – wybucha głośnym śmiechem George. – To jest właśnie to. Nikt, kto mówi o rasizmie, a nie mieszka w takim miejscu jak to, nie ma pojęcia, o czym gada.

– Rozumiem, że już niejednokrotnie zostałeś oskarżony o rasizm?

– Stefan! Codziennie! – odgraża się George. – Ale czy to moja wina, że czarnoskórzy z Detroit to najgorszy przypadek rozpasania w całych Stanach?! Pobędziesz tu kilka tygodni, to się przekonasz. Nie robią nic. Zasiłki coraz większe. Jakieś programy wyrównawcze w szkołach. A weź takiemu zwróć uwagę, że pracę dla niego byś miał...

– Odmówi?

– Jasne, że tak! A ty byś nie odmówił, jakbyś dostawał za darmo leki, jedzenie i ubrania. I miał dom bez opłat? Po co się wysilać?

– To raczej frustrujące...

– I to jeszcze jak! Najgorsze, że jak tylko wejdziesz w spór z czarnym, zaraz usłyszysz o sobie, że jesteś rasistą. Że jesteś przeciwko nim. Że nie rozumiesz ich ciężkiego losu. A ja naprawdę nic do nich nie mam. Niech sobie żyją z nami. Ale na równych warunkach. Wkurza mnie to lenistwo, ta bylejakość, to pozorowanie pracy. I ciągłe nazywanie nas „białymi frajerami". Chociaż, jak się tak dłużej zastanowić, to akurat z tym ostatnim mają rację. Jesteśmy frajerami, że cały czas na nich łożymy. Nawet teraz, gdy kryzys i bezrobocie coraz głębiej zaglądają nam w oczy.

– A jak twoi biali znajomi? Też tak na to patrzą?

eprasa.pl c414db9aa6

Nie trzeba wyjeżdżać daleko poza centrum Detroit, aby przekonać się o fabrycznej przeszłości tego miasta

– Oni już na serio się boją. Machają więc rękami na całą tę paranoiczną argumentację. Byle tylko znów nie nazwano ich „rasistami". To jest chore, Stefan.

Makieta pod horror

– O, a co to jest? – George na chwilę odrywa wzrok od ulicy, którą jedziemy. Po naszej prawej stronie widać dość nietypową konstrukcję. Przypomina to inscenizację do horroru. Powywieszane na płocie lalki. Stare samochody. Poukładane według jakiejś artystycznej wizji przedmioty.

To efekt kilku lat pracy Tyreego Guytona. Emerytowanego żołnierza, który wróciwszy któregoś dnia z kolejnej wojskowej misji, zastał swoją ukochaną okolicę Heidelberg Street spętaną okowami strachu. Wprawdzie to on wracał z wojny, lecz miał nieodparte wrażenie, jakby dopiero na nią przyjechał. Porachunki gangów. Spacerujący chodnikami dilerzy narkotyków. Coraz liczniej opuszczane przez rodowitych mieszkańców domy. Strach, niepewność, panika. Przedłużające się noce lęku. Guyton nie chciał dłużej żyć w takim pejzażu wojny. Postanowił to zmienić. Chwycił więc za pędzel i zaczął tworzyć.

Dziś jego Heidelberg Project to trzecie pod względem liczby odwiedzin miejsce na całej kulturalnej mapie Detroit. Rocznie przybywa tu 270 tysięcy ludzi. Z ponad 140 krajów. Zatęchła od wewnętrznej wojny domowej dzielnica zaczęła odżywać.

I choć można mieć wątpliwości co do obiektywnej jakości zaproponowanej przez Guytona sztuki, niewątpliwie osiągnął on poniekąd swój cel. Zapomniane przez miasto miejsce znów zaczęło bić turystycznym pulsem. Wraz z coraz większą liczbą gości, gangi zaczęły pojawiać się w okolicy z coraz mniejszą śmiałością. I choć, zwłaszcza nocą, nadal nie jest tu bezpiecznie, to jednak wizyta przy Heidelberg Street nie musi przyprawiać przejezdnych o aż takie palpitacje serca, jak gdzie indziej w Detroit. Choćby takie, jakie mogły towarzy-

eprasa.pl c414db9aa6

Centrum miasta bardzo wyraźnie różni się od tego, co możemy zobaczyć w pozostałych dzielnicach Detroit

Nigdy w historii największego miasta stanu Michigan nie widziano takiego rozwarstwienia społecznego

szyć wszystkim tym, którzy swego czasu lubowali się w odwiedzaniu nocą kolejowego dworca Detroit.

Dworzec do renowacji

– Słyszałeś o „devil nights"? – Po tonie głosu George zgaduję, że czeka mnie kolejna mrożąca krew w żyłach historia jego ojczystego miasta.

– Nie... – odpowiadam zgodnie z prawdą. – I nie wiem, czy na pewno chcę o tym słuchać.

– Masz już dość tych historii? – uśmiecha się mój rozmówca.

– Jak ja mam swobodnie chodzić po twoim mieście, jak mnie tak do niego nastawiasz? – Spoglądam w oczy Georga, żeby sprawdzić, czy rozumie moje intencje.

– Nie przejmuj się. Centrum Detroit to już inna rzeczywistość. Bogate i wystawne knajpy. Wprawdzie nadal pozamykane z powodu covidu, ale w czasach pozapandemicznych bywało tu całkiem przyjemnie. Wysokie biurowce. I dobrze ubrani ludzie. Tam nie ma się czego bać.

– Ale póki co, jak wnioskuję, wieziesz mnie gdzieś indziej? – zgaduję, widząc, że za oknami próżno szukać czystego i wystawnego fragmentu metropolii. Przy okazji głęboko wzdycham, bo zarzucony przez Georga temat słynnych „diabelskich nocy", w czasie których młodociani przestępcy podpalali naraz kilkaset budynków Detroit, nie napawa optymizmem. Zresztą, władze miasta dość brutalnie i stanowczo wzięły się za niebezpieczny proceder i od dwóch lat każdego 30 października wprowadzają godzinę policyjną obowiązującą dla młodzieży w wieku 15–16 lat w godzinach od 20 do 6 rano. Ponadto na ulicy nie można przebywać 17-latkom pozbawionym pełnoletniego prawnego towarzysza. Chcąc pomóc staraniom miasta posterunki straży pożarnej oraz policji zaczęły też organizować tzw. anielskie noce. Wszystko po to, aby odwrócić uwagę od tragicznej w skutkach chorej tradycji podpalania w noc przed Halloween.

– Czy wiozę cię gdzie indziej? A to się zdziwisz, Stefan. Od Downtown dzieli nas w tej chwili nie więcej jak 5 minutek jazdy.

Jadąc dwupasmową Michigan Avenue rzeczywiście można się nieco zdziwić. Przed nami widać już strzelające w niebo przeszklone drapacze chmur. Wkoło nas jest jednak typowo postindustrialna dzielnica przemysłowa. Odrapane budynki opuszczonych magazynów. Puste place otoczone drucianymi siatkami.

– Jesteśmy na miejscu – uśmiecha się George, parkując auto na jednym z podobnych betonowych placów.

– Czyli gdzie? – dopytuję niepewnie.

– Spójrz w prawo.

Posłusznie spoglądam przez szybę auta. Przed nami gigantyczny szary budynek. W całości zrujnowany. Powybijane okna. Odrapana elewacja. Leżący u stóp budynku tynk. I trzy wielkie bramy wejściowe. Niczym do wystawnego pałacu.

– To dworzec kolejowy – objaśnia George. – Oczywiście, jak możesz się domyślać, od lat niedziałający.

– Robi wrażenie, że tak powiem... dość przytłaczające.

– Bo takie ma być. Takiego chcą filmowcy.

– Nie rozumiem...

eprasa.pl c414db9aa6

Postartystyczna wizja emerytowanego żołnierza Tyreego Guytona nie musi wszystkich zachwycać

– Nakręcili tu dziesiątki filmów – wyjaśnia George. – Za wielu już jednak nie nakręcą.

– A co? Planują wyburzyć?

– Wprost przeciwnie. Ford to kupił i obiecuje renowację. Mówią, że pandemia wprawdzie nieco pokrzyżowała im plany, ale nadal celują w końcówkę roku 2022 z oddaniem całości projektu.

Światełko (bez)nadziei

Podobno Henrykowi Sienkiewiczowi bardzo podobało się Detroit. To było jednak prawie 150 lat temu. W przypadku największego miasta stanu Michigan czas nie działał już na korzyść. Współczesne Detroit to miasto, w którym trudno poczuć się dobrze. Trudno oddychać pełną piersią. Cieszyć się bezpiecznym życiem. Planować przyszłość.

Wpierw olbrzymie kryzysy związane z upadkiem największych przedsiębiorstw. Potem walka z gangami. Kryzys na rynku nieruchomości. A teraz pandemia. Owszem, są tacy, którym w Detroit się powodzi. Kupują kolejne domy, zamawiają swoje ulubione stoliki w najdroższych restauracjach, chodzą na jogging i z pewnością w głosie stwierdzają, że to najlepsze miejsce do życia na Ziemi. Tych kilkanaście dni spędzonych z George'em nie pozwala mi jednak uwierzyć, aby taka nowobogacka opinia o ich mieście była dla większości mieszkańców Detroit tą najbardziej wiarygodną.

Zupełnie niedawno mój znajomy był świadkiem napadu na pobliskiej stacji benzynowej. Mężczyzna ze strzelbą w ręku żądał od kasjera gotówki. Ten pomimo kuloodpornej szyby, jaka dzieliła go od przestępcy, oddał wszystko, co miał w kasie. Podobno od czasu do czasu słychać na ulicy w mniejszych dzielnicach Detroit strzały. Często są to po prostu głupie zabawy młodzieńców strzelających z samochodów na oślep przed siebie.

– W tym roku do Ameryki przyjedzie 11 mln nowych imigrantów. Władza już zapowiedziała, że da im azyl – George bezradnie zwiesza głowę. – Nie w takim kraju planowałem spędzić emeryturę... Niedawno urodziła mi się wnuczka. Mnie te zmiany postmarksistowskiej lewicy może jeszcze tak nie dotkną. Ale ją już na pewno. Gdy tylko o tym myślę, od razu czuję taką wielką bezradność.

– Będziesz chciał stąd wyjechać?

– Niby gdzie? Przecież u nas i tak nie jest jeszcze najgorzej. W pobliskim Chicago gangi wyżynają się znacznie częściej niż w Detroit. Tam są już dzielnice, gdzie policja po prostu nie wjeżdża. U nas póki co wjeżdża wszędzie. Nawet ten nasz burmistrz taki sensowny się wydaje. Wprawdzie czarnoskóry, ale tym zadymiarzom z Black Lives Matter dał ostatnio ostro popalić. U nas nie zdemolowali miasta. Naprawdę – zawiesza na chwilę głos. – W tym moim Detroit nie jest jeszcze najgorzej.

– Uff... Nawet nie wiesz, jak się cieszę z tego, co powiedziałeś. Będę miał cokolwiek pozytywnego w tym reportażu – uśmiecham się. – Czyli jest dla Detroit jakaś nadzieja?

– Stefan, to że są przebłyski światełka, nie znaczy, że od razu widać nadzieję. Niestety, ja dla Stanów nadziei jako takiej już nie widzę. ■

eprasa.pl c414db9aa6

Olga Doleśniak-Harczuk

Teoria Untergangu, praktyka chaosu

Kiedy Angela Merkel i premierzy landów po całonocnej i ponoć burzliwej naradzie ogłosili 23 marca wielkanocny lockdown, Niemcy zwątpili po raz kolejny. Zwykli obywatele w to, że państwo jeszcze potrafi zaproponować cokolwiek innego poza zamykaniem ich na cztery spusty, dziennikarze w to, że rządzący mają jakikolwiek plan, ludzie Kościoła w szanse komunikacji z rządem, który za zamkniętymi drzwiami decyduje o tym, że ...Wielkiej Soboty tak po prostu nie będzie.

Der Untergang – to tego słowa użyje Niemiec, mówiąc o upadku. Dla każdego upadek kojarzy się z czymś innym – dla Zielonych jest nim zagrożenie klimatyczne, dla konserwatystów – upadek moralności czy niknąca rola religii, dla sympatyków Alternatywy dla Niemiec – polityka imigracyjna rządu czy brak bardziej zdecydowanej reakcji organów ścigania na przestępczy półświatek przestępczych klanów. Każda grupa ma pulę własnych lęków i teorii, łączy je wizja rychłego upadku z tych czy innych przyczyn.

Upadek czyha

Wystarczy wizyta na stronie perlentaucher.de. Portal dla książkowych poławiaczy pereł, kto lubi czytać, znajdzie tu wszystko. Tylko w ostatniej dekadzie niemieccy autorzy pisali o Untergangu: cywilizacji zachodu, Nibelungów, syjonizmu, świata islamskiego, sukienek wieczorowych, Republiki Rzymskiej, Germanów, Niemiec jako takich, dobrobytu odziedziczonego po cudzie gospodarczym, gospodarki, euro, demokracji. Żadna z tych książek nawet nie leżała przy spenglerowskim „Der

eprasa.pl c414db9aa6

Untergang des Abendlandes...." (pl. „Zmierzch Zachodu...") i jeżeli krytycy Spenglera potrafili zepchnąć jego tezy w rejony „astrologii historycznej", to ciekawe, jak by dziś przyjęli pisane na kolanie opasłe tomy z upadkiem w tytule.

Od 2015 roku Niemcy upadali pod naporem kryzysu uchodźczego (abstrahując od zakusów, by podzielić się nim z resztą państw UE), wcześniej mieli stracić na przyjęciu euro, pamiętam profesorów niemieckich, związanych jeszcze siedem, osiem lat temu z AfD, którzy w swoich książkach wysyłali całe państwo niemieckie na kozetkę, przypisując mu zachwianie percepcji. Najsłynniejszy i najbardziej medialny czarnowidz Niemiec, były już senator SPD, Thilo Sarrazin, w sierpniu ubiegłego roku wydał kolejną książkę z serii katastroficznych, w której wraca do tematu polityki imigracyjnej. Z uwagi na czas powstania, w książce pojawia się również wątek koronakryzysu, ale nie to oczywiście decyduje o pewnym niesmaku, który pozostaje po jej lekturze. Sarrazin miewa lepsze i gorsze publikacje, część też reprodukuje, jedne są logiczne, inne giną w natłoku selektywnie dobieranych argumentów, ale jego książki cieszą się dużym zainteresowaniem i mają potencjał skandalotwórczy. Ma bowiem Sarrazin opinię bezkompromisowego i bezczelnego. Szkoda, że pisząc o niekontrolowanej imigracji zalewającej Niemcy jako jedno z rozwiązań „problemu demograficznego" proponuje zwiększenie kontroli urodzin i dziwi się, że w związku z postępującym zagrożeniem dla klimatu generowanym przez samych mieszkańców globu, temat został zarzucony w szerszej debacie publicznej. Chwytanie się argumentu klimatycznego i łączenie go z zawoalowanym postulatem depopulacji przekreśla nawet najbardziej rozsądną krytykę polityki imigracyjnej rządu. Nikt chyba bardziej nie zaszkodził Sarrazinowi niż on sam. Jego upadkologia byłaby ciekawsza bez uciekania się do rewolucyjnego „mniej ludzi, więcej drzew!".

Zmęczenie materiału

Niemiecki dziennikarz Ullrich Fichtner 14 marca przebił się ze swoim upadkowym przesłaniem do polskich mediów. A stało się to za sprawą opublikowanego na łamach hamburskiego „Spiegla" artykułu, w którym Fichtner pisze tak: „[...] u schyłku ery Angeli Merkel w Niemczech dostrzec można zalążki klęski. W kluczowych dziedzinach kraj znajduje się na zaledwie przeciętnym poziomie. Państwo jest dysfunkcjonalne, a społeczeństwo zastygłe w dobrobycie". Dla mnie jako dla czytelnika tego artykułu najciekawsze było porównanie dzisiejszych Niemiec do Imperium Osmańskiego, które zamiast w 1550 roku skorzystać na wynalezionej przez uczonego Tak al Dina turbinie parowej, sprowadziło jej użyteczność do możliwości przewracania mięsa na rożnie. Fichtner jest przekonany, że syte i opływające w dostatek Imperium Osmańskie nie było zainteresowane wdrażaniem parowej innowacji i przespało swój czas, by potem z hukiem się rozlecieć. Tak jak w domyśle – dzisiejsze Niemcy, które zamiast już lata temu inwestować w elektromobilność i cyfryzację, jak lew walczyły o honor diesla i analogową rzeczywistość. Autor tekstu winni przy tym Angelę Merkel nie za brak wiedzy, lecz za kompletny deficyt entuzjazmu, by z niej korzystać, by ją z pasją promować. Ale nie oskarża jedynie Merkel, wskazuje palcem na cały system, kiedy pisze chociażby o „federalizmie jako gwarancji prowincjalnej małostkowości".

Dziewięć dni później inny autor „Spiegla", Markus Feldenkirchen, zrugał Angelę Merkel i jej rząd za chaos w polityce koronakryzysowej. Feldenkirchen uczynił to w duchu Untergangu. Już na wstępie stwierdził: „Polityka niemiecka tłucze się od jednego do drugiego szczytu koronowego. Ledwie działa, jedynie reaguje, a przyjęta hierarchia priorytetów jest skandalem". Autor pisze o infantylnym posiedzeniu rządu i premierów landu z 22 na 23 marca, o tym, że omawiano podczas niego każdy szczegół życia obywateli w reżimie sanitarnym, poza najważniejszym: strategią szczepień i testów. Nie atakuje rządu za kolejny lockdown, lecz za to, że na skutek fatalnej polityki ostatnich miesięcy zapracował sobie na brak alternatywy dla tegoż lockdownu. Frustracja, irytacja, zdenerwowanie. We wszystkich mediach, bez wyjątku. I prztyczek w nos od Szwajcarów. „Neue Zürcher Zeitung", komentując wielkanocny lockdown zaordynowany Niemcom, stwierdza: „Wynik rządowych obrad jest haniebny. Swoimi decyzjami rząd Niemiec kapituluje przed rozsądkiem. Jeżeli zamierzano zapobiec chomikowaniu żywności i zbiorowiskom w supermarketach, to wszystko będzie teraz na opak: zamknięcie supermarketów na święta zmusza obywateli do robienia zapasów. Nie trzeba mieć szklanej kuli, by przewidzieć te tłumy w Wielki Piątek. To wynik celowego działania czy błędu?".

Nie wszystko można odwołać

Błąd czy nie, wiadomo już, że Kościół nie został wtajemniczony w plany rządu i 23 marca biskup Georg Bätzing wyraził tym faktem zdumienie w mediach społecznościowych. Takie czasy mało eleganckie. Biskup dowiaduje się z mediów, że rząd „odwołał Wielkanoc". Tylko... nie da się odwołać Wielkanocy. To trochę jak z tym włosem, na którym u Bułhakowa zawieszono życie. Można odwołać ministra, można podziękować pani kanclerz za 16 lat rządów, różnych ludzi można odwołać. Zmartwychwstania nie. A zatem na złość wszelkim Untergangom: radosnych świąt! ■

eprasa.pl c414db9aa6

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Ukraina–Chiny

Ze względu na strategiczne znaczenie dla obrony narodowej Ukraina planuje znacjonalizować Motor Sicz, producenta silników lotniczych, którego większościowym udziałowcem są Chiny. Chiny stoją w obliczu braku wysokiej jakości silników do napędzania myśliwców piątej generacji J-20. Problem ten miało rozwiązać przejęcie Motor Sicz, co równałoby się z przeniesieniem zaawansowanej technologii do Pekinu.

Chińskiej inwestycji w Motor Sicz sprzeciwiał się w ostatnich latach Waszyngton. W sierpniu 2020 roku do Kijowa udał się ówczesny doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa, John Bolton. „Militarne i wrażliwe technologie nie powinny docierać do wrogów ani potencjalnych wrogów. Informujemy przyjaciół i partnerów o niebezpieczeństwie, jakie niosą ze sobą chińskie inwestycje" – mówił wtedy Bolton.

Ale warto zauważyć, że w ostatnim okresie ożywiły się też relacje Ukrainy z Japonią, która liczy na wstrzymanie eksportu ukraińskiej technologii wojskowej do Chin.

W styczniu bieżącego roku chińska firma lotnicza Skyrizon, która starała się przejąć kontrolę nad Motor Sicz, znalazła się na amerykańskiej czarnej liście ze względu na jej związki z Chińską Armią Ludowo-Wyzwoleńczą. Dwa tygodnie później prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski podpisał dekret nakładający sankcje na cztery chińskie firmy, w tym Skyrizon.

W grudniu 2020 roku inwestorzy ze Skyrizon wnieśli przeciwko Ukrainie sprawę arbitrażową, oskarżając Kijów o próbę wywłaszczenia inwestycji w Motor Sicz po tym, jak rząd zamroził jej chińskie udziały w spółce w 2018 roku.

Na decyzję o nacjonalizacji Motor Sicz, 12 marca bieżącego roku zareagował rzecznik chińskiego MSZ Zhao Lijian, stwierdzając, że Chiny wymagają od Ukrainy ochrony praw i interesów chińskich firm i inwestorów, a także odpowiedniego załatwiania powiązanych z tym kwestii. Na to natychmiast odpowiedział sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Ołeksij Daniłow. Według Daniłowa Ukraina „uznaje tylko te inwestycje zagraniczne, które są przekazywane przez rachunki bankowe zlokalizowane na Ukrainie za pośrednictwem formalnych kanałów. W kwestii inwestorów zagranicznych, którzy używają niejasnych i skrytych metod, przez spółki offshore zlokalizowane na przykład na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, o których niewiele wiadomo, Ukraina nie uzna podobnych inwestycji i transferów".

Na Ukrainie mówi się o możliwych działaniach odwetowych ze strony Chin. Raport wydany przez Narodowe Biuro Statystyczne Ukrainy w lutym stwierdził, że w ubiegłym roku Chiny wyprzedziły Rosję jako największego partnera handlowego Ukrainy. 60 procent ukraińskiego eksportu rudy żelaza, a także eksportu wielu produktów rolnych, takich jak kukurydza i olej słonecznikowy, jest silnie uzależniony od rynku chińskiego.

Litwa–Chiny

Litwa postanowiła wycofać się ze współpracy z Chinami w formacie 17+1. Mantas Adomėnas, wiceszef MSZ Litwy, w wywiadzie dla amerykańskiego serwisu Axios stwierdził, że jego kraj podjął taką decyzję, bo „zdaliśmy sobie sprawę, że 17+1 nie spełnia oczekiwań. Był to format, który nie zapewnia żadnych korzyści ekonomicznych, jakie obiecywał". Ponadto, według Adomėnasa, spotkania w ramach formatu odbywały się „zawsze z inicjatywy oraz na warunkach i programie zaproponowanym przez Chiny. W tym formacie wyraźnie brakowało wzajemności".

eprasa.pl c414db9aa6

Litwa doszła do wniosku, że w relacjach z Chinami ważne jest coś więcej niż rzekome korzyści gospodarcze.

„Kraje demokratyczne rozważają bardziej realistyczne podejście do Chin" – powiedział Adomėnas. „Prawa człowieka i wartości zdecydowanie nie były przedmiotem dyskusji [w 17+1], a wcześniejsze próby skierowania dyskusji na ten obszar spotkały się z brakiem odpowiedzi". „Uważamy, że jeśli chcemy zachować charakter i wartości początkowo przyświecające UE, do której przystąpiliśmy prawie 17 lat temu, musimy znaleźć sposób, aby przypomnieć sobie, naszym partnerom i konkurentom, że w tej Unii nie chodzi tylko o interes gospodarczy i ochronę praw do inwestycji, lecz także o pewną wizję wolności, praw człowieka i praworządności". „Jako Litwini postrzegamy, że warunkiem naszego przetrwania jest porządek międzynarodowy oparty na rządach prawa i dążeniu do rozprzestrzeniania się demokracji" – powiedział Adomėnas. „Nie bylibyśmy w stanie wyrwać się spod rządów Związku Radzieckiego, gdyby Zachód nie dążył do zwiększenia obszaru demokracji. Musimy więc wrócić do tej gry".

Litwa zapowiedziała także, że zamierza otworzyć swoje przedstawicielstwo na Tajwanie.

▶ Chiny–Estonia

W połowie marca bieżącego roku estoński sąd skazał na trzy lata więzienia za szpiegostwo na rzecz komunistycznych Chin obywatela Estonii pracującego w instytucji badawczej NATO zajmującej się badaniami na morzu i w temacie łodzi podwodnych.

Do tej pory KaPo, estońska służba kontrwywiadu, była chwalona za sukcesy w łapaniu szpiegów rekrutowanych i kierowanych przez Rosję. Jednak od lat też ostrzegała ona przed rosnącym zagrożeniem ze strony Chin.

Według Aleksandra Tootsa, zastępcy dyrektora KaPo, estoński naukowiec Tarmo Kõuts został zwerbowany w 2018 roku przez Chińskie Biuro Wywiadu Departamentu Sztabu Połączonego Centralnej Komisji Wojskowej, będącej agencją wywiadu wojskowego ChRL. Wraz ze wspólnikiem, który nie został jeszcze osądzony w sądzie, został aresztowany 9 września 2020 roku. Zatrzymanie odbyło się bez rozgłosu i bez informacji o tej sprawie w estońskich mediach.

Kõuts został zwerbowany na terytorium Chin, a motywowały go pieniądze i potrzeba uznania.

Według Aleksandra Tootsa, Kõuts za swoją działalność szpiegowską otrzymywał od swoich chińskich opiekunów płatności w gotówce, a także płatne wycieczki do różnych krajów azjatyckich, w tym luksusowe zakwaterowanie i kolacje w restauracjach wyróżnionych gwiazdką Michelin. Obsługujący go agenci wywiadu ChRL działali pod osłoną think tanku.

Inna Ombler, prokurator prowadząca sprawę, potwierdziła, że Kõuts zarobił u Chińczyków około 17 tys. euro.

Kõuts, który uzyskał doktorat z fizyki środowiska w 1999 roku, przez lata pracował w Instytucie Morskim Politechniki w Tallinie, gdzie specjalizował się w geofizyce i oceanografii operacyjnej. Był również członkiem grupy naukowej, która w 2002 roku otrzymała Estońską Narodową Nagrodę Naukową za znalezienie najlepszej lokalizacji portu morskiego na wyspie Sarema. Chociaż oficjalnie port zaprojektowany był do przyjmowania statków wycieczkowych, port musiał być w stanie przyjmować też okręty NATO.

Od 2006 roku Kõuts pracował dla sektora obronnego. Został mianowany członkiem Komitetu Naukowego Estońskiego Ministerstwa Obrony, który nadzoruje krajowe inicjatywy badawczo-rozwojowe w dziedzinie wojskowości. W ramach tego projektu był również członkiem Komitetu Naukowego Centrum Badań i Eksperymentów Morskich NATO (CMRE) z siedzibą w La Spezia we Włoszech, a w latach 2018–2020 pełnił funkcję wiceprezesa tej organizacji. Według strony internetowej CMRE, instytucja ta „prowadzi istotne, najnowocześniejsze badania naukowe w dziedzinie oceanologii, modelowania i symulacji, akustyki i innych dyscyplin".

Rozpoczęcie pracy przez estońskiego naukowca dla CMRE łączy się z początkiem jego działalności szpiegowskiej na rzecz Chin. Jego rola w centrum NATO dała Kõutsowi bezpośredni dostęp do tajnego wywiadu wojskowego Estonii i NATO. W chwili aresztowania posiadał certyfikaty bezpieczeństwa państwowego, a także NATO. Przez trzy lata pracy dla chińskiego wywiadu wojskowego Kõuts ograniczył swoją działalność szpiegowską do przekazywania obserwacji i uwag na temat swojej pracy na najwyższym szczeblu, ale według KaPo nie przekazał jeszcze żadnych poufnych informacji wojskowych.

W ciągu ostatnich trzech lat KaPo i Estońska Służba Wywiadowcza (Välisluureamet), często alarmowały o rosnącym zagrożeniu ze strony chińskiego wywiadu. W ubiegłym roku Välisluureamet ostrzegł, że Estończycy, którzy podróżują do Chin, mogą być celami operacji wywiadu ChRL albo być poddani rekrutacji. Politycy, urzędnicy państwowi i naukowcy posiadający certyfikaty bezpieczeństwa lub związani z obronnością zostali wskazani jako potencjalne cele rekrutacyjne chińskiego wywiadu.

KaPo po raz pierwszy wykrył ożywienie się działalności chińskich służb wywiadowczych po przystąpieniu Estonii do UE i NATO w 2004 roku. Ostatnio chiński wywiad jest szczególnie zainteresowany „decyzjami w kwestiach globalnych, czy to dotyczących Arktyki, klimatu czy handlu". ■

eprasa.pl c414db9aa6

TŁUMACZENIE
Antoni Rybczyński

Rosja w przeddzień klęski w Libii

Tekst został opublikowany na portalu Riddle 8 marca. Jego autorami są Anton Mardaszow, ekspert Rosyjskiej Rady Spraw Międzynarodowych (RIAC), oraz Kiryłł Siemionow, szef Centrum Studiów Islamskich w Instytucie Innowacyjnego Rozwoju.

W 10. rocznicę wybuchu wojny domowej w Libii pojawiła się dla niej szansa na osiągnięcie prawdziwego porozumienia politycznego. Pod naciskiem Waszyngtonu, który po długiej zwłoce wreszcie stanowczo zajął się tą sprawą, na początku lutego Libijczycy wybrali w Genewie nowy zjednoczony rząd przejściowy dla swojego kraju. Prezydent elekt Rady Prezydenckiej Mohamed al-Menfi i premier Abdul Hamid Dbeibeh otrzymali zadanie przygotowania i przeprowadzenia wyborów ogólnokrajowych 24 grudnia 2021 roku. Choć każde polityczne porozumienie może zostać zniszczone nawet w ostatniej chwili, jest jednak powód, by wierzyć, że program odbudowy kraju zostanie doprowadzony do końca. Nowy profesjonalny zespół w administracji Joego Bidena zademonstrował swą gotowość do wywierania mocniejszej presji na graczy, zaś sytuacja w Libii w ciągu ostatniego roku zmieniła się dramatycznie: po swojej niesławnej kampanii przeciwko Trypolisowi, Chalifa Haftar [marszałek Libijskiej Armii Narodowej, ogłosił się władcą całego kraju – przyp. red. NP] stał się tak „toksyczny", że został skutecznie odrzucony przez Egipt, kluczowego gracza w regionie. Haftar nie jest już postrzegany jako „nowy Kadafi", zaś perspektywa procesu samozwańczego marszałka polnego za zbrodnie popełnione przez jego tzw. Libijską Armię Narodową w Tarhounie stała się realna.

▶ Kreml zaprzecza

Wybór al-Menfiego i Dbeibeha okazał się niespodzianką zarówno dla Rosji, jak i Turcji. Moskwa i Ankara najwyraźniej wierzyły w wybór ludzi z listy uzgodnionej z Kairem, na czele której znajdowali się Fathi Bashagha, czyli minister spraw wewnętrznych Rządu Jedności Narodowej w Trypolisie, oraz Aguila Saleh Issa, przewodniczący libijskiej Izby Reprezentantów ze wschodu kraju. Dla Moskwy wyniki głosowania delegatów libijskich w Szwajcarii nie są jeszcze sygnałem upadku. Jak już pisaliśmy na Riddle, rosyjskie władze próbowały, przy różnych okazjach, udawać równy dystans i budować kontakty z różnymi libijskimi siłami, także wrogimi Haftarowi Trypolisem i Misratą. Wysiłki te spotkały się z zainteresowaniem. Rosyjska aktywność wojskowa, pod postacią interesów przedsiębiorstw i ich najemniczych struktur, takich jak prywatna spółka wojskowa Wagnera, dla róż-

eprasa.pl c414db9aa6

nych graczy na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej jest jedną z metod dywersyfikacji ich kontaktów i czerpania korzyści, nawet jeśli mają tylko taktyczny charakter. Zaprzeczanie takiej aktywności umożliwia trzymanie uchylonych drzwi dla współpracy z siłami, przeciwko którym walczą najemnicy. Choć nie wdaje się to bardzo logicznym schematem, to faktycznie działa na korzyść Moskwy, ponieważ struktury rosyjskiego biznesu także rywalizują między sobą, czasem wspierając nieprzewidywalnego Haftara, a innym razem dając wsparcie zdystansowanemu Aguili Salehowi, politycznemu bankrutowi, synowi Kadafiego – Saifowi al-Islamowi czy nawet ich przeciwnikowi Fayezowi al-Sarrajowi. Podobnie jak inni gracze w regionie, Moskwa oczekuje, że jej kontakty ze wszystkimi stronami „wypalą" po wyborach w grudniu, zaś całe libijskie doświadczenie z najemnikami i pomocą dla Haftara nie okaże się bezużyteczne: pozwoli Moskwie umocnić się na libijskiej ziemi jako siła, z którą należy się liczyć.

Problem w tym, że te kalkulacje mają jedną poważną wadę: w przypadku Moskwy nie da się mówić o legalnej obecności w Libii. Aktywne loty rosyjskiego wojskowego lotnictwa transportowego do Libii, aktywność rozpoznawcza sił specjalnych z egipskiego terytorium, naprawianie pojazdów opancerzonych i samolotów, oczywisty fortel z dostarczeniem Haftarowi syryjskich myśliwców MiG-29 (które zostały zastąpione w siłach powietrznych Asada rosyjskimi myśliwcami), transfer bojowników z różnych proasadowskich formacji, a nawet bojowników z Państwa Islamskiego (zakazanego w Rosji), których złapano w Syrii i którym, jak wynika z pewnych doniesień, sugerowano decyzję o wyprawieniu się do Libii – wszystkim tym działaniom Kreml oficjalnie zaprzeczał, aby uniknąć oskarżeń o naruszanie embarga. Nawet bezzałogowe aparaty latające wykonujące działania rozpoznawcze dostarczone z Rosji od Libii „przerobiono" na sprzęt, którego oficjalnie nie używa się w rosyjskim wojsku. Tak naprawdę Moskwa opiera się na finansowym wsparciu Zjednoczonych Emiratów Arabskich w Libii i nawet gdyby chciała mieć tam oficjalne wojskowe obiekty, znalazłaby się w takiej samej sytuacji jak sudańscy czy czadyjscy najemnicy, którzy będą musieli opuścić kraj w przypadku wejścia w życie odpowiedniego porozumienia politycznego (obecnie do przeforsowania takowego dążą USA).

Kiedy obrona Haftara w końcu upadła podczas udanej kontrofensywy trypolitańczyków w 2020 roku, aparaty lokalnych telefonów komórkowych utrwaliły niemałe ilości rosyjskiego sprzętu wojskowego i uzbrojenia, o którym wiadomo, że ani nie zostało dostarczone niegdyś reżimowi Kadafiego, ani nie trafiło do sąsiednich krajów. To system walki radioelektronicznej Krasucha, samobieżne haubice Msta-B, pojazdy opancerzone Tigr i Ural, przeciwlotnicze systemy rakietowe Pancyr-S1 i systemy działek osadzonych na Kamazach-6560. Jakkolwiek część tego sprzętu mogła być porzucona przez rosyjskich najemników wracających do Syrii, to poważne systemy obrony powietrznej, jak Pancyr-S1, mogły być dostarczone jedynie z zapasów rosyjskich sił zbrojnych lub na specjalny rozkaz (mogły być też wypożyczone od armii syryjskiej). W 2020 roku siły rosyjskich najemników, podobnie jak wspierający ich Syryjczycy, stacjonowały w powietrznej bazie Al-Watiya, w Bani Walid i w Tarhounie. Jeśli zsumować informacje z różnych źródeł, teraz są rozmieszczone w Syrcie pod rozkazami Brygady Qaniego z Tarhouny, w bazie powietrznej Al-Jufra, na polu naftowym El Sharara, w bazach powietrznych Brak i Al-Khadim (główne miejsce obecności sił ZEA), na terenach Al-Rajma wiernych Haftarowi. Problem polega na tym, że choć rosyjscy najemnicy w Libii nie mogą ignorować instrukcji z Moskwy, nie mogą też pozostawać obojętni wobec stanowiska ZEA, które odgrywają kluczową rolę w organizowaniu działalności różnych międzynarodowych oddziałów najemniczych. Ogólnie mówiąc, trudno jest określić obecnie, kto naprawdę podejmuje decyzje dotyczące działań prywatnych spółek wojskowych i do kogo należy ostatnie słowo. Możliwe, że do Abu Dhabi. Władze Emiratów podobno próbowały przerzucić baterię amerykańskich Patriotów do Libii po śmierci ich oficerów, którzy kierowali systemami Pancyr-S1 zakupionymi od Rosji.

▶ Co będzie dalej?

Po lutowych wyborach [delegatów w Genewie – przyp. tłum.] Rosja i Zjednoczone Emiraty Arabskie znalazły się w podobnej sytuacji: ważne jest dla nich utrzymanie wpływu w regionie Syrta-Jufra nawet po tym, jak nowy rząd ruszył do Syrty. Nie można wykluczyć, że Zjednoczone Emiraty Arabskie w końcu spróbują „podpalić świat", co będzie łatwiejsze niż wymyślanie pomysłów na promocję Aguili Saleha, który dramatycznie traci wpływy. Aby rosyjski sektor bezpieczeństwa zale-

eprasa.pl c414db9aa6

gitymizował swoją obecność, wydaje się logicznym osiągnięcie porozumienia tak szybko, jak to możliwe, co najmniej na wschodzie Libii, gdzie regularny wojskowy personel może oficjalnie koegzystować z „cywilnymi instruktorami" (Moskwa robi to samo w Republice Środkowoafrykańskiej). Rosyjski MSZ i nawet Ministerstwo Przemysłu i Handlu ostatnio zintensyfikowały kontakty z politykami z zachodniej Libii. Z kolei wielu polityków z Trypolisu wyraziło zainteresowanie współpracą z Rosją. Odnosi się to też do jednego z najbardziej wpływowych polityków, Fathiego Bashaghy, szefa MSW Rządu Jedności Narodowej, który ma duże szanse na elekcję na prezydenta w grudniu 2021 roku. Z tego powodu nie można wykluczyć, że Rosja może szukać zrozumienia dla sformalizowania swej obecności w Libii, w tym obecności wojskowej, poprzez uzyskanie zgody nowych libijskich władz. Jednocześnie jeśli rosyjskie spółki naftowe mają kontrakty w Libii, to może umożliwić Rosji zalegalizowanie obecności prywatnych spółek wojskowych, na przykład w celu organizacji ochrony tych instalacji. Libijska Narodowa Korporacja Naftowa (NOC) ma poważne problemy z naborem do Straży Instalacji Naftowych, która powinna chronić złoża, ale zamiast tego ciągle się burzy i blokuje produkcję ropy. Powinno się też pamiętać, że Rosja ma już legalne doświadczenia w używaniu oficjalnych prywatnych spółek wojskowych w Libii. Jedną z nich była RSB Group, która ma też kontrakty na ochronę libijskich ambasad, m.in. na Białorusi. Ankara, która również używa najemników (bojowników syryjskiej opozycji), ma mniej problemów z formalizacją jej obecności: turecka armia jest obecna w zachodniej Libii na mocy formalnych porozumień rządowych. Obecne i planowane projekty ekonomiczne władz tureckich albo są związane z europejskim biznesem, albo mają tak dużą skalę, że nikt ich nie zablokuje. Jedynym potencjalnym wyjątkiem jest strefa ekonomiczna, która powstała na bazie umowy z Rządem Jedności Narodowej al-Sarraja.

Obecny tymczasowy premier Dbeibah, który odpowiadał za sektor budownictwa i usług komunalnych przed wojną, bardzo dobrze zna realia rosyjskiego biznesu, nieprzyzwyczajonego do konkurencji i przetargów. Plotki mówią, że był wśród ludzi, którzy stali za powstaniem Rosyjsko-Libijskiej Rady Biznesu, zaś inne grupy inwestorskie pozostały jedynie na poziomie mocnych zapewnień w czasach Kadafiego. Aczkolwiek są też inni wpływowi gracze na libijskiej scenie, na których Moskwa może polegać, jeśli chodzi o promocję jej interesów, w tym politycznych, wojskowych i gospodarczych. Aguila Sasleh, który wciąż zachowuje jakieś wpływy, wicepremier Rządu Jedności Narodowej Ahmed Maitig i inni politycy z różnych regionów kraju mają bezpośrednie kontakty z Moskwą i są zainteresowani utrzymywaniem dialogu. Nawet Fathi Bashagha wydaje się otwarty na współpracę, choć jest to utrudnione przez wewnętrzną agendę rosyjską: był szefem MSW Libii oskarżanym o przetrzymywanie rosyjskich „socjologów" w Libii. W każdym razie przyszła państwowość libijska promowana przez USA będzie próbowała ograniczyć wachlarz możliwości dla Rosji, ale wielu pozostanie niezadowolonych z procesów politycznych. Najprawdopodobniej Moskwa będzie próbowała wykorzystać te nastroje. Jednak skuteczność tych wysiłków pozostanie kwestią otwartą, ponieważ, jak pokazują doświadczenia z działaniami Rosji po 2014 roku, Moskwa znacznie lepiej radzi sobie z niszczeniem niż budowaniem. ■

Aktywne loty rosyjskiego wojskowego lotnictwa transportowego do Libii, aktywność rozpoznawcza sił specjalnych z egipskiego terytorium, naprawianie pojazdów opancerzonych i samolotów, transfer bojowników z różnych proasadowskich formacji, a nawet bojowników z ISIS – działaniom tym Kreml oficjalnie zaprzeczał, aby uniknąć oskarżeń o naruszanie embarga.

eprasa.pl c414db9aa6

Ryszard Czarnecki

Moja prywatna polskość. Korzenie...

W szkole podstawowej pochłaniałem książki – głównie z dziedziny historii Polski, sportowe i literaturę piękną. W liceum przeczytałem wszystko, co napisali pozytywista Aleksander Głowacki, czyli Bolesław Prus, i romantyk Stefan Żeromski. No, może pozytywistyczny romantyk... Taki dziwny eklektyzm, bo zwykle ci, którzy byli w „partii Prusa", zżymali się na Żeromskiego, i odwrotnie.

Moja Mama uwielbiała Sienkiewicza, a ja na zasadzie młodzieńczego buntu uciekałem od pierwszego polskiego noblisty. Gdy byłem starszy – zmądrzałem. Mama i w tym miała rację.

Gdy patrzę dziś na olbrzymią bibliotekę mojego Ojca, to myślę, że miłość do książki i do ojczystych dziejów to jednak zasługa Mamy. To przecież Mama mnie wychowywała. Z perspektywy czasu coraz bardziej doceniam Jej opowieści o ludziach, historii, Polsce, naszych przodkach. Dla małolata słuchanie o rodzinnych koligacjach Bielińskich (panieńskie nazwiskom Mamy), Zbijewskich (nazwisko rodowe babci Franciszki, czyli matki Mamy), Skórzewskich, Suchorskich, Ruszczyców, bliższej i dalszej rodziny, było bardziej zajmujące niż mogło się wydawać. Opowieść o naszym kuzynie „po kądzieli" Józefie Elsnerze, nauczycielu muzyki samego Chopina. Opowieść o Adamie Chmielowskim – bracie Albercie: Mama z przejęciem rozprawiała, że to duma naszej „familii" i że to był „święty człowiek". Przekornie pytałem, że skoro był „taki święty", to dlaczego Kościół nie ogłosił go świętym. Mama bezradnie milkła i trzeba było blisko dwudziestu lat, aby znowu wyszło „na mamine": nasz kuzyn trafił na ołtarze w 1989 roku.

Ale przecież opowieści o tym, co „było", a mimo to „jest" bliskie, dotyczyły nie tylko naszej rodziny, lecz także różnych wybitnych postaci, bohaterów. Jak kontradmirał Józef Unrug, który wolał być Polakiem niż Niemcem. Jak kapitan Władysław Raginis, który dzielnie wraz ze swoimi żołnierzami opierał się Niemcom w bitwie nad Wizną we wrześniu 1939 roku i nie chcąc pogodzić się z niewolą wysadził się w bunkrze. Takie historie się zapamiętuje, jak widać, na całe życie. Potem się do nich wraca, częściej czy rzadziej, lecz przede wszystkim kształtują stosunek do tego, co nazywa się POLSKOŚCIĄ.

Na moje wychowanie miały też wpływ różne przyszywane „ciocie", które tak naprawdę w jakimś sensie były częścią rodziny. „Ciocia Zofia" pochodziła z Kresów Wschodnich, z Wileńszczyzny i nie traciła czasu, tylko intensywnie uczyła mnie, czym są Związek Sowiecki, komuna i „kacapy". Indoktrynacja musiała być skuteczna, bo pięcioletni Rysio, stając na przystanku PKS-u w miejscowości Jadwisin nad Zalewem Zegrzyńskim, akurat w czasie, gdy – omijając Warszawę – armia ZSRS szła tłumić wolność w Czechosłowacji, zapytany przez spotkaną sąsiadkę, dokąd się z „ciocią Zofią" udaje, odpowiedział: „Jadę do Serocka, żeby zobaczyć, czy Ruskie mają rogi pod hełmami". Sąsiadka rozejrzała się trochę trwożnie: „Ależ Rysiu, oni nie mają żadnych rogów!". I moja odpowiedź: „Mają, tylko chowają".

Brat babci ze strony Mamy, Walery Zbijewski, ochotnik z 1920 roku, strzelec wyborowy, opowiadał mi o wojnie z bolszewikami i jak zastrzelił swojego pierwszego Sowieta. Opowiadał o tym bez triumfalizmu, bez oznak radości, co mnie, brzdąca, dziwiło. Ale nie opowiadał, jak ze swoją żoną Marylą przechowywali żydowską dziewczynkę podczas niemieckiej okupacji. Wujka dziadka Walerego nie było już dawno na świecie, ja reprezentowałem Polskę w Brukseli i Strasburgu, gdy o bohaterstwie babcinego brata mówił sam prezydent USA Barack Obama, asystując przy pośmiertnym wręczaniu dziadkowi Waleremu i jego żonie orderu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata: „Słuchając tych historii musimy zadać sobie pytanie, jak my byśmy zareagowali? Czy pokazalibyśmy miłość Walerego i Maryli Zbijewskich, którzy mogli być zastrzeleni za otwarcie swego domu dla 5-letniej dziewczynki? Ale dbali o nią jak o własne dziecko i zapewnili jej bezpieczeństwo, schronienie i ciepło".

Wszystko to jest we mnie i sprawia, że jestem, jaki jestem. ■

eprasa.pl c414db9aa6

Marcin Wolski

WOJNA POLSKO-POLSKA

Podejrzewam, że przyszły historyk (o ile będą tacy – gigant intelektualny Budka zapowiada bowiem wymiecenie z uniwersytetów teologii i historii) będzie miał ogromną trudność ze zrozumieniem wielkiego podziału Polaków po katastrofie smoleńskiej. Oczywiście wojna istniała wcześniej, ale zimna, dopiero wkrótce po 10 kwietnia kierownictwo PO postanowiło zmienić ją w gorącą. Dlaczego? W pierwszej chwili nastroje Polaków wyznaczał szok, potem klimat żałoby i bycie ponad podziałami – zginęli przecież przedstawiciele wszystkich opcji... Podejrzewam, że właśnie ta solidarność w bólu (od Olejnik po Palikota) przeraziła rządzących, wyśmiewany prezydent po śmierci urósł do potężnego symbolu. Konflikt sprowokowano sprawą poboczną – miejscem pochówku prezydenta – i nigdy nie zapomnę, że pierwszy strzał w tej wojnie oddał Andrzej Wajda – reżyser jak wiadomo wielki, lecz człowiek podły. Dlaczego zdecydowano się na tę niszczącą wojnę i na zdrowy rozum bezsensowną? Wydaje mi się, że doradcy Tuska przekonali go, że w normalnej rywalizacji programowej nie mają czego szukać na polskiej scenie, jednak wyciągając wszystkie najgorsze cechy Polaków – zawiść, lęki wobec rozliczeń, strachy z powodu przeszłości oraz strachy naczelne – Jarosław Kaczyński doprowadzi do niechybnej wojny z Rosją, a PiS u władzy wyrwie III RP z ramion zjednoczonej Europy. To wystarczyło (przy umiejętnym liczeniu głosów) na dwa zwycięstwa parlamentarne i jedno w wyborach prezydenckich. W którymś momencie przestało to działać i obóz antysmoleński poniósł serię spektakularnych porażek, ale podziały między Polakami pozostały. Skądinąd nikt nie starł się o ich zasypanie. Nawet jeśli jakaś nowa siła polityczna startowała z hasłem pojednania, bardzo szybko okazywała się klonem bądź agenturą jednej ze zwaśnionych stron. W dodatku polaryzacja wyklucza dialog. Paradoksalnie znam mnóstwo lemingów w głębi duszy ksenofobów, antysemitów, homofobów i praktykujących chrześcijan, którzy zapamiętale grupują się pod tęczowym i różowym sztandarem antypisu. Dlaczego? Prawdopodobnie nie ma jednej odpowiedzi – postawy kształtują się na lękach, zaszłościach, interesach, czasem wstydzie z powodu własnej pomyłki w diagnozie. Czasem więc są to plamy w życiorysach lub w rodowodach, kiedy idziej grzeszki ekonomiczne, ale również przynależność grupowa, lęk przed „wykluczeniem z towarzystwa" czy pospolitym obciachem. Lub fałszywa duma z powodu przynależności do „lepszej kasty". Oczywiście takie poglądy nie opierają się na jakiejś logicznej kalkulacji, lecz na emocjach. Stąd paniczna niechęć do rzeczowej dyskusji i uciekanie w zaklęcia i inwektywy. Z racjami przeciwnika się nie dyskutuje, bo są obrzydliwe, niemoralne, głupie. I to musi wystarczyć. Człowiek zacietrzewiony widzi tylko to, co chce widzieć. W badaniach podczas wyborów Kwaśniewski versus Krzaklewski, rozsądni na co dzień ludzie,

> Spór o Smoleńsk mogłoby jedynie zakończyć otwarcie rosyjskich archiwów i śledztwo jakiejś bezstronnej międzynarodowej komisji, ale i tak przykryje go o wiele poważniejsza batalia. O tożsamość, o tradycję, o dalszą egzystencję Polaków.

wierzyli, że pseudomagister Olek ma wykształcenie wyższe od doktora Mariana i że jest wyższy fizycznie! Na podobnej zasadzie akolici kurdupla Donalda twierdzą, że przerasta on Jarosława Kaczyńskiego o głowę.

Co do bliższej przyszłości jestem pesymistą – podziały nie znikną. Nawet jeśli wymrze pokolenie głównych antagonistów. Spór o Smoleńsk mogłoby jedynie zakończyć otwarcie rosyjskich archiwów i śledztwo jakiejś bezstronnej międzynarodowej komisji, ale i tak przykryje go o wiele poważniejsza batalia. O tożsamość, o tradycję, o dalszą egzystencję Polaków. Do sporu o zaszłości dołączy wielkie zderzenie cywilizacyjne. Będące elementem nowej wojny światowej, długiej, dramatycznej, z niepewnym efektem... Chyba że któregoś dnia Pan Bóg wreszcie straci cierpliwość! ■

eprasa.pl c414db9aa6

Tomasz Sakiewicz

Od ziemi do bitcoina

Pandemia sprowokowała ponowne pytania o kierunek rozwoju gospodarki. Zgodnie z przewidywaniami, które zresztą publikował również niżej podpisany zarówno na tych łamach, jak i w „Gazecie Polskiej", niebywały rozwój przeżywa przemysł farmaceutyczny i przetwarzania danych. Trochę inaczej sprawdziły się przewidywania dotyczące nieruchomości. W większości krajów Europy Zachodniej ich wartość spada, na przykład na południu Włoch, gdzie osiągnęły relatywnie najniższe ceny od dziesiątek lat. W Polsce jednak nieruchomości nie tanieją, a są miejsca, gdzie ich ceny idą w górę. To, co dzieje się we Włoszech czy innych krajach UE, nie zaskakuje, bo gdy w gospodarce zaczyna brakować pieniędzy, powinny spadać również ceny nieruchomości. Polska stała się tu raczej wyjątkiem ze względu na dobrą sytuację finansów publicznych i niewielkie tylko spadki PKB. Bardzo niskie oprocentowanie stóp procentowych skłania ludzi do poszukiwania opłacalnych miejsc inwestycji. Korzystne w Polsce zawsze było inwestowanie w nieruchomości, a to powoduje, że wielu ludzi zamiast sprzedawać ziemię czy domy, kupuje je. Gdyby kryzys się przedłużył, pewnie ceny przestałyby rosnąć, a wartość rynkowa biurowców zaczęłaby szybko spadać. Zresztą ten sektor wcześniej czy później czeka kryzys. Zmieniliśmy styl pracy, wprowadzając więcej home office, i powierzchnie biurowe są już mniej potrzebne.

Niemniej coraz bardziej zasadnicze staje się pytanie o przyszłość inwestycji. Narodowy Bank Polski kupuje coraz więcej złota, lokując w nim swoje nadwyżki. Złoto w przeciwieństwie do walut nie podlega inflacji. Największym zagrożeniem są ruchy spekulacyjne. Oczywiście istnieje pewien poziom produkcji złota, który zwiększa jego wolumen, ale nie odbiega on zasadniczo od przyrostu populacji i wzrostu PKB. To powoduje jego ogromną stabilność. Wielkie zachwiania wartości złota, na przykład takie jak po odkryciu Ameryki, nam nie grożą.

Ale złoto ma oczywiście swoje ograniczenia. Jego przechowywanie nie jest łatwe, a na pewno jest dosyć kosztowne. Najłatwiej oczywiście inwestować w ziemię. Trochę bardziej skomplikowane jest lokowanie oszczędności przez kupowanie budynków. Inwestycje w ziemię i złoto towarzyszą ludzkości od tysięcy lat. Od kilkuset lat pojawiają się pomysły inwestowania w rzeczy niemające bezpośredniego ekwiwalentu. Same papierowe pieniądze były już sygnałem odchodzenia od parytetu złota. Ale pojawienie się papierów wartościowych zmieniło radykalnie sytuację. Inwestowano coraz bardziej w pewne wyobrażenia i nadzieje, a coraz mniej w konkretne wartości. Szczytem tego typu myślenia jest pojawienie się sztucznego pieniądza, między innymi bitcoinów. To pieniądz oparty na skomplikowanych wzorach matematycznych aktywnie tworzony (wykupywany) przez użytkowników. Jego liczba jest z góry ograniczona. Trudno wymyślić coś bardziej wyrafinowanego.

Polska zaproponowała własne rozwiązania, inwestując bezpośrednio w rodziny, miejsca pracy i infrastrukturę. Niezależnie od tego zawsze będziemy szukać – oczywiście ci, którzy mają takie możliwości – sposobów lokowania swoich oszczędności.

Obecny kryzys zmusza ekonomistów do szukania nietypowych odpowiedzi na bardzo proste pytania. Pojawia się mnóstwo walorów, które mają załatać dziury finansowe, jednocześnie przez to się deprecjonują. Ważny jest oczywiście sposób ich wydawania.

Polska zaproponowała własne rozwiązania, inwestując bezpośrednio w rodziny, miejsca pracy i infrastrukturę. Niezależnie od tego zawsze będziemy szukać – oczywiście ci, którzy mają takie możliwości – sposobów lokowania swoich oszczędności. Pytanie, czy to będzie bardziej ziemia czy bitcoiny, może dać niezwykle ciekawą odpowiedź dla dalszego rozwoju cywilizacji. ■

eprasa.pl c414db9aa6

Strefa Wolnego Słowa

Albicla.com

eprasa.pl c414db9aa6